

Nr 32 (1074)
3-9.08.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

www.tygodnikprzeglad.pl

P
rzegląd

Ludzie, opamiętajcie się! Chorzy na COVID-19
Marcin, Barbara i Wiesław ostrzegają

**Churchill krytycznie
o powstaniu
warszawskim**

Prof. Agnieszka Chacińska
Uniwersytet eksmituje
naukowców

PALIWO POLITYKÓW KŁAMIA, BO MOGA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



eprasa.pl 15eecdb23a

Lato NA PRADZE

MUSIC • FOOD • PEOPLE

KRÓL 31.07 | NATALIA PRZYBYSZ 1.08

BOKKA 4.08 | KRZYSZTOF ZALEWSKI 5.08

SMOLASTY 6.08 | SORRY BOYS 7.08

BITAMINA 8.08 | KWIAT JABŁONI 11.08

KWIAT JABŁONI 12.08 | SMOLIK // KEV FOX 13.08

KARAŚ/ROGUCKI 14.08 | CLOCK MACHINE 15.08

JAZZ BAND MŁYNARSKI - MASECKI 18.08

NOSOWSKA 19.08 | MERY SPOLSKY 20.08

JULIA PIETRUCHA 21.08 | HANIA RANI 22.08

DARIA ZAWIAŁOW 25.08 | DARIA ZAWIAŁOW 26.08

BRODKA 27.08 | MELA KOTELUK 28.08

NATALIA NYKIEL 29.08 | KAYAH 12.09

[BILETY:FOLLOWTHESTEP.COM](https://followthestepp.com)

**PRAGA
CENTRUM**

SZWEDZKA 2/4

eprasa.pl 15eecd23a

CYTATY

PROF. ANDRZEJ ZYBERTOWICZ,

doradca prezydenta Dudy
*Zastanawiam się,
jak komunikować się
z ludźmi (10 mln), którzy
dali się zmanipulować.
„Dziennik Gazeta Prawna”*

ANTONI SZPAK, satyryk

*Prawie wszyscy
wybrańcy narodu,
kończąc składanie
przysięgi, prosili: Tak
mi dopomóż Bóg! To
niebawem bezczelność
prosić Boga, by
dopomógł w szerzeniu
chamstwa i nienawiści.
„Angora”*

JANUSZ LEON

WIŚNIEWSKI, pisarz
*Świat po pandemii będzie
taki sam jak wcześniej.
Tylko jeszcze gorzej.
„Forum” (za „Kommersant”)*

JAN A.P. KACZMAREK,
laureat Oscara za muzykę
do „Marzyciela”

*W Hollywood ważne jest
nie to, kim jesteś, lecz to,
jak jesteś postrzegany.
I trzeba się bić.
„Rzeczpospolita Plus Minus”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Zakłamana historia powstania*

Karmieni kłamstwami i frazesami młodzi Polacy mają kiedyś powtórzyć to, co zrobili ich rówieśnicy w powstaniu warszawskim. Dziś młodych próbuje się wychowywać tak, by jak powstańcy ginęli za cynicznych polityków i marnych wojskowych. Wodzowie już są. Widzimy, jak bredzą w mediach. Brakuje im tylko wojska. Nie tego w mundurach. Bo tam pamięć o tym, co prawica potrafi zrobić, gdy zdobywa władzę, jeszcze długo będzie żywa. Prawicowi fanatycy buszują wśród uczniów i studentów. Do nich kierują załaganą historię powstania. Symbolem tej polityki jest Muzeum Powstania Warszawskiego. Fotoplastikon pokazujący wycieczkom, jak to z pieśnią na ustach mała dziewczynka szła z wisiakami na tygrysy. Czyli z pistolecikiem na czołgi. Ze śpiewem na ustach, listem powstańczej poczty do ukochanej i pokazem teatryku. To też oczywiście było. Na dalekim marginesie. Ale że ładnie się nadaje do budowania mitu prawie zwycięskiego powstania, zwiedzający dostają właśnie to.

A gdzieś w oddali jest prawdziwy obraz powstania. Obraz potwornej klęski. Głupoty i beźmyślności, ale też cynizmu i wyrachowania politycznego tych, którzy zadecydowali o wyprowadzeniu na rzeź bardzo słabo uzbrojonych i kompletnie nieprzygotowanych do walki młodych ludzi. Walki z frontowymi oddziałami niemieckimi i renegatami z krajów podbitych. Decyzja o wybuchu powstania była wyrokiem śmierci dla ludności cywilnej miasta. Szacuje się, że między 120 a 140 tys. ludzi, w tym kobiet i dzieci, zamordowano w ciągu dwóch miesięcy 1944 r. Tysiące kobiet zgwałcono. Po Warszawie zostało morze ruin.

Co o tym wie wycieczka, która trafia do muzeum kierowanego od początku przez Jana Ołdakowskiego? Z jakim obrazem powstania idzie przez życie młody człowiek, który wierzy nauczycielom i w to, co mu wkładają do głowy w muzeach? Kiedy zaczniecie mówić im prawdę? O strachu, bo przecież każdy wtedy potwornie się bał. O rozpacz, gdy po kilku dniach było wiadomo, że nie będzie przejęcia miasta po uciekających Niemcach. O powszechnym głodzie. I bardzo często wrogiej postawie cywilów, którzy cierpieli nie za swoje grzechy. I nie chcieli umierać, mimo że – jak mówią politycy prawicy – są wartości cenniejsze niż życie. A umierali, i to masowo. Z wymordowanych cywilów mniej niż połowę, bo tylko 60 tys., znamy z imienia i nazwiska. A reszta? Anonimowe ofiary polityków i wojskowych, którym prawica zafundowała ulice, place i mosty. Nie patrząc na to, że tylko na Woli zebrano 12 ton ludzkich prochów. To, co wówczas stało się w Warszawie, nie mieści się w ludzkiej wyobraźni. I zasługuje na wyjątkową lekcję. I wieczną żałobę. Może jeszcze się tego doczekamy.

* Tytuł serii książek wydanych przez PRZEGLĄD

WAKACJE Z PRZEGLĄDEM ...w kieszeni

Nie masz pewności, czy w trakcie
urlopu dostaniesz PRZEGLĄD w kiosku?

Kup e-wydanie
i czytaj,
gdziekolwiek
jesteś.



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BAKOWSKI



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

8 Robert Walenciak

Wypasiony rząd pęka w szwach

KRAJ

12 Myślałem, że umieram

Relacje chorych na COVID-19

15 Kłamstwo i strach to paliwo polityki

– rozmowa z dr. Tomaszem Witkowskim

20 Orlen swój widzą ogromny

Rząd konsoliduje sektor energetyczny

24 Nadmorskie wakacje
w cieniu koronawirusa

Drogo, ale nie wszędzie

ZAGRANICA

28 Kto ma media, ten utrzyma władzę

Przejmowanie mediów na Węgrzech

32 Ameryka w ogniu

Korespondencja z USA

36 Tu kończy się Europa

Na południu Włoch państwa właściwie nie ma

38 OPZZ na rzecz pracowników migrujących

Godna praca dla wszystkich

HISTORIA

40 Nie macie poczucia odpowiedzialności

Wielka Brytania i USA wobec powstania

NAUKA

44 Uniwersytet eksmituje naukowców

– rozmowa z prof. Agnieszką Chacińską

OPINIE

46 Jan Szmyd

Demaskator nowoczesnego świata

49 Bohdan Jałowiecki

Powolny odwrót od Europy

KULTURA

50 Wszyscy siedzimy w architekturze

– rozmowa z Filipem Springerem

54 Kulturalia

66 Miłość jak śmierć naga

EKOLOGIA

56 Papuga już nie egzotyczna

Popularna i przemycana

OBSERWACJE

58 Świat bez zapachów

Co to znaczy, że nie masz węchu?

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański

Zakłamaną historią powstania

23 Jan Widacki

Kasacja wyroku w procesie brzeskim

27 Andrzej Szahaj

Zamierzch Cesarstwa Amerykańskiego

31 Roman Kurkiewicz

Wieszaj tęcze zawsze i wszędzie

35 Tomasz Jastrun

Dziejowa misja prezesa

39 Wojciech Kuczek

Historia bez zapitki

53 Agnieszka Wolny-Hamkało

Fackup, czyli co mi zrobił Flaubert



36

ZAGRANICA

TU KOŃCZY SIĘ EUROPA

Na południu Włoch państwa właściwie nie ma



56

EKOLOGIA

PAPUGA JUŻ NIE EGZOTYCZNA

Popularna i przemycana



58

OBSERWACJE

ŚWIAT BEZ ZAPACHÓW

Co to znaczy, że nie masz węchu?

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, MARIUSZ GRZELAK/REPORTER,
MARCIN BRUNIECKI/REPORTER



Jerzy Czech, poeta, publicysta
O rozczarowaniach
prof. Andrzeja Romanowskiego

Gen. Waldemar Skrzypczak
Wojsko nam zardzewiało

Urszula Nowakowska,
prezeska Centrum Praw Kobiet
Po co jest potrzebna
konwencja stambulska

f Powstanie nie miało żadnego sensu

Tego typu tytuły są krzywdzące. Powstanie miało sens dla tych, którzy w nim walczyli, i w momencie, w którym wybuchło. Ludzie, którzy sięgnęli po broń, nie byli ograniczeni mentalnie, by robić coś zupełnie nielogicznego. I nie sądzę też, że dążyli do autodestrukcji. Trzeba mieć odwagę, by o tym dyskutować. Bo ktoś dla własnego *ego* i tylko po to, by mieć rację, chce na siłę udowodnić, że śmierć ludzi w powstaniu była bezsensowna. Może dość tej polemiki, bo w tamtym momencie i w tamtej godzinie ten sens istniał, inaczej nie byłoby powstania, i w tym momencie historycznym został on utrwalaony.

Grażyna Pietruczuk

Niech pani to powie matce z małymi dziećmi mieszkającej kilkanaście dni w piwnicy, pod ciągłym ostrzałem, świadomej, co czeka ją i jej dzieci, gdy do tej piwnicy wejdą ONI. Albo rodzinom 140 tys. ofiar czy tym, co potracili dorobek swojego życia.

Janusz Rak

Sensu to nie ma świętowanie rok w rok daty wybuchu powstania nie jako tragedii narodowej, tylko jako oporu przeciwko Związkowi Radzieckiemu, jak to próbuje – nie bez sukcesów – wmawiać prawicowa propaganda.

Michał Czarnowski

f To nie jest kraj dla dobrych ludzi

Wolałabym, żeby ta ocena naszego kraju była przesadnym i niesprawiedliwym objawem goryczy. Niestety, nie jest. To dokładny, prawdziwy obraz naszej rzeczywistości politycznej, społecznej, duchowej. Nieustające opluwanie PRL i triumfalizm z powodu jej „pokonania” doprowadziły do stanu, w jaki wpadliśmy. Wszystko, co było dobre w Polsce Ludowej (bez przymykania oczu na liczne niedoskonałości i wady), zostało zamienione w zło. I złe wyda owoce.

Anna Kremiec

Można przestać pić, żyć świadomie i zacząć zmieniać świat od siebie. Potem zmieniać innych, ich myślenie o lewicy. Kłania się nieśmiertelna praca u podstaw społeczeństwa. PiS wykonało tę robotę bardzo dobrze, więc wygrało. I będzie wygrywać tak długo, jak długo będziemy płakać, a nie działać. Rozumiem, czemu ludzie chcą opuścić Polskę. Ale sianie defetyzmu i ucieczka z podwiniętym ogonem nie jest rozwiązaniem. Podobne listy, apele dają jedynie satysfakcję zwycięzcom i nakręcają frustrację przegranych. Moim zdaniem PAD i spółka z przyjemnością drukują je sobie i czytają, kiedy jest im smutno. Osiągnęli sukces, wygonili część przeciwników, a część się biczuje, bo utknęła w Polsce. Szok wywołany brakiem zmiany u steru rozbija resztki jedności opozycji. Co robić? Dalej do pracy nad zmianami i przede wszystkim trzeba być konsekwentnym. Kropla draży skałę.

Tomasz Rurek Rurkowski



ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezentacja filmu – załącznika do raportu o katastrofie smoleńskiej. Macierewicz nie ma cienia wątpliwości, że jeszcze w powietrzu doszło do dwóch eksplozji, a dostarczone przez Rosjan dane z rejestratorów lotu sfalszowano. Kiedy nastąpi publikacja zamkniętego w sejfie raportu, nie wiadomo.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Co robić z kierowcami, którzy w czasie jazdy piszą SMS-y, oglądają filmy, rozmawiają przez komórki...

TADEUSZ WIESŁAW BRATOS,
*przewodniczący Stowarzyszenia
Psychologów Transportu w Polsce*

Należałoby odwrócić pytanie: co zrobić, żeby takie zachowania nie miały miejsca. Ponieważ trudno zmienić nawyki 30- czy 40-latków, powinniśmy uczyć odpowiedzialnych postaw tych, którzy dopiero będą kierowcami. Nie chodzi jednak o 18-latków, którzy zapisują się na naukę jazdy, bo to też zbyt późno, poza tym nie ma szans, by podczas kursu poświęcić odpowiednią ilość czasu na tego rodzaju wartości. Wychowanie komunikacyjne powinno się rozpoczynać w przedszkolu, jak w Niemczech. Jeśli kilkuletniemu dziecku wpoi się, że czerwone światło obowiązuje bez względu na sytuację, będzie respektować tę zasadę przez całe życie. Ludzie, którzy nie przeszli prawidłowej edukacji, wyrabiają w sobie przeświadczenie, że najgorsze scenariusze mogą się przytrafić wszystkim, tylko nie im, przez co ich subiektywne poczucie zagrożenia spada. Tylko stałe utrzymywanie świadomości, że alkohol, brawura na drodze czy używanie telefonu stanowią zagrożenie dla zdrowia i życia, sprawi, że kierowcy będą się zachowywać dojrzałe.

HALINA KOŁO,
*emerytowana edukatorka w zakresie
bezpieczeństwa drogowego*

Wysokie kary pieniężne za tego rodzaju zachowania powinny zmusić ludzi do myślenia, bo chyba najbardziej boli, kiedy trzeba sięgnąć do własnej kieszeni. Gdyby mandaty były wyższe, większość kierowców zaczęłaby się pilnować, bo szkoda by im było pieniędzy. Natomiast nie zabierałabym prawa jazdy osobom popełniającym ten rodzaj wykroczenia.

WOJCIECH KOTOWSKI,
*ekspert ds. prawnych aspektów
wypadków drogowych,
Pomorski Kancelaria Adwokacka*

Należałoby znowelizować prawo karne, maksymalnie zaostrzając przepisy dotyczące takich kierowców. Osoby, którym zostanie udowodnione, że za kierownicą np. wysyłały SMS-y, powinny mieć zakaz prowadzenia pojazdów przez co najmniej rok, a następnie ponownie przystępować do egzaminu na prawo jazdy. Dla większości kierujących będzie to kara wystarczająca, by uświadomili sobie, że nie opłaca się w ten sposób postępować. Kierowcy muszą zrozumieć, jakim niebezpieczeństwem jest skupianie się na tele-

fonie, uniemożliwiające pełną obserwację pola jazdy i opóźniające reakcje. Może to się skończyć tragedią, np. jeśli na jezdni pojawi się dziecko, dlatego korzystanie z tego urządzenia jest wskazówką, że mamy do czynienia z potencjalnym zabójcą, co powinni odzwierciedlać przepisy.

Czytelnicy PRZEGLĄDU



JERZY KRAWIEC-MOSTOWIAK

Tutaj trzeba działać globalnie i wprowadzić bezwzględny nakaz stosowania zabezpieczeń w telefonach. Czujniki są w stanie wykryć ruch pojazdu, zwłaszcza w połączeniu z czujnikiem zbliżeniowym ukrytym np. w kierownicy. Kwestia czasu, kiedy wszyscy producenci wprowadzą wspólne standardy w tym zakresie.

KATARZYNA WYKA

Odbierać prawko na miesiąc, za drugim razem na pół roku, a za trzecim całkiem. Tylko najpierw edukacja, od małego.

WŁODZIMIERZ ZIELICZ

Myślę, że 1,5-2 tys. zł mandatu (i dwa razy tyle za recydywę) szybko załatwiłoby sprawę. A jeśli dojdzie do wypadku, karać tak jak tych „pod wpływem”.

Not. Michał Sobczyk

Robert Walenciak

Sądzę, że to nastąpi już zaraz po wakacjach – mówi o rekonstrukcji rządu Jarosław Kaczyński. I nie jest to odwracanie uwagi, zabawa dla dziennikarzy, żeby mieli czym się zajmować. Rekonstrukcja rządu to sprawa poważna. Bo pod tą nazwą kryje się rekonstrukcja układu sił wewnątrz rządzącej prawicy. Prezes PiS chce go ustalić na nowo. Pytanie, kogo wyniesie, a kogo strąci.

Powód jest!

Tak naprawdę o rekonstrukcję rządu aż się prosi. Obecny gabinet Mateusza Morawieckiego to 24 ministerstwa, w sumie ministrów i wiceministrów mamy około 120. Raczej smutny rekord w historii III RP.

PiS o tym wie, odchudzenie rządu mogłoby więc być dobrym chwytem marketingowym – w trudnych czasach rząd zaczyna od siebie i teraz zamiast 24 ministerstw będzie 15. Albo nawet 12!

Jest też inny powód rekonstrukcji – świat się zmienia, zmieniają się priorytety rządu, od czasu do czasu trzeba też zmienić jego strukturę. Prześledźmy, jak zmieniały się ministerstwa w III RP. U jej początków mieliśmy np. Ministerstwo Przekształceń Własnościowych, teraz mamy Ministerstwo Cyfryzacji. Realne potrzeby wymuszają zmiany. Tylko że w tym przypadku nie o to chodzi.

Gabinet Mateusza Morawieckiego to 24 ministerstwa, w sumie ministrów i wiceministrów mamy około 120. Rekord w historii III RP.

Aha, warto wspomnieć o jeszcze jednym argumente – otóż PiS, dokonując rekonstrukcji rządu, chętnie mówi, że walczy z „Polską resortową”. Tak zresztą tłumaczył to w radiowej Trójce szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Michał Dworczyk: „My mówimy od wielu lat, że trzeba skończyć z Polską resortową, że jest szereg projektów, które są realizowane horyzontalnie, a do tego jest potrzebna dobra współpraca ministerstw”.

Czyli PiS po pięciu latach rządów woła, że trzeba skończyć z Polską resortową... Ale Dworczyk nie jest pierwszym politykiem tej partii, który o tym

mówi. Wcześniej wspominała o tym w roku 2017 ówczesna premier Beata Szydło. „Resortowość jest w Polsce problemem”, przyznała w radiu RMF. Ale zaraz dodała: „Ci, którzy uważają, że da się uniknąć resortowości, nie mają racji; ona jest i będzie”.

Albo więc lament Dworczyka o Polsce resortowej jest tak naprawdę opowieścią o imposybilizmie PiS, o nieudolności w zarządzaniu, albo to rzucony bez większej refleksji argument, żeby coś powiedzieć, jakoś te zmiany wytłumaczyć. Albo jedno i drugie, ku czemu bym się skłaniał.

Szydło wyszło z worka

Jeżeli wspomnieliśmy Beatę Szydło, to historia rekonstrukcji jej gabinetu dość dobrze wprowadza w atmosferę obecnych dni. Bo tak naprawdę pierwsza rekonstrukcja nastąpiła, zanim ten rząd powstał. W czasie kampanii wyborczej i PiS, i Jarosław Kaczyński zapowiadali, że w nowym rządzie nie będzie Anto-

niego Macierewicza, mówiono też, że nie będzie Zbigniewa Ziobry. Tymczasem obaj w nim się znaleźli. Potem, w roku 2016, doszło do kolejnej dyskusji o restrukturyzacji. Mówiono o tym długo, media pasjonowały się zapowiadany zmianami, a stało na wymianie jednego ministra – odszedł szef resortu finansów Paweł Szałamacha. Jego fotel zajął dotychczasowy minister gospodarki Mateusz Morawiecki. Jednocześnie stanął on na czele nowej struktury – Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów.

Można zatem rzec, że tamta rekonstrukcja była długą bitwą o to, czy dać więcej władzy Morawieckiemu,

czy nie. Ostatecznie, po zaciętych bojach (pytanie – z kim?), obecny premier postawił na swoim.

Trzecia rekonstrukcja miała miejsce rok później. Zaczęła się dość niemrawo i trwała przez całe lato i jesień roku 2017. A w zasadzie już od wiosny, od kwietnia 2017 r. Wtedy to Beata Szydło, jak informował „Fakt”, przed wylotem do Rzymu na unijny szczyt chciała odwołać szefów resortów obrony narodowej i spraw zagranicznych. Argumentowała, że „bez dymisji Macierewicza i Waszczykowski rząd czekają tylko kolejne wstrząsy prowokowane przez obu panów”. Ale Jarosław Kaczyński, jak podawali dziennikarze, na to się nie zgodził.

Może tak było, może nie, pamiętajmy jednak, że Macierewicz i Waszczykowski byli i wówczas, i – co ważne – później kojarzeni jako politycy bliscy Beacie Szydło.

W każdym razie od tego czasu regularnie w mediach pojawiały się informacje, że rekonstrukcja rządu jest przygotowywana i że Beata Szydło ma przedstawić Jarosławowi Kaczyńskiemu projekt zmian. On sam przy tym ją chwalił, mówił, że spisuje się bardzo dobrze. A ona opowiadała, że ma swoją koncepcję, że jedne resorty chce połączyć, drugie – przeciwnie, bo po dwóch latach na fotelu premiera ma własne przemyślenia.

To przedstawianie i te dyskusje toczyły się tygodniami. Aż w końcu Beata Szydło zorientowała się, że nikt jej „koncepcjami” się nie interesuje, że to o nią chodzi. W grudniu 2017 r. została zastąpiona przez Mateusza Morawieckiego. A na otarcie łez dostała stanowisko wicepremiera do spraw społecznych. W realu oznaczało to splendory (limuzyna, gabinet itd.), ale nie realną władzę nad czymkolwiek.



Morawiecki na górze, Kaczyński na dole? Tylko na zdjęciu!

Jakie więc wnioski możemy wyciągać z minionych transformacji?

1. Że decyduje o nich Jarosław Kaczyński.

2. Że waży on układ sił i stosownie do niego jednych strąca, a drugich wywyższa.

3. Że niemal do końca nie wiadomo, co chce osiągnąć. Weźmy rok 2017 – na pewno zależało mu na usunięciu Antoniego Macierewicza z rządu, z drugiej strony wiedział, że jest on na prawicy bardzo popularny. Dlatego Macierewicza wypchnięto z rządu w sposób bardzo delikatny i chyba dla niego samego zaskakujący. Bo jeszcze w dniu jego dymisji „Gazeta Polska” temu zaprzeczała.

4. Dlatego nie warto się przywiązywać do słów Jarosława Kaczyńskiego, opinii, które wygłasza, bo za chwilę może je zmienić. Jeśli dziś mówi, że Mateusz Morawiecki jest nie do ruszenia, nie musi to być aktualne za miesiąc. A jeżeli o kimś nie mówi, to nie znaczy, że nie ma go na oku.

5. Z drugiej strony zauważmy skuteczność Morawieckiego – z każdą

reorganizacją wzmacniał swoją pozycję, zagarniał coraz większy kawałek władzy. Jeśli ktoś śledził jego karierę w banku, wyglądało to podobnie.

6. Poza tym ewidentnie widać, że rekonstrukcja jest przedsięwzięciem politycznym. Nie służy podniesieniu

efektywności działań rządu, tylko jest efektem kolejnego rozdania.

Nowe rozdanie

A jak to wygląda teraz? Niech wprowadzeniem będzie jeszcze jedna opinia na temat rekonstrukcji wygłoszona przez ministra Dworczyka: „Chodzi o przełamywanie tej Polski resortowej, tych różnych niemożności wynikających z tego, że niektóre resorty potrafią momentami działać jak udzielne księstwa”. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że w obecnym rządzie są ministrowie

udzielnicy, nietykalni, przynajmniej dla Morawieckiego. Nie powinno to być dla nikogo zaskoczeniem, bo rząd został tak właśnie skonstruowany – jako federacja udzielnych księstw, nad którymi czuwa Jarosław Kaczyński w roli najwyższego.

Efekt tego jest taki, że premier Morawiecki przypomina princepsa z epoki rozbiorów dzielnicowych – teoretycznie jest zwierzchnikiem innych książąt, ale w rzeczywistości władzy nad nimi nie ma.

Przede wszystkim Morawiecki nie ma władzy nad resortami Solidarnej Polski i Porozumienia Jarosława Gowina. Zresztą Zbigniew Ziobro swoją niezależność demonstruje otwarcie. To on ogłosił, że chce wypowiedzieć konwencję stambulską. To on napisał do premiera list, by interweniował w Unii Europejskiej w sprawie gmin, które ogłosiły się strefami wolnymi od LGBT i z tego powodu Unia wstrzymała im fundusze. A jeden z wiceministrów Solidarnej Polski, Janusz Kowalski, ogłosił, że cała Polska powinna być „wolna od ideologii LGBT”. To Ziobro ostrzegł Morawieckiego, że sprawdzi ustalenia szczytu Unii, czy są tam zapisy dotyczące powiązania funduszy europejskich z zasadą przestrzegania praworządności, czy nie ma. To wreszcie jego prokuratura rozpoczęła śledztwo w sprawie „profanacji” figury Chrystusa przy kościele św. Krzyża i obrazy uczuć religijnych. Bo posąg przyozdobiono tęcząwą flagą. Ziobro, gdy tylko wybory się odbyły, rozpoczął więc własną

Jeśli Jarosław Kaczyński dziś mówi, że Mateusz Morawiecki jest nie do ruszenia, nie musi to być aktualne za miesiąc.

kampanię, plasując się na prawym skrzydle obozu rządzącego, i narzuca całemu PiS własne tematy.

Doszło zatem do sytuacji, w której Morawiecki nie tylko nie ma wpływu na Ministerstwo Sprawiedliwości i prokuraturę, ale też jest pod ciągłym ostrzałem koalicjanta.

Drugi koalicjant, Porozumienie, pokazał swoją siłę w kwietniu, kiedy Jarosław Gowin wymusił na Kaczyńskim przesunięcie daty wyborów prezydenckich. Wbrew nadziejom PiS ta gra nie spowodowała rozłamu w jego maleńkiej partii. Gowin rządzi w niej niepodzielnie.

► Przystawki sprawiają więc Kaczyńskiemu coraz częściej coraz większe kłopoty. A ponieważ Zjednoczona Prawica ma tylko pięciu posłów więcej niż opozycja, PiS nie może sobie pozwolić na otwartą wojnę z Gowinem czy Ziobrą.

Co ciekawe, przystawki, mimo że są na przeciwstawnych skrzydłach obozu rządzącego, w obliczu

„aktywa państwowe” (Jacek Sasin), co pewnie boli go najbardziej. Każdy z tych panów ma swoją pozycję w obozie władzy i cieszy się zaufaniem prezesa Kaczyńskiego. I to dużo dłużej niż Morawiecki. Wszyscy oni są od niego ważniejsi. I raczej trudno przypuszczać, że premierowi, nie mówiąc o szefie jego kancelarii, się podporządkują.

Morawiecki nie tylko nie ma wpływu na Ministerstwo Sprawiedliwości i prokuraturę, ale też jest pod ciągłym ostrzałem koalicjanta.

rekonstrukcji zjednoczyły się, broniąc swojego stanu posiadania. Solidarna Polska i Porozumienie mają po dwa ministerstwa i nie zamierzają z tego rezygnować. Czy Kaczyński będzie miał siłę odebrać im po jednym resorcie?

Ale pozostała część rządu również jest podzielona i tam też są „udzielne księstwa”, nietykalne dla premiera. Każdy w PiS wie, że Morawiecki nie ma wpływu na MON (Mariusz Błaszczak), na MSW (Mariusz Kamiński), na kulturę (Piotr Gliński) czy na

W tym gronie Mateusz Morawiecki jest jak obce ciało. Próbuje więc się rozpychać. Ma już obiecanie, że na jesiennym kongresie PiS zostanie wiceprzewodniczącym partii. Zrównany zostanie z Błaszczakiem i Kamińskim. Rekonstrukcja ma także wzmocnić jego pozycję w obozie władzy, bo to on zabiegał o zgodę na nią u Kaczyńskiego. Ale czy wzmocni?

Rzecz w tym, że to rozpychanie się Morawieckiego wcale pisowskich książąt (pozostawmy przy nazewnictwie Dworczyka) nie cieszy. Są mu

przeciwni, może nie tak otwarcie jak Beata Szydło, ale przecież widać ten dystans. Traktują go jako rywala w grze o wpływy u Kaczyńskiego i w partii.

Kto tym razem odpadnie?

Rząd rzeczywiście jest federacją udziałowych księstw. A Morawiecki ma realny wpływ tylko na kilka ministerstw – albo gospodarczych, które przejęli jego ludzie, albo tych drugorzędnych. Jak zatem ta rekonstrukcja ma wyglądać, jeżeli połowa rządu jest nie do ruszenia? Przynajmniej przez premiera?

W zasadzie warianty są dwa. Pierwszy zakłada, że Morawiecki przeprowadza zmiany w resortach, na które ma wpływ. Wymienia ministrów, którzy rozczarowali, typu Szumowski (zdrowie), Kościński (finanse), Czaputowicz (MSZ), Małąg (praca i polityka społeczna), których lepiej odwołać razem, w grupie, niż osobno. Rekonstrukcja ładniej brzmi niż zwykły wykop. Tylko że

CZY WIESZ, ŻE...

GRZMOT BURZY HUCZY Z NATĘŻENIEM
PORÓWNYWALNYM DO HAŁASU
PODCZAS STARTU MYŚLIWCA.

A CZY WIESZ...

GDZIE JUTRO ZAGRZMI?



interia POGODA

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII! PROGNOZA DLA 3 MILIONÓW MIEJSC

 **SPRAWDZA SIĘ!**

taką wymianę może przeprowadzić zawsze, każdego dnia, do tego ogłaszać rekonstrukcji nie trzeba. A przynajmniej nie trzeba jej rozciągać na długie tygodnie, a nawet miesiące.

Przyjmijmy wariant drugi – zmiana dotyczy książąt. Czyli kogo? Jeżeli ma dotyczyć książąt, musi mieć błogosławieństwo Kaczyńskiego. Bo tylko on ma siłę to przeprowadzić. A jeżeli tak, to trudno przypuszczać, by pod hasłem rekonstrukcji Kaczyński miał zamiar wycofywać z rządu swoich zaufanych ludzi – Błaszczaka, Sasina czy Kamińskiego. Ich może wycofać zawsze. Żadna PR-owska zagrywka nie jest do tego potrzebna. Musi więc chodzić o polityków popularnych na prawicy i silnych. A ten czas jest potrzebny Kaczyńskiemu po to, by rozeznaczyć się w nastrojach w obozie rządzącym, by sprawnie taką zmianę przeprowadzić (lub w porę z niej się wycofać).

W ten sposób grupa osób, w której rekonstrukcja rządu może uderzyć,

Przystawki sprawiają Kaczyńskiemu coraz częściej coraz większe kłopoty.

mocno nam się zawężyła. Może ona dotyczyć przystawek. Bo poczuły się za mocne. Zwróćmy zresztą uwagę na wielką aktywność w ostatnich dniach Zbigniewa Ziobry. Sprawa konwencji stambulskiej, którą PiS



Beaty Szydło i Antoniego Macierewicza w rządzie już nie ma. Mariusz Błaszczak ma silną pozycję.

mogło wypowiedzieć i cztery lata temu, czy nowa wojna z LGBT to tematy, które Ziobro bardzo agresywnie narzuca Zjednoczonej Prawicy, *de facto* stawiając cały obóz rządzący pod ścianą. Może obawia się losu Macierewicza? Może czuje pismo nosem, więc chce szybko zająć taką pozycję, z której nie będzie można go ruszyć?

Jest jeszcze inna możliwość. Pomni losu Beaty Szydło, która przez wiele tygodni z ufnością przygotowywała

Kaczyńskiemu kolejne wersje rekonstrukcji, by wreszcie znaleźć się na czele listy odwołanych, z troską patrzymy na Mateusza Morawieckiego. Czyż Kaczyński nie lubi różnych delfinów od czasu do czasu przeczołgać?

Tak wygląda rekonstrukcja 2020. Kaczyński, z miną sfinksa, buduje nową układankę. Jest sprawą drugorzędną, czy to, co złoży, będzie lepiej działało. Tu nie o to chodzi, tu chodzi o władzę. I dlatego nikt nic konkretnego nie wie.

Robert Walenciak

Kogo może objąć rekonstrukcja rządu? Oto gielda nazwisk.

- **Tadeusz Kościński** – minister finansów. I on sam ma dość, i jego już nie chcą. Trwają więc poszukiwania dobrej, międzynarodowej posady dla Kościńskiego. Jest m.in. kandydatem na szefa Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Ale szanse ma niewielkie.

- **Piotr Gliński** – on miałby z kolei zwiększyć swoje wpływy. Bo jednym ze scenariuszy jest powołanie nowego superresortu. Obejmowałby cztery obecne ministerstwa: edukacji (Dariusz Piontowski, wyjątkowo nieudolny), nauki (Wojciech Murdzek z Porozumienia Gowina), kultury oraz sportu (Danuta Dmowska-Andrzejuk). I Gliński tym superresortem nadbudowy by kierował.

- **Łukasz Szumowski** – podobno rozważa odejście z Ministerstwa Zdrowia. Bo, jak podają, jest zmęczony zainteresowaniem mediów sprawami przetargów na trefne maseczki, pytaniami o oświadczenia majątkowe żony i zainteresowaniem jego bratem. Jako kandydat na jego miejsce wymieniany jest Stanisław Karczewski.

- **Jacek Czaputowicz** – szef MSZ już zdążył powiedzieć, że zamierza z rządu odejść. Wśród jego następców wymie-

niani są Krzysztof Szczerski z Kancelarii Prezydenta, Konrad Szymański odpowiedzialny w rządzie za sprawy europejskie oraz europoseł Jacek Saryusz-Wolski. Dodajmy, że według wizji PiS szef polskiej dyplomacji ma stać w politycznym cieniu, bo sprawami europejskimi zajmuje się premier, a transatlantyckimi prezydent. Bardziej ma się skupić na administrowaniu niż kreowaniu polityki zagranicznej. Wyborne.

- **Michał Woś** – drugi po Zbigniewie Ziobrze minister z Solidarnej Polski. To dla niego utworzono nowe ministerstwo (choć ze starą nazwą) – środowiska, wyodrębniając je z resortu klimatu. Teraz znów mają być połączone, kosztem Wosia.

- **Marek Gróbarczyk** – minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej. To też ministerstwo do odstrzału. Ma powrócić do Ministerstwa Infrastruktury.

- **Marek Zagórski** – minister cyfryzacji. Wszyscy chcą to ministerstwo zlikwidować, a jego zadania włączyć albo do Kancelarii Premiera, albo do MSW.

- **Małgorzata Jarosińska-Jedynak** – minister funduszy i polityki regionalnej. Pewnie straci fotel, bo jej ministerstwo ma być włączone do Ministerstwa Rozwoju, którym kieruje Jadwiga Emilewicz.

Oddział zakaźny w Szpitalu
Bródnowskim w Warszawie.



Myślałem, że umieram

Relacje chorych na COVID-19

Beata Igielska

Marcin Kociński z Mazowsza, lat 40+, bez chorób współistniejących, 19. zakażony w Polsce. Zgodził się na przeprowadzanie na nim badań. Lekarze piszą na podstawie jego przypadku pracę naukową. Miesiąc spędził w Centralnym Szpitalu Klinicznym Ministerstwa Obrony Narodowej (WIM) przy ul. Szaserów w Warszawie, wciąż walczy o kondycję.

Zarażonych dzielę na pięć kategorii: bezobjawowi; ci, którzy mają temperaturę do 37 st.; ci z zapaleniem płuc, sam się do nich zaliczam; ci pod respiratorem – masakra i ostatnia kategoria – śmierć.

COVID nieźle poharatował mój organizm. To był początek pandemii, nikt nic nie wiedział, był większy poziom obciążenia psychicznego. Dziś jest zupełnie inaczej, choć lekarze wciąż uczą się tego wirusa. Cały czas byłem przytomny, nie zahaczyłem o respirator, mimo to jeszcze dwa tygodnie temu, gdy próbowałem grać w piłkę, czułem palenie w płucach.

W szpitalu doszło do sytuacji, że krew prawie stanęła. Dałem jednak radę za pomocą dotleniania organizmu. Po chorobie lekarz zabronił mi uprawiania sportu. Powód? Groźba zawału bądź udaru. Gdy więc słyszę, że COVID to gryпка, nie ma go, wymysł, szlag mnie trafia. Od grypy różni się tym, że wszystko w organizmie demoluje. Przez mniej więcej trzy tygodnie po wyjściu ze szpitala miałem kłopoty z żołądkiem.

Ale po kolei. W piątek robiłem ciężki trening interwałowy, w sobotę grałem dwugodzinny mecz. Wczoraj poszedłem na festiwal latinoamerykański, gdzie światowe

gwiazdy miały uczyć salsa. Zaraziłem się od osoby z zagranicy. Byłem przemęczony, mój organizm stał się łatwym celem dla wirusa. Pewnie w normalnych warunkach obroniłby się. Wirusem poczęstowałem mamę – zakażenie przeszła lekko, i tatę – przeszedł bezobjawowo.

COVID wszystko w organizmie demoluje.

Łapałem temperaturę 39,6 st. i to już nie były przelewki. Wcześniej sterowałem nią za pomocą paracetamolu. Przy 38 st. musiałem brać tabletkę, działała przez cztery godziny zamiast przez sześć. Jeśli z połknięciem spóźniłem się 20 minut, miałem ciężką noc. Straszne też były niekontrolowane wymioty, ostre, wycieńczające. Zimne poty, dreszcze, ból organów wewnętrznych uniemożliwiający spanie. Mogłem co najwyżej tupać drzemki na prawym bądź lewym boku.

Jeszcze do niedawna badano mi serce, bo istniało podejrzenie poważnego uszkodzenia. Na szczęście

Przyczyny śmierci na świecie, stan na 16 lipca 2020 r.

choroby sercowo-naczyniowe	– 9 650 520
rak	– 5 186 016
demencja	– 1 361 646
cukrzyca	– 731 835
gruźlica	– 630 435
COVID-19	– 586 127

jest w porządku. Miałem też kłopoty neurologiczne, np. napadowe bóle głowy. Wypełniałem specjalną ankietę na ten temat dla Uniwersytetu Warszawskiego. Dziś nic mi pod tym względem nie dolega, ale wirus jest nieobliczalny, groźny. W organizmie działał i robił swoje około dwóch tygodni. Przez kolejne dwa to pojawiał się w organizmie, to znikał. Dlatego jest potrzebna ta kwarantanna. Moje ozdrowienie było potwierdzone łącznie ośmioma różnymi testami, wymazy pobrano z różnych części ciała. Pięciokrotnie prześwietlano mi klatkę piersiową.

Straszne były niekontrolowane wymioty. Zimne poty, dreszcze, ból organów wewnętrznych uniemożliwiający spanie.

Po pobycie w szpitalu przytyłem 5 kg, ale miałem takie braki energetyczne, że wejście po schodach stało się wyzwaniem. Teraz jestem pod opieką dietetyka. Na diecie oczyszczającej wątrobę schudłem 12 kg. Czekają mnie jeszcze dwa tygodnie diety stabilizacyjnej. Szacuję, że ok. 20 sierpnia będę w dobrej formie. Wciąż jestem słaby, biegam kiepsko. Gra w piłkę mnie męczy. Dochodzę do siebie powoli.

Jak z perspektywy czasu postrzegam moje wyzdrowienie? Co mi pomogło? Po pierwsze, pozytywne nastawienie. Nigdy nie zwiesiłem głowy na zasadzie: COVID mnie zabije. Czułem, że z tego doświadczenia muszę wyjść silniejszy, niż w nie wszedłem. Nikt nie mógł mnie odpowiedzieć. Rygorystycznie współpracowałem z lekarzami. Oni i pielęgniarki w tamtym momencie byli moją jedyną rodziną. Zabiegałem o dobry kontakt z nimi. Przez trzy dni mieli do mnie dystans, leki podawano w specjalnym pomieszczeniu, jakiś pan przynosił mi jedzenie. Zawsze starałem się do niego krzyknąć: dziękuję, żeby czuł ważność swojej pracy. Do dziś mam kontakt z personelem medycznym – fantastyczni ludzie, wykonujący świetną robotę. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że coś robią nie tak. Muszą chodzić w tych skafandrach, też mają swoje rodziny. Rozumiałem, że jeśli nie ma takiej potrzeby, pielęgniarka nie musi do mnie wchodzić. Personel dezynfekował pokój po

wymiotach, wykonywał badania, ale sam np. mierzyłem temperaturę i telefonicznie podawałem wynik. Sam obserwowałem swój organizm; kiedy coś było nie tak, mogłem prosić o pomoc.

Kolejna sprawa to bycie zadaniowym. Musiałem trzymać płuca w pozycji pionowej. To było wykańczające, jednak wyznaczałem sobie małe cele: wykąpać się choćby dwa razy dziennie, zjadać, co ci przyniosą, nawet jak ci nie wchodzi, dezynfekuj pokój, buduj relacje z lekarzami, rozmawiaj ze znajomymi przez komunikatory. Jeśli jest się w tak małym pomieszczeniu, trzeba się z nim zaprzyjaźnić, uzmysłowić sobie: chłopie, twoja samotność ma czemuś służyć, ciesz się, że masz opiekę. Takie podejście dawało mi spokój i poczucie sensu. Pomagałem też, dzwoniąc ze szpitala, dwóm chorym o lekkim przebiegu. Głównie podtrzymywałem ich psychicznie. Kolejny ważny krok, by odzyskać siebie sprzed choroby, to wsparcie lekowe. Gdy podano mi odpowiedni koktajl: leki na HIV, malarię i na płuca, cofnął się płyn z płuc.

Po tygodniu ostrego przebiegu choroby miałem bardzo napięte mięśnie, od spania na bokach bolało mnie wszystko. Robiłem trening autogenny Schultza, który mnie uspokajał, próbowałem lekko rozciągać mięśnie. Ciągle byłem czymś zajęty. W małym pokoju stworzyłem sobie środowisko pozwalające na przetrwanie.

Co chcę przekazać? Że wirus jest i ma się dobrze. Jeśli ktoś jest na kwarantannie domowej i ma negatywny wynik testu, powinien w niej pozostać. Poszczególne geny wirusa mogą zarażać! Dbajmy o siebie, wysypiajmy się, starajmy się być wypoczęci. Dobrze się odżywiamy. Czyśćmy nos, bo tam gromadzi się to świństwo. Dlatego chorzy tracą węch i smak.

Mam swój mikroświat: nie imprezuję, noszę maseczkę, pilnuję odległości. Nie, nie oszalałem, przeciwnie – zmądrzałem. Ludzie na tę chorobę umierają! Najgorsza w szpitalu była świadomość, że niektórzy nie pożegnali się z bliskimi, wyszli z domu o własnych siłach i już nie wrócili. To ogromna trauma dla rodziny. Ja ani przez chwilę nie dopuściłem do

siebie myśli, że mogę nie wrócić. Przeciwnie, robiłem wszystko, żeby zobaczyć bliskich.

Barbara ze Śląska, lat 40, bez chorób współistniejących, obecnie przebywa w szpitalu, zdrowieje. Było kiepsko.

Mąż pracuje na kopalni, to on przyniósł zarazę do domu. Choćby nie wiem jakie obostrzenia tam panowały, choćby nie wiem jakie rygory sanitarne były przestrzegane, kopalnie stają się dużymi ogniskami wirusa. Zaczęło się od potwornego bólu mięśni i głowy. Gorączka 38 st., z czasem 40 st. Wtedy już nie dawała się zbić lekami. Pojawiły się poważne duszności. Nie czekałam na stan zagrażający życiu, pojechałam do szpitala. A nie było to proste: weekend, skierowanie mógł wystawić lekarz pierwszego kontaktu. W końcu dodzwoniłam się do niego. Służby już wiedzą, co w takim przypadku robić, logistycznie ogarniają problem, wszystko potoczyło się szybko.

Trafiłam do szpitala z wysoką gorączką, trudnościami z oddychaniem i kaszlem. Leżę w małym pomieszczeniu sama, ponad tydzień. Z lekarzami mam kontakt przez telefon. Ale dopiero teraz, bo wcześniej wchodzili do mnie w skafandrach,

W ciągu 40 lat życia nigdy nie byłam tak bardzo chora.

osłuchiwali; dałam radę bez respiratora. Teraz ograniczamy kontakt do minimum. Podpisałam zgodę na terapię eksperymentalną i to było najlepsze, co mogłam zrobić. Na leki zareagowałam błyskawicznie, objawy zeszły. Nie wiem, co mi podano, zobaczę na wypisie.

Takie leżenie samemu jest szalenie trudne. Wcale nie wypoczywam. W głowie cały czas buzuje tysiące myśli. Analizuję po raz setny, co mogłam zrobić, a nie zrobiłam, żeby tej sytuacji uniknąć. W zasadzie robiłam wszystko, żeby się odizolować, żeby tego nie złapać, a jednak dopadło naszą rodzinę. Dlatego nie mogę słuchać tych, co mówią: COVID, a co to takiego? Stracę węch, smak i po krzyku. No, nie po ▶

► krzyku, czego sama jestem najlepszym przykładem. W ciągu 40 lat życia nigdy nie byłam tak chora, żaden wirus mnie tak nie powalił. On jest jak rosyjska ruletka. Mąż przeszedł sprawę w miarę lekko, po dwóch tygodniach wyzdrowiał zupełnie. Natomiast gdy mnie w szpitalu zrobiono tomografię płuc, okazało się, że śródmiąższowe zapalenie, typowe dla tego wirusa, zajęło już 80% powierzchni. Ale saturacja cały czas była na dobrym poziomie. Choroba atakuje więc po cichu.

Codziennie słyszę podjeżdżające karetki, wiem, że w tym szpitalu ludzie umierają.

Nie leżałam pod respiratorem, nie miałam podawanego tlenu, mimo to czuję się słaba. W tej chwili mój organizm radzi sobie z wirusem, zregeneruje się. Ale przeszłam przez piekło. Dlatego martwi mnie bezmyślność ludzi. Boję się jesieni, kiedy będzie kulminacja zachorowań. Nasza rodzina już ma tzw. odporność stadną: młodsza córka, sześciolatka, przeszła to lekko, z temperaturą przez dwa dni w granicach 37 st. Jest po testach. Starsza, dziesięcioletnia, była akurat na

wyjeździe, a potem to u jednej, to u drugiej babci. Mamy dużo przeciwciał, ale na jak długo? Na pół roku, trzy miesiące? A może nabyliśmy stałą odporność? Na te pytania nikt nie zna odpowiedzi.

Leżę tu taka samotna: moje myśli plus telefon. Inni chorzy na COVID na innych oddziałach są w kilkuosobowych salach. Myślę więc, że ta moja samotność ma sens. Żaden dodatkowy wirus nie zagraża wycieńczonemu organizmowi. Wolę radzić sobie z moją głową, z natłokiem myśli niż z chorym ciałem. Codziennie słyszę podjeżdżające karetki, wiem, że w tym szpitalu ludzie umierają. Lekarze oczywiście nie mówią nam takich rzeczy, ale wiem to z mediów. To rozwala głowę jeszcze bardziej.

Co teraz jest dla mnie najważniejsze? Doprowadzenie organizmu do stanu sprzed choroby. Leżenie w tym maleńkim pomieszczeniu nie sprzyja budowaniu kondycji. Na kosmiczne stroje personelu medycznego patrzę ze zrozumieniem. Uspokajam znajomych, którzy nie mogą się pogodzić, że przez cały boży dzień nikt do mnie nie wchodzi. Pytam ich: po co ci ludzie mieliby się narażać? Sama się

obserwuję, wiem, kiedy wymagam pomocy. To starszym ludziom jest ona potrzebna.

Na Śląsku covidowcy nie są tak stygmatyzowani jak w innych częściach kraju. Tu niemal każdy zna kogoś, kto chorował. Nam zakupy robili sąsiedzi, wystarczył jeden telefon. Doceniam to. Naszych dzieci nikt z powodu choroby gorzej nie traktuje.

•
Wiesław z Mazowsza, lat 70, choroby współistniejące, przez chwilę respirator, tydzień w szpitalu powiatowym, dwa tygodnie w Szpitalu Wolskim w Warszawie, świeżo po COVID-19.

Co było najgorsze? Uświadomienie sobie, że w pewnym momencie odleciałem, nie kojarzyłem, co się ze mną dzieje. Byłem pod tlenem, a przez chwilę nawet pod respiratorem. Gdy wydawało mi się, że kojarzę rzeczywistość, żonie naopowiadałem, że testy są już OK i za chwilę mnie wypisują ze szpitala. Lekarza u mnie nie było, testy nie były OK. Mam zniszczone 50% powierzchni

Ludzie, opamiętajcie się. Nie musicie robić hucznych wesel, jechać nad morze w tłum. Trochę rozsądku.

płuc. Próbuje normalnie żyć. Nawet na ukochany rower wsiałem. Ciężko było pedałować. Pokaśluję wieczorami. Czy to normalne? Skonsultuję z lekarzem.

Cieszę się, że jest słońce, że pada deszcz, że wnuki się okładają obok mnie, że żona pokrzykuje, bo naniosłem błota. Mogłem tego nie doczekać. Dlatego tak mnie denerwuje, że ludzie lekceważą zagrożenie. Oboje z żoną bardzo się staraliśmy izolować ze względu na zdiagnozowane choroby. Zakaziłem się przez kontakt ze sprzętem dotykany przez chorego. To obłąd. Błagam was, ludzie, opamiętajcie się. Nie musicie robić hucznych wesel, jechać nad morze w tłum albo w Tatry, by się tyłkiem ocierać o tyłek drugiej osoby. Trochę rozsądku. Mnie się udało, ale nie wszystkim się udaje.

Beata Igielska

Dr n. med. Grażyna Cholewińska, ordynator w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym w Warszawie, wojewódzki konsultant w dziedzinie chorób zakaźnych

Konsekwencje kliniczne zakażenia wirusem SARS-CoV-2 są coraz szersze – upośledzenie funkcji oddechowej oraz innych układów i narządów. Pojawiają się np. zaburzenia w obrębie układu nerwowego, niewydolność serca, dysfunkcje neuropsychologiczne, takie jak trudności z pamięcią i koncentracją, zaburzenia nastroju oraz lęki. Ostra choroba infekcyjna może przebiegać bezobjawowo lub skąpoobjawowo, ale nawet wówczas wszystkie wyżej wymienione następstwa mogą się ujawnić w przyszłości. Dlatego apeluję do społeczeństwa o nasilenie zachowań zabezpieczających przed SARS-CoV-2, bo naprawdę to wcale nie jest banalna infekcja.

Dr n. społ. Bogna Szymańska-Kotwica, psycholog w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym w Warszawie oraz w gabinecie Minds of Hope

Pacjenci, którzy doświadczyli ciężkich objawów infekcji, narażeni byli na tak silny stres, jakiego być może nie przeżyli nigdy wcześniej. Tego typu stan może skutkować osłabieniem nastroju, wyparciem poprzez bagatelizowanie powagi sytuacji, obawą przed stygmatyzacją. W następstwie infekcji mogą się pojawić: depresja, zaburzenia lękowe, napady paniki, a nawet stres potraumatyczny. Tych konsekwencji zakażenia SARS-CoV-2 nie należy bagatelizować. To, jak radzimy sobie ze stresem, zależy nie tylko od COVID-19, ale także od naszych cech osobowości i temperamentu, wcześniejszych doświadczeń z systemem ochrony zdrowia, standardem opieki w danej jednostce leczniczej lub dostępem do informacji w czasie pobytu w szpitalu. Indywidualne reakcje na stan zagrożenia zdrowia, a nawet życia, nasilane są przez doniesienia medialne, w których aż kipi od nowości, od ciągle zmieniających się opinii i decyzji rządzących.

KŁAMSTWO I STRACH to paliwo polityki

Politycy kłamią, bo są przekonani
o swojej moralnej wyższości

Rozmawia Beata Igielska

Wyobraźmy sobie, że jestem dobrze zapowiadającym się politykiem i właśnie panu obiecuję bon 2000+ na wakacje. Uwierzy mi pan?

– Nie.

Co powinien powiedzieć, jaka powinien być, żeby mi pan uwierzył?

– Powinna pani być kimś, kto poprzednio składał obietnice i je realizował.

Ale jestem politykiem początkującym, wcześniej nieznanym.

– Może niekoniecznie ja, ale inni ludzie mogą pani uwierzyć, gdy wszyscy politycy zawiedli ich zaufanie. Wtedy chwytają się niepewnego zawodnika. Jak kiedyś kandydata na prezydenta Stana Tymińskiego, człowieka znikąd.

Pan by mi nie uwierzył, więc kto by uwierzył? Prości ludzie? Mam obiecać im coś więcej?

– Uwierzy ten, kogo odpowiednio się przestraszy, kto się boi, a te obietnice gwarantują, że nie zrealizuje się czarny scenariusz, który przed nim się rysuje. Już dawno nic mnie tak nie zbulwersowało jak to, że Jarosław Kaczyński w Telewizji Trwam straszył starsze osoby, że polscy liberałowie będą, podobnie do tych z Zachodu, wyłączać urządzenia podtrzymujące życie w szpitalach, straszył śmiercią. Wiele starszych osób nie jest w stanie takich informacji sprawdzić zarówno ze względu na swoje kompetencje intelektualne, jak i z braku kompetencji cyfrowych, często też nie potrafią czytać po angielsku. Następnego dnia kandydat na prezydenta Andrzej Duda zapewniał, że zrobi wszystko, żeby kultury liberalnej nie dopuścić do władzy, że nigdy nie zgodzi się na eutanazję.



DR TOMASZ WITKOWSKI

– psycholog, publicysta, autor kilkunastu książek, m.in. „Psychologia kłamstwa. Motywy, strategie, narzędzia”. Współpracuje na stałe z „Research Digest” publikowanym przez British Psychological Society. Założyciel Klubu Sceptyków Polskich.

Właściwie każda kampania jest spektaklem, w którym wszyscy bierzemy udział, a w jego trakcie wciska nam się kit, straszy nas, czy nam się to podoba, czy nie. Wedle tego, co pan mówi o Kaczyńskim, spektakl jest świetnie wyreżyserowany.

– Czy on jest świetnie wyreżyserowany? Nie wiem, czy Jarosław Kaczyński, mówiąc to wszystko, wiedział, że kłamie. Bo z kłamstwem

przed przymusową eutanazją. Tak jak nie wiem, czy w latach 30. XX w. Hitler wierzył, że to Żydzi są winni kryzysu ekonomicznego, czy świetnie reżyserował spektakl. Przeciętny odbiorca nie jest w stanie stwierdzić, czy Kaczyński wierzy w to, co mówi, czy to tylko spektakl wyreżyserowany przez cynicznych specjalistów od *public relations*. Na pewno ewidentnie paranoidalna osobowość Kaczyńskiego dopasowała się świetnie

Sytuacja w Polsce przypomina wojnę. A wróg nie może mieć ludzkiej twarzy. Musi zostać potworem.

mamy do czynienia wtedy, kiedy jesteśmy przekonani, że mówimy nieprawdę, że świadomie wprowadzamy w błąd drugą stronę.

Chce pan powiedzieć, że Kaczyński wierzy w to, co mówi?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem, że nie używa internetu, z przyczyn emocjonalnych nie czyta myślicieli mających inne zdanie niż on. Być może zatem wierzy w takie bzdury, że ludzie z Holandii uciekają do Polski

do garnituru lęków charakterystycznego dla wielu ludzi w tym kraju.

Ale też chyba nasi politycy pewne zjawiska szalenie upraszczają. Zamiast np. wytłumaczyć, jak działa mechanizm skomplikowanych procesów międzynarodowych, mówią: Unia Europejska nas gniecie.

– Tego typu przekazy są adresowane do konkretnej masy wyborczej. I tu nie chodzi o wykształcenie, bo nawet ludzie po studiach wcale nie ▶

garną się do poszukiwania informacji, nie myślą krytycznie, nie starają się weryfikować źródeł. Pewien rodzaj lenistwa intelektualnego jest charakterystyczny dla człowieka jako gatunku. Kiedyś przeprowadzono eksperyment, podczas którego próbowano odpowiedzieć na pytanie, czy myślenie boli. Okazuje się, że tak. Rozwiązywanie trudnego zadania matematycznego dawało mniej więcej taki obraz fal EEG jak wtedy, gdy badany wkładał ręce w strumień lodowatej wody. Dlatego, unikając wysiłku myślenia, często podążamy za autorytetami. Dokonujemy bardzo szybkich ocen i w sytuacji wyborczej, jaka była ostatnio, większość ludzi podjęła decyzję wyboru mniejszego



Jeżeli Andrzej Duda mówi, że jego przedwyborcze obietnice były tylko życzeniami, to wykorzystuje słowa do rozmydlenia prawdy.

się działania propagandowe polegające na demonizowaniu przeciwnika do tego stopnia, że druga strona boi się go. Kiedy hitlerowskie Niemcy zostały pokonane, w niemieckich miejscowościach popełniano masowo samobójstwa ze strachu przed dzikimi ze Wschodu, przed żołnierzami radzieckimi. Oni nie byli gorsi niż inni żołnierze wchodzący

na teren, który uznali za zdobytą: odbierali, co uznali za należne, gwałcili, rabowali itp. Ale propaganda niemiecka zrobiła z tych żołnierzy monstra i ludzie woleli zabić się, niż spotkać się z nimi. W Demminie zabiło się jednocześnie około tysiąca ludzi. Wróg nie może mieć ludzkiej twarzy, trzeba zrobić z niego potwora. W polskiej wojnie politycznej, bo tak trzeba nazwać to, co obserwujemy, ta druga strona musi zostać potworem, a potem trzeba zrobić wszystko, żeby ją powstrzymać.

Jak uchronić ludzi takich jak ta starsza pani przed siłą kłamstwa, skoro nawet specjalista ma kłopot, by na podstawie mikroekspresji, mowy ciała odszyfrować, czy polityk kłamie, czy nie?

– Tutaj chyba nie ma złotej recepty. Spójrzmy, co się stało w Wielkiej Brytanii w trakcie referendum brexitowego. Tuż po głosowaniu

telewizory. Też wtedy żyliśmy w bańkach informacyjnych: podwórko, ulica, klasa szkolna. Do drugiej dzielnicy trudno było pójść, bo można było oberwać od chłopaków, więc chronienie baniek informacyjnych było dużo skuteczniejsze. Żeby tę

bańkę przebić, trzeba było słuchać po kryjomu, niezbyt głośno Wolnej Europy albo BBC. Bańki były zawsze. Natomiast rzeczywiście kiedyś rzadziej do głosu dochodzili ludzie, którzy nie mieli żadnych kompetencji, a w tej chwili mogą pociągnąć za sobą tłumy.

Dlaczego niepełnosprawna, 78-letnia pani jest tak oszołomiona propagandą TVP, że wpada w rodzaj amoku i mówi przed wyborami:

Dopóki żyjemy – komunikujemy, a dopóki komunikujemy, można nas zawsze posądzić o kłamstwo.

„Ja muszę Polskę ratować”? Musi wsiąść do taksówki, powstrzymać Trzaskowskiego. Bo po polsku nie umie się wypowiedzieć, dlatego gada pięcioma językami, i nawet Warszawą rządzić nie umie. Tak działa pranie mózgu.

– To lęk jest podstawą takich zachowań. Najpierw zbudowano u tej starszej pani poczucie zagrożenia. Sytuacja w Polsce ma znamiona konfliktu nierozwiązywalnego, przypomina wojnę. A wtedy podejmuje

spotkałem 79-letniego Brytyjczyka, który nie wziął w nim udziału. Pytam, dlaczego. „Bo to byłoby decydowanie o rzeczywistości, w której będą żyły moje dzieci, moje wnuki”. Był jednak odosobniony. Lęk przed czymś spowodował, że starsi ludzie wybrali młodym przyszłość.

Nam wybrali prezydenta.

– Na pewno częściowo zadziałała kiefbasa wyborcza, ale przede wszystkim rozbudzany, coraz silniejszy lęk.

Przez 2 tys. lat chrześcijaństwa, które ma w Dekalogu „nie zabijaj”, bez skrupułów wykonywano karę śmierci.

zła. To są zręby racjonalności, wolimy poprzestawać na uogólnieniach, kupujemy je łatwo, przyjmujemy za dobrą monetę, jeżeli z grubsza pasują do naszego obrazu rzeczywistości. Sami jesteśmy krytyczni wobec UE, a ten człowiek mówi, że ona nas gniecie, pewnie wie coś więcej niż my, więc ma rację. Uzupełniamy sobie w ten sposób swoje hipotezy albo raczej je potwierdzamy. Aktywnie szukamy w otoczeniu informacji potwierdzających nasze informacje. Szukamy potwierdzenia, tworzymy bańki informacyjne, szczególnie poprzez media społecznościowe, a te są doskonałym środkiem dla populistów spod znaku Donalda Trumpa, który na Twitterze wyprawia harce.

– Tak, populiści w internecie czują się dobrze. Internet to szczytowe osiągnięcie demokracji – tutaj każdy może publikować i każdy może znaleźć odbiorców. Ale baniek informacyjnych tak bardzo bym nie demonizował. Że to niby Facebook ogranicza nam dopływ informacji. Pamiętam czasy, kiedy w naszych domach zaczynały się pojawiać

Jakie jest rozwiązanie?

– Cały czas mówię o wykształceniu, ale to praca na pokolenia, nie zrobi się tego za jednym zamachem. Oprócz wykształcenia jest też kwestia zbudowania zaufania, odbudowy takiego stosunku do zawodów zaufania publicznego. W Polsce antyszczepionkowcy oskarżają lekarzy ze szpitala, że uśmiercają pacjentów, podając im morfinę i inne opioidy. Izba lekarska składa wnioski do prokuratury o ściganie autorów tych oskarżeń. I co robi prokuratura? Uznaje, że oskarżenie lekarzy o zabijanie swoich pacjentów nie zagraża interesowi społecznemu. Moja wyobraźnia, jeśli chodzi o możliwości budowania zaufania społecznego, w tym momencie się kończy. Wspomniana wcześniej starsza pani dostrzegała, kiedy nie zwracano uwagi na zaufanie społeczne. Ale również w ostatnich latach zrobiono wiele, aby podważyć zaufanie do różnych grup zawodowych. Zbigniew Ziobro ścigał i cały czas ściga lekarzy, prawników oskarża się o korupcję. Politycy pogłębiają istniejące podziały. Nie możemy więc winić starszej pani, że wybiera populistów.

Akceptujemy polityka, którego lubimy, nawet wiedząc, że on kłamie, jakoś mu wierzymy.

– To dość oczywiste i banalne. Możemy zrobić prosty eksperyment myślowy. Czy pani okłamuje czasami swoje dziecko?

Jak każdy rodzic, drobne kłamstwo dla dobra dziecka...

– I właśnie mamy gotowy schemat moralnego uzasadniania wykroczeń przeciwko własnym wartościom. Okłamując swoje dziecko, uważa pani, że nie występuje przeciwko niemu, tylko dla jego dobra. Czyli literalnie to nie jest grzech. Prawdopodobnie, gdy dziecko dowiaduje się o tym, ma jakieś pretensje, ale rozumie, że skłamała pani dla jego dobra. To samo robimy ze swoimi rodzicami, bliskimi, jeśli uznajemy, że lepiej skłamać dla ich dobra. Oni to wybaczą, bo traktują to jako działanie dla ich dobra, nawet jeżeli

nie do końca z tym się zgadzają. Podobnie jest z politykami. Nawet jeśli ktoś odkryje, bo przeczyta rzetelny artykuł, że na Zachodzie przymusowej eutanazji nie ma, pomyśli: „I tak lepiej, żebym zagłosował na tego polityka, bo zrobił to dla dobra wszystkich”. Wyborca tak sobie uzasadnia kłamstwa polityków.

Polityka, który kłamie, nie spotkają żadne konsekwencje ze strony wyborców.

Oczywiście lubimy tych, którzy są podobni do nas i mają podobne poglądy. Czyli bardziej tych o jasnej karnacji skóry niż o ciemnej itd. Tutaj zahaczamy o niższą tolerancję w stosunku do osób, które inaczej wyglądają, mają inną orientację seksualną, inne poglądy. Gorzej tolerujemy wykroczenia dokonywane przez takie osoby.

bliźniego swego jak siebie samego. Przez kilkaset lat wojen krzyżowych „niewierni” nie byli naszymi bliźnimi. Podobnie chrześcijanie dla „niewiernych” nie byli bliźnimi. To samo dzieje się na każdej wojnie. Zabić bliźniego swego to popełnić grzech ciężki, ale wróg to nie jest bliźni, to obcy.

No tak, rasista kopie „asfalt”,

nie człowieka, armie niszczą wrogie siły nieprzyjaciela, nie zabijają ludzi.

– Tak, przez 2 tys. lat chrześcijaństwa, które ma w Dekalogu „nie zabijaj”, wykonywano z premedytacją okrucieństwem i bez najmniejszych skrupułów karę śmierci. Umożliwił to św. Tomasz z Akwinu, uznając, że osoba, która zabiła, pozbawiła się godności ludzkiej, więc w jej przypadku przykazanie „nie zabijaj” nie obowiązuje. Godność jest fundamentem etyki, a w konsekwencji



Premier Morawiecki zapewniał, że nie trzeba się bać koronawirusa. Minister Szumowski zaczął od oszukania rezydentów.

Opisany przez pana schemat siedzi w głowie odbiorcy kłamstw, a co siedzi w głowie kłamiącego, np. polityka?

– A co siedzi w pani głowie, kiedy okłamuje pani syna? Chce go pani np. uchronić przed jakimś wrogiem, przed kimś, kto mu źle życzy. Okłamie pani wtedy tego wroga bez wahania. I to jest ten relatywizm moralny. Korzenie odnajdziemy w chrześcijaństwie: będziesz miłował

również uregulowań prawnych. Jeśli zatem uznajemy, że popełniając jakiś czyn, osoba pozbawiła się godności, stawiamy ją poza jakimkolwiek prawem moralnym.

Gdy tak pana słucham, myślę, że Robert Feldman, profesor psychologii i neuronauki, zastępca rektora Uniwersytetu Massachusetts, miał rację, mówiąc, że „kłamstwo jest smarem interakcji społecznych, pozwala im przesuwać się do przodu”.

► – Dopóki żyjemy – komunikujemy, a dopóki komunikujemy, można nas zawsze posądzić o kłamstwo. Nawet jeżeli milczymy, interpretacja tego milczenia nie zawsze musi być poprawna, nie zawsze milczeniem przekazujemy coś, co byśmy chcieli. Można powiedzieć, że przestajemy kłamać w chwili śmierci.

Politycy kłamią, a to od razu przenika do opinii publicznej – przez internet, przez prasę. Ale jeśli dziennikarz skłamie, musi sprostować, polityków zaś nie obowiązuje żaden kodeks etyczny. Premier Morawiecki staje setny raz przed kamerami i, patrząc nam w oczy, setny raz powtarza nieprawdę... Internet przezwiał go Mateuszkiem Kłamczuszką. No ale podobno kłamstwo setny raz powtórzone staje się prawdą.

– Tak, to jest problem. Bo jeżeli Andrzej Duda obiecał coś przed wyborami i tuż po nich zaczyna się wycofywać, mówiąc, że to były jego życzenia, a nie obietnice, to wykorzystuje słowa do rozmyślenia prawdy. Żyjemy w czasach, kiedy językoznawcy uznają wykorzystywanie pleonazmu fakty autentyczne za uzasadnione, bo fakty autentyczne

Kłamstwo jest więc nieodłącznym elementem gry politycznej. John Mearsheimer, ekspert od polityki zagranicznej USA, twierdzi, że politycy kłamią na gruncie narodowym, na międzynarodowym czegoś nie dopowiadają, coś podkoryzują, ale starają się nie kłamać.

– Na gruncie międzynarodowym powstrzymuje ich siła, boją się nie tyle kłamstwa, ile konsekwencji kłamstwa. Boją się równie silnych jak oni i silniejszych. Za kłamstwo spotykają ich bardzo poważne konsekwencje, z wydaleniem z danej grupy włącznie. Zrobięś nam świństwo, więc nie chcemy cię. Są organizacje, które gwarantują pewną stabilizację. Jest lęk przed tym, co się stanie, jeżeli wypadnie się z tej grupy. Prosty przykład z zupełnie innej beczki: jeśli trafimy w więzieniu do grupy grypsujących, będzie nas obowiązywał pewien kodeks



Kłamstwo
ma krótkie nogi

Osobowość Kaczyńskiego dopasowała się świetnie do garnituru lęków charakterystycznego dla wielu ludzi w tym kraju.

stały się czymś różnym od faktów medialnych. No i mamy robiące karierę określenie postprawda. Świat przestaje być powoli czarno-biały, jednoznaczny, fakty stają się medialne, rzeczywistość staje się wirtualna. Powszechnie dostępne oprogramowanie pozwala dowolnej osobie – czy to Andrzejowi Dudzie, czy Donaldowi Trumpowi – włożyć dowolną wypowiedź w usta, dostosowując do wypowiedzi ich mimikę i artykulację. Takie nagranie udostępnione w internecie staje się faktem medialnym, ale przecież nie jest faktem autentycznym.

Dlaczego więc politycy kłamią?

– Na przykład dlatego, że są przekonani o swojej moralnej wyższości. To powoduje, że przystępują do tego, a nie innego ugrupowania. Prawdopodobnie dopiero za przekonaniem o moralnej wyższości idą kolejne motywy, takie jak cynizm i wyrachowanie.

moralny. Drugiego grypsującego nie wolno nam okłamać, okraść itd. Można to zrobić strażnikowi, innemu więźniowi, ale nie grypsującemu, bo spotkają nas poważne konsekwencje z szykanami i wydaleniem z grupy włącznie. Choć... kiedy obserwuje się polskich rządzących, wydaje się, że nie mają żadnych oporów przed wypadnięciem z międzynarodowej gry.

Polacy są przedstawicielami kultury narzekania.

Chyba nawet proszą się o to.

– No właśnie, przykład polskiej polityki zagranicznej nie potwierdzałby tezy Mearsheimera. Może niekoniecznie z powodu kłamstwa proszą się o wykluczenie z gry, ale bezczelnością, absurdalnością posunięć na arenie międzynarodowej już tak. Dziennikarzy obowiązuje prawo prasowe, jeśli je złamią, mogą wylądować w sądzie. Tak samo w polityce

międzynarodowej są dość poważne konsekwencje nadużycia zaufania. Afery, w które były zaangażowane różne ekipy rządzące w ostatnich latach, pokazują jednak, że politycy w Polsce mogą bezkarnie nadużywać zaufania wyborców. Owszem, mogą zdecydować, że politycy są kompletnie niegodni zaufania i nie pójść na wybory, ale co zyskam taką postawą? Pokażę politykom, że liczba osób chodzących na wybory maleje, więc oni przestają się liczyć?

Ostatnie wybory pokazały coś przeciwnego: frekwencja była wysoka.

– Ale została napędzona strachem. Wybory z niską frekwencją odbywały się w czasach stosunkowo spokojnych: była ciepła woda w kranie, prąd, chleb. I wtedy ludzie nie szli

na wybory, bo było im wszystko jedno, czy ta, czy tamta partia jest u steru. Ludzie się nie bali, bo wiedzieli, że jest rozwój ekonomiczny, nie ma bezrobocia, jest praca. Że granice są otwarte, żyjemy, bawimy się, pracujemy. Polityka, który kłamie, nie spotyka żadnych konsekwencji ze strony wyborców, kiedy decyduje mniejsze zło. One mogłyby być, gdyby polityka kiedykolwiek była budowana

na zaufaniu. Niestety, większość naszych wyborów polegała nie na nagradzaniu osób godnych zaufania, lecz na odsuwaniu od władzy tych, których uznawaliśmy za złych.

Jean Baudrillard nazywa to, co robią politycy, uwodzeniem. Uwodzą obywateli poprzez obiecywanie im realizacji pragnień. I to jest chyba jeszcze szkoła Machiavellego.

– Oj, ja bym w stosunku do tego, co robią nasi politycy, na pewno nie użył słowa uwodzenie. To słowo ma kontekst damsko-męski. Zakłada obecność pozytywnych, przyjemnych bodźców. A nasi politycy zastraszają na każdym kroku: a to liberałowie będą odcinać aparaturę podtrzymującą życie, a to homoseksualiści będą nasze dzieci chędożyć. I potem nawet jak ci politycy nic nie robią, to jednak dotrzymują obietnicy, że nie będzie eutanazji, małżeństw homoseksualnych albo przynajmniej adopcji dzieci przez te małżeństwa. Tak oto polityk myśli: uratowałem rzeczywistość przed totalną katastrofą. No i co z tego, że nic nie zrobiłem, że gospodarka się załamała? Były przecież ważniejsze rzeczy do zrobienia! Czy to jest uwodzenie? To jest zastraszanie, bliższe zaganianiu bydła do zagrody. Nasi wyborcy gromadzą się nawet nie przy samcu alfa, bo przy najlepszych chęciach trudno tak nazwać prezydenta Dudę, lecz przy reprezentancie opcji, która najpierw rozbudza, a potem redukuje ich lęki.

Wróćmy do Machiavellego.

– Książę Machiavellego wchodzi do księstwa zdobytego, a nie odziedziczonego w wyniku praw dynastii. Zdobytą władzę musi utrwalić i dostosować swoje metody rządzenia do tego, czego lud oczekuje. Jest wyrafinowanym graczem – potrafi poruszać różne struny, doprowadzić do tego, że lud będzie go miłował. A jeśli nie będzie go miłował, to – mówi Machiavelli – niech przynajmniej się boi. To jest druga propozycja, nie pierwsza. W Polsce mamy księstwo dziedziczne, mimo to lud jest rządzony poprzez wzbudzanie nie miłości, tylko lęku. Wielki ukłon dla Machiavellego, wiele nauki powinno płynąć od niego do rodzimych polityków. On proponuje co prawda instrumentalne traktowanie rzeczywistości społecznej, ale mądre. Sugeruje tworzenie dobrego

państwa, gdzie miłość jest skutecznym środkiem zdobywania i utrzymywania władzy. Książę, jeśli to możliwe, powinien doprowadzić do tego, żeby lud go miłował, a nie żeby się go bał lub popierał z obawy przed zagrożeniami.

Cóż, daleko w Polsce do tego...

– Tak, podobnie jak daleko do sytuacji, o której pisał w słynnym traktacie o wojnie Sun Tzu. W jego przekonaniu wygranie wojny oznaczało nie zniszczenie przeciwnika, lecz doprowadzenie do tego, żeby oddziały

Jesteśmy społeczeństwem o jednym z najniższych wskaźników zaufania w Europie.

wroga stanęły pod naszym dowództwem, i przekonanie najechanych narodów, że jest się lepszym władcą, niż był poprzedni. Nie znajduję w historii zbyt wielu tak prymitywnych sytuacji jak obecnie w Polsce.

W kłamaniu wielką rolę odgrywa fatyczna funkcja języka, służąca podtrzymaniu kontaktu. Na ulicy słychać gdakanie na zasadzie: no, tak, tak, ten Trzaskowski taki jest okropny, tak, tak, ten Duda to dopiero! Antropolog Robin Dunbar napisał książkę „Pchły, płotki a ewolucja języka”. Na początku język pełnił w ludzkich grupach funkcję podobną do wzajemnego iskania się małp. Takiego gdać.

– Polacy są przedstawicielami, jak to określają psycholodzy, kultury narzekania, społeczeństwem

o jednym z najniższych wskaźników zaufania w Europie. Jesteśmy nie-szczęśliwi, nieufni, naburmuszeni na sąsiadów. Nasze narzekactwo nie jest genetyczne, bo nie ma czegoś takiego jak charakter narodowy. To ponuractwo należałoby przypisać warunkom zewnętrznym i uwarunkowaniom historycznym. Przeciętny Amerykanin zwykle deklaruje samopoczucie lepsze niż przeciętne, co z logicznego punktu widzenia źle brzmi, ale o czymś mówi. To samo badanie zrobione w Polsce pokazuje,

że przeciętny Polak zwykle deklaruje samopoczucie gorsze niż przeciętne. Kiedy spotykają się dwaj Amerykanie, na pytanie, co słychać, pada odpowiedź: wszystko świetnie, fantastycznie, a jak spotykają się Polacy, na pytanie, co słychać, odpowiadają: stara bieda, w polityce kiepsko, zdrowie kiepsko, wątroba boli. Wymieniamy informacje negatywne, nie pozytywne. Bogdan Wojciszke przeprowadził kiedyś badania, w których próbował odpowiedzieć na pytanie, jakie to przynosi rezultaty. Okazuje się, że narzekanie, poza tym, że podtrzymuje relacje, obniża nastrój. Polacy po takiej wymianie zdań rozchodzą się w gorszym nastroju, niż gdy się spotkali.

Beata Igielska

KTO RZĄDZI, TEN BŁĄDZI?

Czy jesteśmy skazani
na rządy psychopatów?

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL



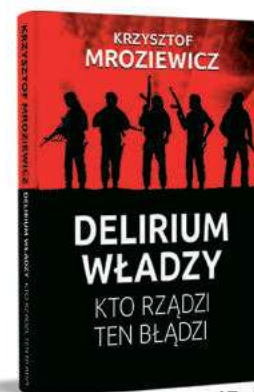
Wpłać 47 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.

Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł,

paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



47 zł



E-BOOK
19,90 zł

Orlen swój widzą ogromny

Dlaczego rząd konsoliduje sektor energetyczny?

Marek Czarkowski

14 lipca br. premier Mateusz Morawiecki w towarzystwie prezesa PKN Orlen Daniela Obajtkę ogłosił, że fuzja Orlenu i Lotosu – a właściwie przejęcie Lotosu przez PKN Orlen – stanie się faktem. „To odważny kierunek rozwoju i budowy czempiona europejskiego w skali całej Europy, z ambicjami wychodzenia na inne rynki”, podkreślił z emfazą premier.

Pretekst do spotkania z mediami dała mu warunkowa zgoda Komisji Europejskiej na tę operację. Zaskoczenia nie było. Negocjacje z Brukselą toczyły się od roku 2018. Wola polityczna PiS w tej sprawie była żelazna.

Tego samego dnia opublikowano komunikat mówiący, że 10 lipca rozpoczęły się negocjacje między Orlenem a skarbem państwa (jak można się domyślać, reprezentowanym przez ministra Jacka Sasina) w sprawie przejęcia kontroli kapitałowej nad kolejną wielką spółką energetyczną – Polskim Górnictwem Naftowym i Gazownictwem. Ma to być kolejny krok do utworzenia wielkiego polskiego koncernu energetycznego na wzór koreańskich czebolli.

14 lipca br. Orlen podpisał ze skarbem państwa list intencyjny w sprawie startu procesu przejęcia przez spółkę kontroli kapitałowej nad PGNiG, a już 23 lipca firmy zawarły umowę o współpracy i zachowaniu poufności w tej sprawie. Ważnym jej punktem było zobowiązanie do prawidłowego przygotowania zgłoszenia do Komisji Europejskiej zamiaru dokonania koncentracji o wymiarze wspólnotowym. Oznacza to, że i w tej sprawie decyzja polityczna zapadła i za jakiś czas – rozmowy z KE na temat przejęcia Lotosu trwały ponad półtora roku – będziemy mieli w kraju megakoncern energetyczny zajmujący się niemal wszystkim.

W roku 2019 skonsolidowane przychody PKN Orlen ze sprzedaży

wyniosły 111,2 mld zł. PGNiG – 42,02 mld zł. Gdy dodamy do tego Enerę – trzeciego pod względem wielkości sprzedawcę energii elektrycznej w Polsce, przejętego przez Orlen w kwietniu br. – oraz Grupę Lotos, wartość nowego tworu gospodarczego może sięgnąć ponad 100 mld zł. Z pewnością na tym się nie skończy. Bo Orlen przymierza się do przejęcia Ruchu. I zaczyna działać nie jak koncern paliwowy – którym bardzo szybko przestaje być – ale jak fundusz inwestycyjny, który buduje swoją wartość poprzez kolejne fuzje i przejęcia. To ryzykowna strategia, która może się skończyć bardzo poważnymi problemami.

W przeszłości zarówno PKN Orlen, i Grupa Lotos wykazywały straty. I jak może to się powtórzyć na większą skalę.

Orlen zaczyna działać jak fundusz inwestycyjny, który buduje swoją wartość poprzez kolejne fuzje i przejęcia. To ryzykowna strategia.

Na przykład w roku 2008 Orlen wykazał stratę 2,5 mld zł, w roku 2014 – 5,8 mld zł. O wcześniejszych problemach finansowych koncernu spowodowanych zakupem litewskiej rafinerii Możejki pisaliśmy na łamach PRZEGLĄDU wielokrotnie.

Grupa Lotos także nie uniknęła kłopotów, związanych choćby z nieudaną inwestycją w złożę ropy naftowej Yme na Morzu Północnym i żenującej wpadki z osławioną platformą wiertniczą należącą do spółki SBM Offshore, która musiała zostać usunięta z norweskiego złoża z powodu wadliwej konstrukcji. Lotos nie wydobył z jej pomocą ani jednej baryłki ropy.

Rok 2020 z powodu koronawirusa zaczął się dla obu koncernów źle. Ropa naftowa gwałtownie staniała, spadło zapotrzebowanie gospodarek na paliwa, co musiało przynieść straty. Lotos w I kwartale stracił 1,3 mld zł, Orlen – 2,2 mld zł. Łącznie straty wyniosły 3,5 mld zł. Do końca roku raczej nie uda się tego odrobić.

Najwyraźniej prezes Obajtek, podobnie jak kierownictwo polityczne kraju, doszedł do wniosku, że trzeba pójść do przodu.

Diabeł tkwi w szczegółach

Pomysł fuzji Orlenu i Lotosu ma długą historię. Po raz pierwszy pojawił się w latach 90. XX w. Plany połączenia Petrochemii Płockiej oraz Rafinerii Gdańskiej (tak wówczas nazywały się te firmy) wzbudziły zdecydowany sprzeciw trójmiejskich polityków. Wtedy jeszcze bez względu na polityczną proveniencję. Posiadanie na swoim terenie centrali dużej firmy paliwowej oznaczało nie tylko prestiż, ale i wpływy z podatków oraz inwestycje. No i miejsca pracy.

Niestrudzonym obrońcą niezależności Lotosu był Paweł Olechnowicz,

prezes grupy w latach 2002-2016. W roku 2007, gdy premierem był Jarosław Kaczyński, w jednym z wywiadów Olechnowicz przekonywał, że fuzja koncernów może przynieść więcej problemów niż korzyści. Ostrzegał, że Komisja Europejska może postawić twarde warunki i nakazać sprzedaż części aktywów.

„Trudno oczekiwać, że Bruksela nie zakwestionuje np. monopolu na rynku hurtowym paliw czy też asfaltów i olejów smarowych, bo taki monopol powstanie”, mówił. Wyjaśniał, że gdy dojdzie do fuzji, „okaże się, że trzeba sprzedać jeden z zakładów asfaltów, ograniczyć produkcję olejów i pozbyć się części stacji paliw. Co w tej sytuacji pozostanie z grupy Lotos? Obawiam się, że tylko rafineria w Gdańsku i część wydobywczą – Petrobaltic”.

Rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Komisja Europejska nakazała m.in. sprzedaż 389 stacji benzynowych należących do Lotosu. Sprzedać trzeba będzie również



Premier Morawiecki, wicepremier Sasin i prezes Obajtek są zadowoleni. Czy zadowolą Polaków?

50% udziałów w spółce *joint venture* z koncernem BP zajmującej się obrotem paliwem lotniczym i 30% udziałów w nowoczesnej rafinerii w Gdańsku wraz z solidnym pakietem praw zarządczych. „Nowy” Orlen musiałby też zapewnić – jak należy się domyślać – spółce, która kupi wspomniane 30% udziałów, swobodny dostęp do terminala, przez który będzie transportowane paliwo ze statków, oraz możliwość korzystania z kilku magazynów paliw na terenie kraju. Krytycy przejęcia Lotosu przez Orlen zwracają uwagę, że spełnienie tych warunków może oznaczać pojawienie się na rynku kolejnego dużego gracza, niezależnego od władz państwowych. Czego przez lata udawało się unikać.

To najważniejsze warunki Brukseli, choć jest jeszcze żądanie sprzedaży dwóch fabryk asfaltu na południu Polski.

Zdecydowany sprzeciw zgłosili samorządowcy. Sejmik Województwa Pomorskiego – kontrolowany przez Platformę Obywatelską – przyjął uchwałę, w której wyraził „głębokie zaniepokojenie planami przejęcia Grupy Lotos przez PKN Orlen”. Stwierdził, że warunki, na jakich miałyby się dokonać ów proces,

są odległe od haseł PiS budowy „państwowego giganta” i „narodowego czempiona energetycznego”. Przeciwnie – zdaniem radnych wojewódzkich dojdzie wręcz do ogłoszenia Grupy Lotos z tworzonego przez lata majątku. Szczególne emocje wzbudziła konieczność sprzedaży 30% akcji nieznanemu dziś konkurentowi Orlenu i Lotosu. W ocenie prawicowych komentatorów może

Dojdzie do ogłoszenia Grupy Lotos z tworzonego przez lata majątku.

nim być rosyjski koncern wspierany przez niemieckich polityków i Putina. A to byłoby groźne dla bezpieczeństwa energetycznego kraju.

Pomorscy radni widzą w przejęciu Lotosu przez Orlen także „próbę wyprzedaży majątku narodowego oraz cichej prywatyzacji”. I ostrzegają przed konsekwencjami w postaci utraty miejsc pracy oraz wpływów dla regionu z podatku CIT.

Nie sądzę, by rząd premiera Mateusza Morawieckiego podzielał te obawy. Lokalni politycy Prawa i Sprawiedliwości natychmiast dali odpór kolegom z PO, zarzucając im demagogię oraz nieliczenie się z faktami. Wskazywano podobne operacje, które miały miejsce w Europie, oraz

obietnice prezesa Daniela Obajtka, że miejsca pracy pozostaną w regionie, podobnie jak wpływy podatkowe. Czas pokaże, kto miał rację.

Pisowski CPN

Konsolidację dużych spółek energetycznych będących własnością skarbu państwa przez PKN Orlen krytycy rządu nazywają powrotem do PRL i budową pisowskiego CPN. Dowodzą, że to nie może się udać, tak jak nie udała się fuzja Daimlera i Chyslera. Jeśli do tego dojdzie, straty będziemy liczyli w miliardach. Może też się okazać, że operacja co prawda się powiodła, tylko jej koszty były wyższe od oczekiwanych. Za co solidarnie zapłacimy wszyscy. Ceną litra benzyny, metra sześciennego gazu czy kilowatogodziny. Poza tym zarząd PKN Orlen nie ma zamiaru zatrzymać się na przejęciu Energi, Grupy Lotos, PGNiG i Ruchu, tylko będzie szukał kolejnych okazji. Wchodził w nowe przedsięwzięcia. Na przykład w produkcję samochodów elektrycznych.

Jednym z założycieli spółki Electro-Mobility Poland była w roku 2016 Energa, która w kwietniu br. została przejęta przez PKN Orlen. 28 lipca br. szefostwo ElectroMobility zaprezentowało dwa zaprojektowane we Włoszech modele samochodów elektrycznych, które pod marką Ilera mają być produkowane nad Wisłą. Dotychczas cztery kontrolowane

przez rząd koncerny energetyczne – PGE, Tauron, Enea i Energa – włożyły w ten projekt 70 mln zł. Lecz by uruchomić seryjną produkcję, potrzeba 4-5 mld zł. A znając polskie realia, pewnie więcej. Kogo stać na taki wydatek? Albo komu banki i fundusze inwestycyjne pożyczą takie pieniądze? Jest dla mnie jasne, że megakoncern PKN Orlen będzie wiarygodnym partnerem i kasa się znajdzie. Tylko czy Ilera okaże się komercyjnym sukcesem i choć odrobinę przybliży spełnienie obietnicy premiera Mateusza Morawieckiego, który mówił o milionie samochodów elektrycznych na polskich drogach w roku 2025? Obawiam się, że może być z tym problem. ▶

► Z wypowiedzi szefów Electro-Mobility Poland wynika, że jeśli zapadnie decyzja o produkcji Izery, to kluczowe podzespoły, takie jak płyta podłogowa samochodu, silniki elektryczne i akumulatory, będą kupowane u zagranicznych dostawców bądź produkowane w kraju po uzyskaniu licencji.

Polska wprowadzić jest dużym producentem i dostawcą podzespołów dla przemysłu samochodowego, ale chodzi o samochody spalinowe, nie elektryczne. Jeśli Izera miałaby odnieść sukces, musiałaby być tania, trwała, niezawodna i mieć spory zasięg. Wątpię, czy uda się to osiągnąć, zwłaszcza że samochody elektryczne mają w ofercie wszystkie duże koncerny, które starają się poprawić ich jakość i obniżyć cenę.

Warto pamiętać, że spółka Elona Muska – Tesla – wyznaczająca kierunki rozwoju samochodów elektrycznych, cały czas generuje straty – w roku 2019 było to 775 mln dol. I to mimo faktu, że produkowane przez nią modele sprzedają się jak ciepłe bułeczki. Ale „Polak potrafi” i chłopcy z ElectroMobility „pozamiatają” Tesłę na światowych rynkach!

W konsolidacji spółek energetycznych przez PKN Orlen jest rzecz, na którą media i politycy nie zwracają uwagi. Najważniejsza i najkosztowniejsza. To transformacja polskiej energetyki. Co ciekawe, prezes

Obajtek tego nie ukrywa. W wywiadach powtarza: „Musimy też sami jako koncern przejść transformację. Możliwe, że za 15 lat będziemy tankować wodór zamiast benzyny. Te technologie jednak kosztują, ale dzięki połączeniu sił będziemy mieli więcej pieniędzy na inwestycje”.

Według posiadanych przeze mnie informacji rząd podjął już decyzję o rezygnacji z technologii węglowej w energetyce i zastąpieniu jej technologiami opartymi na gazie oraz odnawialnych źródłach energii. Kontrolowana przez Orlen Energa zrezygnowała z rozbudowy bazującej na węglu elektrowni w Ostrołęce, tracąc prawie miliard złotych. I głowy nie polecały.

Kopalnie w Polsce będą zamykane, a Orlen pośrednio ma odegrać w tym procesie dużą rolę.

W związku z planami restrukturyzacji Polskiej Grupy Górniczej, której kondycja jest fatalna, przedstawiciele Ministerstwa Aktywów Państwowych przekazali dziennikarzom plany zamknięcia kopalni Wujek, trzech ruchów kopalni Rudna, obniżki wynagrodzeń górników itp. Wściekli związkowcy zagrozili zorganizowaniem w Warszawie demonstracji, rząd natychmiast się wycofał, a wicepremier Sasin został obwiniony o wywołanie zamieszania. Wyrwał

się przed szeregiem czy prowadził rozpoznanie bojem?

Oczywiście kopalnie w Polsce będą zamykane, a PKN Orlen ma pośrednio odegrać w tym procesie dużą rolę. Dlaczego? Wiosną tego roku Komisja Europejska rozpoczęła realizację programu pod nazwą Europejski Zielony Ład, którego jednym z celów jest osiągnięcie w roku 2050 zerowego poziomu emisji gazów cieplarnianych netto w skali kontynentu. Oznacza to głęboką transformację sektorów energetycznych w krajach Unii, odejście od transportu opartego na silnikach spalinowych na rzecz elektrycznych, rewolucyjne zmiany w przemyśle ciężkim itp. Bruksela

szacuje, że będzie to kosztowało ponad bilion euro.

Jedną z technologii, z którymi związane są ogromne nadzieje, jest energetyka wodorowa. Wiadomo, że wodór, reagując z tlenem, uwalnia znaczną ilość energii, a jedynym produktem ubocznym jest woda. To paliwo ekologicznie doskonałe. Wykazuje też predyspozycje do bezpośredniego przetwarzania energii reakcji z tlenem w energię elektryczną w ogniach paliwowych. No i łatwiej go magazynować niż prąd. Od lat trwają prace nad tanimi technologiami pozyskiwania wodoru metodami bezemisyjnymi bądź niskoemisyjnymi. W tym wyścigu Polska się nie liczy.

Rząd wie, że jedynie bardzo duże koncerny będą w stanie udźwignąć koszty tych rewolucyjnych zmian. Przyjdzie stworzyć od podstaw nowy przemysł. Chyba że wpuszczymy do Polski firmy niemieckie, francuskie, rosyjskie... a wtedy pojęcie bezpieczeństwa energetycznego w rozumieniu PiS będzie abstrakcją.

Dlatego PKN Orlen dostał zielone światło dla swoich macierzystych planów, a w innych należących do skarbu państwa spółkach energetycznych trwają intensywne poszukiwania specjalistów od nowych technologii. Problem w tym, że ich prawie nie ma. Ale to już zupełnie inna historia...

Marek Czarkowski

W nocy z 27 na 28 lipca w Rycerce Górnej w wieku 70 lat odszedł na zawsze

dr hab. plk w st. spocz. Jerzy Konieczny profesor Uniwersytetu Opolskiego

Nauczyciel akademicki, działacz opozycji demokratycznej w PRL, a w III Rzeczypospolitej organizator i szef Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Katowicach, później zastępca szefa UOP i jego szef w latach 1992-1993.

Następnie także przez kilka miesięcy minister spraw wewnętrznych.

Za zasługi dla bezpieczeństwa Rzeczypospolitej odznaczony

Odznaką Honorową im. Stefana Roweckiego „Grota”.

Po roku 1996 wycofał się z życia publicznego, zajmując wyłącznie nauką.

Przez kilkanaście lat był profesorem w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, a ostatnio profesorem Uniwersytetu Opolskiego.

Był cenionym specjalistą z zakresu kryminalistyki i nauki o bezpieczeństwie, autorem wielu ważnych prac naukowych. Ale przede wszystkim był prawym człowiekiem.

Żegnamy Cię, Jurku, będzie nam Ciebie brakowało

Jan Widacki wraz z gronem przyjaciół i kolegów z uczelni i MSW III RP

Z Galicji



Jan Widacki

Zmieszanymi uczuciami przyjąłem informację, że rzecznik praw obywatelskich wystąpił do Sądu Najwyższego z wnioskiem o kasację wyroku w procesie brzeskim.

Oczywiście sam proces i potraktowanie działaczy opozycji, w tym osób o ogromnych zasługach dla Polski, były czymś obrzydliwym, niezmywalną plamą na historii Polski sanacyjnej. Były (i są!) skazą na życiorysie jednego z największych Polaków, jakim niewątpliwie był Józef Piłsudski.

Z drugiej jednak strony mam wątpliwości, czy wydarzenia sprzed lat 90 powinny być przedmiotem oceny sądu. Czy sąd jest właściwym organem do kreowania prawomocnych ocen historii.

PSL już dawno mówiło o tym, że Witosza trzeba rehabilitować. Inna rzecz, że o pozostałych skazanych w procesie brzeskim nie pamiętało (o ile w ogóle wiedziało). Ale PSL powinno dążyć do stosownej uchwały Sejmu, mającej skutek jedynie moralny, a nie czekać na sądowy wyrok.

Staram się zrozumieć szlachetny motyw rzecznika praw obywatelskich dr. Adama Bodnara, którego niezwykle cenię,

Czy Witos i jego rola w historii Polski zyskają coś na wyroku Sądu Najwyższego, który uchyliłby prawomocny wyrok zapadły w procesie brzeskim?

Zalóżmy, że Sąd Najwyższy (w niekwestionowanym składzie) uchyli prawomocny wyrok w procesie Witosy i innych. I co dalej? Przekaze sprawę do ponownego rozpoznania właściwemu sądowi (któremu? w Brześciu? na Białorusi?) czy też, nie mając wyjścia, uniewinni oskarżonych? Jeśli tak, to na jakiej podstawie? Oprze się na opiniach biegłych historyków? To może na tych opiniach, bez procesu i Sądu Najwyższego, wystarczy poprzestać? Kolejne pytanie: kto w tym procesie będzie reprezentował oskarżenie? Współczesny prokurator ze stajni Zbigniewa Ziobry? Jak skonstruować strony tego zadziwiającego procesu? O obrońców, jak sądzę, nietrudno. Czy oskarżyciel będzie się opierał na opiniach historyków sprzyjających sanacji? Czy w ogóle zrezygnuje ze swojej roli?

A co, gdy sąd ustali, że na proces i zapadły w nim wyrok naciskała władza wykonawcza, w tym marszałek Józef Piłsudski? Będzie jakaś sygnalizacja do prokuratury? Piłsudskiego

Kasacja wyroku w procesie brzeskim

ale równocześnie muszę stwierdzić, że uległ on IPN-owskiej filozofii i metodologii pisanie historii. Filozofii i metodologii, które uważam za błędne i, co więcej, w najwyższym stopniu niebezpieczne.

Mój zasadniczy sprzeciw budzi przyjęcie, że prawdy i oceny historyczne mogą być kreowane przez sądy i uzyskiwać prawomocność jako wyroki sądowe. Pomijam już fakt, że trzeba rozważyć, jaki jest sens rozstrzygania sporów historycznych przez wyroki sądów rejonowych, a choćby i Sądu Najwyższego. Jak głęboko procesem sądowym można ingerować w historię? Jeśli można wyrokiem sądowym oceniać wydarzenie sprzed lat 90, to czy wolno sprzed 190? A może sprzed ponad 900? Jeśli można skutecznie złożyć kasację od wyroku sprzed lat 90, to dlaczego nie można sięgnąć jeszcze głębiej w historię? Czy można złożyć kasację od wyroku, który w 1824 r. wydał Sąd Królestwa Polskiego (z gen. Skrzyneckim w składzie) na Waleriana Łukasińskiego? A może by złożyć kasację od wyroku, jaki na św. Stanisława wydał Bolesław Śmiały? Jak daleko w historię można ingerować procesem sądowym? Jest jakaś granica czasowa?

Gdzie zaczyna się absurd? Gdy próbujemy kasować wyroki po 900 latach, po 200 czy może już po 90?

Czy św. Stanisław byłby bardziej święty, gdyby Sąd Najwyższy (choćby w niekwestionowanym składzie) w drodze kasacji uchylił wyrok, jaki wydał (a wedle Kadłubka nawet wykonał) Bolesław Śmiały? Czy Łukasińskiego podziwialibyśmy bardziej, gdyby wyrok polskiego (tak, polskiego, nie rosyjskiego!) sądu w drodze kasacji uchylił Sąd Najwyższy?

uratuje przedawnienie? W tym dziwnym procesie absurd będzie gonił absurd.

Witos i towarzysze wyjdą z tego sądu więksi? Ich rola w historii Polski wzrośnie? Wątpię.

Obawiam się, że kierując się dobrymi intencjami, rzecznik praw obywatelskich nieświadomie przyjął filozofię IPN. To nie tylko śmieszne. To groźne. Prawd historycznych nie ustala się prawomocnymi wyrokami sądów. Nawet gdy sądy są w pełni niezawisłe. A co dopiero, gdy nie bardzo są, a państwo prowadzi politykę historyczną. To naprawdę niebezpieczne. Żaden prawomocny wyrok nie może rozstrzygać sporu historycznego! Stronami takiego sporu muszą być historycy, a nie prokurator i obrońca. Arbitrem też musi być środowisko historyków, a nie byle sąd rejonowy. Choćby nawet w pełni niezawisły. A co dopiero sąd podporządkowany polityce historycznej państwa.

Przy całym szacunku, jaki żywię dla jego urzędu i dla jego osoby, obawiam się, że rzecznik praw obywatelskich wkroczył na bardzo niebezpieczną ścieżkę, która w prosty sposób prowadzi do tego, że spory historyczne prawomocnie rozstrzygać będą sądy. Obawiam się, że PiS jest tym zachwycony. Na podstawie orzeczeń sądowych można będzie napisać od nowa współczesną historię Polski, a wkrótce całą historię. Byleby sądy były już „nasze”. Historykom grozi bezrobocie, a spory między nimi, dotąd naukowe, staną się sporami sądowymi i rozstrzygać je będą prawomocnie sądy, co *ex definitione* kończyć będzie dyskusje.

Strasza perspektywa. Nie czuje Pan tego, Panie Doktorze?

Helena Leman

23 lipca rano na promenadzie w Rowach pusto. Tylko wiatr goni po wodzie białe grzywy, rozpryskując je na falochronie. Otwarte morze huczy, krzyczą mewy, kormorany jak dwa posążki zastygły na bojach. Widać zniszczoną przez zimowy sztorm plażę wschodnią. Na ławce ukrytej we wnętrzu promenady przycupnęła turystka z Raciborza. Wymknęła się tak wcześniej, żeby posłuchać huku fal.

– Zawsze wybieram tę ławkę, z niej jest najlepszy widok – mówi. – Wczoraj wieczorem wiało jeszcze mocniej, w pewnym momencie zrobiła się nawet mała burza piaskowa, a w niej zachodziło wielkie, czerwone słońce. Chociaż do Rowów przyjeżdżam prawie co roku, takiego zachodu jeszcze nie widziałam. Mój mąż zawsze powtarza, że urlop bez Rowów to żaden urlop, jest w tym jakaś prawda.

Mieszkają z wnukami u dalszej rodziny męża. – Dzisiejsi wczasowicze chcą mieć luksusy, a nam wystarczy podwórko dla dzieci. Nie musimy mieć łazienki jak z folderu reklamowego. Nasi gospodarze, rybacy, zawsze żyli skromnie. Dawniej odstępowali letnikom swój dom, a sami w sezonie mieszkali w drewnianej budzie. Jak przyjechałam tutaj pierwszy raz, w latach 80., to szło się przez pusty las do morza, a dzisiaj w tym miejscu pensjonat na pensjonacie. Trochę brakuje mi tej pustki.

Ewa, emerytka z Torunia, również wymknęła się na samotny spacer. Odpoczywa w Rowach od 26 lat: – W tym roku planowaliśmy przyjechać z mężem na tydzień na początku maja, ale z powodu epidemii musieliśmy przełożyć wyjazd na lipiec. Nie jest to nam na rękę, wolimy Rowy poza sezonem. Jeśli nie będzie drugiej fali zachorowań, wrócimy tu jesienią.

Kobiety podkreślają, że lęk przed koronawirusem jest. – Rowy kiedyś to była wioseczka, teraz wyrasta tu kurort – dodaje Ewa. – Staram się unikać tłumu, jednak czasami to niemożliwe. Ale i tak bezpieczniej tu niż w innych nadmorskich miejscowościach, za to raczej nie taniej.

Drogo, ale nie wszędzie

W pensjonacie przy ulicy Kapińskiej, w którym pytam o nocleg,



Plaża w Piaskach.

Nadmorskie wakacje w cieniu koronawirusa

Gdy tylko Polacy mijają znak z napisem Krynica Morska, zachowują się, jakby epidemia nie istniała, a zakazy nie obowiązywały

wolny jest tylko jeden pokój dwuosobowy z balkonem, łazienką i aneksem kuchennym. Cena ze 170 zł za noc spada po negocjacjach do 120, ale ostatecznie płacę 130, „z VAT”.

– Wydaje się, że taka cena za jedynkę to dużo, ale proszę na to spojrzeć z mojej strony – tłumaczy gospodyni. – Za sprząatanie dwuosobowego pokoju sprzątaczką bierze 50 zł, a apartamentu 80 zł. Ponieważ osób do sprzątania na miejscu brakuje, trzeba je przywieźć z okolicznych miejscowości i tam odwieźć. Dochodzą więc koszty transportu, do tego należy doliczyć media, których ceny też rosną, pranie pościeli i środki dezynfekcyjne związane z epidemią. Nocleg za 50 zł to w Rowach już niski standard. Sezon tu jest krótki, a w tym roku pełne obłożenie mamy dopiero w lipcu.

Ewa z Torunia wynajmuje z mężem pokój z łazienką za 120 zł za noc, ale

bez aneksu kuchennego. – A tak by się przydał – wzdycha – byłoby taniej coś upichcić samemu. Ja na śniadanie zjem cokolwiek, serek czy jogurt, ale mąż marzy o jajeczniczy. A stołowanie się tylko w restauracjach na naszą emerycką kieszeń już nie jest.

Wczasowiczka z Raciborza za jeden nocleg dla czterech osób płaci 180 zł. Posiłki dla męża i wnuków przygotowuje sama, bo inaczej budżet domowy by się nie spiął. – Jest taki punkt w Rowach, gdzie sprzedają najlepsze gofry – mówi. – W zeszłym roku kosztowały 11-12 zł, a w tym już 20. Kupię cztery i stówki prawie nie ma.

Tajemnicą poliszynela jest, że najlepszą rybę w Rowach zje się w małej smażalni U Juliusza przy ulicy Plażowej. Od godz. 12 do 20 obiegają ją tłum wczasowiczów. Nie wytrzymałam w tej kolejce i porcję dorsza zamieniłam na amerykańskiego red burgera za 23 zł z czerwonego food trucka.

– Zawsze chodziłam na dorsza do Juliusza, ale w tym roku nie pójdę – zarzeka się turystka, która też na urlopie gotuje dla siebie i męża. – Za dwie porcje tej ryby z frytkami i surówką można i 100 zł zapłacić. Jest zakaz połowu i dorsz jest w cenie.

Są jednak miejsca w Rowach, gdzie obiad można zjeść za 15-17 zł, trzeba tylko poszukać.

Rowerem od epidemii

Nie zdążyłam posiedzieć na balkonie w pensjonacie w Rowach, bo następnego dnia rowerem ruszyłam do Ustki. Rowerzystów na szlaku można podzielić na krótkodystansowych, wymykających się na jednodniową wycieczkę na rowerze z wypożyczalni, i długodystansowców z ciężkimi sakwami, którzy na dwóch kółkach od wielu dni podróżują nadmorskimi szlakami. Ci drudzy rzadko śpią w pensjonatach, nie zawsze są tam mile widziani, więc przeważnie wożą własne namioty. Powodów niechęci jest kilka. Po pierwsze – zatrzymują się na jedną noc, po drugie – przyjeżdżają w środku tygodnia, rozwalając grafik, po trzecie – nieraz są przemoczeni, ubłoceni, czasem jeszcze trzeba szukać dla nich serwisu rowerowego. Moja gospodyni zapewnia, że cyklistów przyjmuje. Jeszcze kilka lat temu zatrzymywało się u niej wielu Niemców na rowerach. Przez Rowy przebiega bowiem międzynarodowy, nadmorski, hanzeatycki szlak rowerowy R10. Z niego można zjechać bocznymi ścieżkami w głąb parku, nad przepiękne jeziora Dołgie Małe i Wielkie jest tylko ok. 10 km, tyle samo do latarni w Czołpinie.

Z Rowów do Ustki jedzie się najpierw łakami nad jeziorem Gardno, gdzie wszystko pachnie i szumi, by po kilku kilometrach wspinać się po starym nasypie kolejowym przez lasy z potężnymi bukami i dębami. W połowie trasy mija mnie małżeństwo z dzieckiem. Są na wczasach w Uście, jadą do Rowów i chcą jeszcze dzisiaj wrócić.

– Morze to jednak morze! – wykrzykują zachwyceni. – Tyle tu powietrza, przestrzeni, dzikiej przyrody i szlaków, gdzie można się powtórzyć. Do tego plaże szerokie, ciągnące się aż po horyzont. Nie trzeba się tłoczyć, wystarczy tylko trochę odjechać, a to ważne w czasie epidemii.

Na klimatycznej stacyjce rowerowej w Wytownie, kilka kilometrów przed Ustką, odpoczywają młoda para z Krakowa jadąca ze Świnoujścia do Helu i rowerzysta kręcący w przeciwnym kierunku.

– Za Rowami w stronę Łeby szlak jest grząski. Zdjąłem buty i prowadziłem rower na bosaka, najważniejsze, że sakw nie zamoczyłem – śmieje się. Krakowianie za to polecają niezapomniane krajobrazy koło Jarosławca. Wszyscy jesteśmy zgodni, że włóczęga rowerowa to najlepszy i najbezpieczniejszy sposób na wypoczynek w czasie epidemii.

Dla rowerzysty ważna jest pogoda. Przed wypożyczalnią rowerów w Rowach wisi kamień przepowiadający pogodę – to nawiązanie do starej rybackiej legendy, według której tzw. czarci kamień na kościele w Rowach „poci się”, gdy idzie na burzę.



Przez Rowy przebiega międzynarodowy, nadmorski, hanzeatycki szlak rowerowy.

Rosnące zainteresowanie wypożyczaniem na rowerze dostrzegają lokalne władze. Od lipca w województwie pomorskim wprowadzono tzw. taryfę pomorską, która ujednolica ceny przewozu rowerów w pociągach osobowych do 3 zł, wcześniej przewóz w pociągach Regio kosztował 7 zł. Nadmorskie gminy rozbudowują również sieć ścieżek dla rowerów. „Rowerzysto, skorzystaj ze ścieżki”, namawiają władze Krynicy Morskiej na stronie miasta, informując,

że w Piaskach na końcu Mierzei Wiślanej stoi już wiata rowerowa, gdzie można odpocząć i uzupełnić wiadomości przyrodnicze.

Turystów mniej, nadzieja zgasła

W niedzielę 26 lipca zaglądam do centrum informacji turystycznej w Krynicy Morskiej i pytam o tegoroczny sezon. – Dotąd przyjechała jedna trzecia turystów w porównaniu z zeszłym rokiem, podobnie jest w okolicznych miejscowościach. Przyczyn jest kilka. Strach przed pseudopandemią, bo czy pandemią można nazywać epidemię, podczas której umiera 4% zakażonych? Do tego dochodzi pogoda, kapryśna w tym roku, i fakt, że część ludzi wykorzystała urlopy w kwietniu, podczas narodowej kwarantanny – wylicza Krzysztof Rogowski, pracownik informacji turystycznej.

W rogu biura umieszczono tablicę, nazywają ją tutaj ścianą płaczu; na niej kilkadziesiąt karteczek z telefonami, które zostawiły osoby oferujące pokoje do wynajęcia, najczęściej dorabiające sobie wynajmem np. do emerytury. Za to wielkie hotele i pensjonaty sobie radzą. – W ubiegłym sezonie rekordzista tylko za pobyt weekendowy trzech osób skasował 3 tys. zł – opowiadają pracownicy centrum. Naprzeciw niego na płocie parkingu wisi baner z napisem: „Krynica ▶

► Morska – NIE dla przekopu” podpisany przez Radę Miasta, pozostałe plakaty pozdejmowano już z domów.

– Do drugiej tury wyborów prezydenckich mieliśmy nadzieję, że budowę przekopu uda się jakoś zatrzymać. Sprężyliśmy się wszyscy i poszliśmy głosować. Niestety, nasz kandydat przepadł i nadzieja zgasła, ale wóz strażacki za frekwencję wygraliśmy. Często przychodzą do nas wczasowicze i pytają, dlaczego jesteśmy przeciw przekopowi, dodając, że przecież będziemy mieli z niego korzyści. Dopiero jak przedstawiamy im swoje argumenty, zaczynają się zastanawiać – mówi Krzysztof Rogowski.

upewnia, czy na zwiedzanie zamków w Kwidzynie, Sztumie i Malborku wystarczy jeden bilet, ktoś pyta, czy do Gdańska da się dojechać statkiem, ktoś inny chciałby dojechać samochodem do granicy z Rosją, przecinającej plażę 3 km za Piaskami, i jest zdziwiony, że musi tam iść na piechotę, bo to teren parku. Kilka osób szuka noclegów i karteczki ze ścianami płaczu znikają. Obcokrajowcy, którzy chcą się zatrzymać w Krynicy na dwie doby, przy pomocy pracownika biura załatwiają sobie pobyt na ulicy Rybackiej.

W Krynicy ceny porównywalne do tych w Rowach. Pokoje dwuosobowe w pensjonatach powyżej 100 zł, kwatery prywatne od 35 do 70 zł od osoby za noc; jeśli ktoś zostaje na dłużej, może liczyć na zniżkę. Lody po 4 zł za gałkę, porcja dorsza do 20 dag z surówkami i frytkami 31 zł, najdroższe są kergulena, łosoś i halibut.

– Gdy tylko Polacy mijają znak z napisem Krynica Morska, zachowują się, jakby epidemia nie istniała, a zakazy nie obowiązywały. Jakby to była strefa wolna od wirusa – mówił w czerwcu

mediom Jacek Knedler, operator plaży na Mierzei Wiślanej.

W piątek 24 lipca kontrolę pod kątem obostrzeń koronawirusowych razem z policją przeprowadzili w Krynicy pracownicy sanepidu. – Ogólna ocena jest raczej pozytywna, nie wykryliśmy nic takiego, co mocno zagrażałoby życiu i zdrowiu ludzi. Zdarzył się mandat w wysokości 500 zł za ogólny stan sanitarny obiektu – podsumowuje powiatowy inspektor sanitarny Tomasz Bojar-Fijałkowski.

Rozdźwięk

Krynica i Rowy mają długie tradycje turystyczne. W 1872 r. elbląski przemysłowiec Ferdinand Schichau założył spółkę akcyjną Kąpielisko Morskie Kahlberg. W jej ofercie były zimna kąpiel w wodach morskich, spacer i wdychanie jodu. Pierwsze pensjonaty powstały w Kahlbergu,

czyli dzisiejszej Krynicy, w drugiej połowie lat 70. XIX w. W 1913 r. bawił w Rowach niemiecki następca tronu. Obie miejscowości są niewielkie, Krynica ma 1,2 tys. stałych mieszkańców, w Rowach jest ich 360. Obie starają się o status uzdrowiska i borykają z problemem spychania starych mieszkańców na drugi plan przez przybywających z zewnątrz właścicieli hoteli i pensjonatów.

– Rdzennych kryniczan ubywa, jesteśmy tylko na doczepkę – mówiła mi w zeszłym roku Halina Zagórska. – Przegrywamy z właścicielami dużych obiektów w centrum, mieszkającymi w wielkich miastach. Ich stać na reklamę, mają pieniądze, koneksje, przebicie i zabierają nam wczasowiczów.

Ten rozdźwięk zauważają też turyści. Wczasowiczka z Raciborza mówi, że w biedniejszych tzw. Małych Rowach wielu miejscowych ma puste kwatery, bo wynajmujących przechwytyują pensjonaty.

– Ich właściciele mają żądania, ale podatków u nas nie odprowadzają, jedynie gminie płacą podatek od nieruchomości – zwraca uwagę Jadwiga Fudala, sołtys wsi Rowy od 27 lat. – Złotówki na świetlicę od nich nie dostajam, na remont naszego kamiennego kościółka też nic nie dali, a jest zabytkowy i przyciąga turystów. Nie włączają się w nasze życie, nic nie zrobią bezinteresownie, a z końcem września zamykają swoje pensjonaty i do widzenia.

Pensjonat, w którym mieszkałam w Rowach, prowadzi małżeństwo spod Warszawy. Pół roku spędzają nad morzem, pół roku u siebie. Za pokój mimo wynagocjowanego rabatu i tak przepłaciłam, podobny u pani sołtys kosztuje 80 zł.

Tożsamość Rowów się rozmywa, tradycyjne budownictwo ginie w morzu nowobogackich hotelików. O tę tożsamość walczy Jadwiga Fudala, pomaga jej przewodnik z Ustki Marcin Baranowski. Ustawili dziesięć tablic o historii miejscowości, ze starymi fotografiami i ciekawostkami, żeby Rowy nie były bezimienne. Zamierzają także wydać książkę.

– Turystów w Rowach w tym roku jest tyle samo co w zeszłym, tylko z powodu epidemii więcej nocuje na polach namiotowych, w przyczepach i kamperach – dodaje pani sołtys.

Helena Leman



Namiary na kwatery w Centrum Informacji Turystycznej w Krynicy.

Naprzeciw jego domu w Przebrnie zaczęto usypywać sztuczną wyspę. – Najpierw usypali górkę piasku z przekopu sięgającą nad powierzchnię Zalewu Wiślanego – opowiada. – Ale gdy przez trzy dni wiały silne wiatry wschodnie, a potem przez kilka dni zachodnie, górkę zniknęła. Przywieźli więc wyprofilowane płyty i obłożyli nimi wyspę i dalej syją, wyspa ma być też umocniona kamieniami. To pokazuje, jak nieprzewidywalna jest natura. Zalew płynie z zachodu na wschód, jak przekop przetnie ten naturalny prąd morski, nie wiadomo, jakie będą tego skutki.

W centrum informacji turystycznej drzwi się nie zamykają. Ludzie proszą o sprawdzenie połączeń autobusowych, pytają o rejsy statków po zalewie, szukają map ścieżek rowerowych, starsza pani trzy razy się



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Zmierzch Cesarstwa Amerykańskiego

Lubię Amerykę. Spędziłem tam prawie trzy lata. Poznałem wspaniałych ludzi i zakochałem się w cudownej amerykańskiej przyrodzie. Losy Stanów nie są mi obojętne. Dlatego z wielkim bólem obserwuję upadek tego wspaniałego kraju. Niektóre dane są zaiste szokujące. Jeden z najwyższych poziomów nierówności w państwach zachodnich, upodabniający USA do krajów tzw. Trzeciego Świata. Śmiertelność dzieci do lat pięciu sytuująca to państwo w statystykach na bardzo odległym miejscu, i to pomimo najwyższego na świecie udziału wydatków na służbę zdrowia w PKB. Gigantyczna skala narkomanii, używania środków przeciwbólowych i antydepresantów połączona z epidemią depresji i wciąż pogarszającym się stanem zdrowia psychicznego społeczeństwa. Prawie 1% dorosłej populacji w więzieniach (procentowo to cztery razy więcej niż w Polsce). Nadzwyczaj duża przestępczość z szokującą liczbą zabójstw. Ogromna i wciąż wzrastająca liczba osób bezdomnych. Fatalny stan infrastruktury, wzbudzający regularne zaniepokojenie stowarzyszeń inżynierów amerykańskich. Niska jakość edukacji na poziomie podstawowym i jej wyraźne klasowe oraz rasowe zróżnicowanie. Ogromne zadłużenie gospodarstw domowych i studentów, którzy zaciągnęli pożyczki na studia. Trwająca od kilku dziesięcioleci stagnacja płac klasy średniej i niższej. Przykłady zjawisk negatywnych można by mnożyć. Sami Amerykanie są przekonani, że coś niedobrego dzieje się z ich krajem, o czym świadczą wyniki badań socjologicznych (w przypadku ludzi młodych dane są wprost szokujące, zdecydowana większość sądzi, że system amerykański jest zły i wymaga radykalnych zmian). Wymowne jest również hasło wyborcze Trumpa: *Make America Great Again!* (Uczyńmy Amerykę ponownie wielką!).

Główną przyczyną kłopotów Ameryki jest odejście od modelu „zorganizowanego kapitalizmu” typowego dla dekad powojennych i wejście na ścieżkę neoliberalnego (zdergulowanego) turbokapitalizmu wraz z objęciem rządów przez Ronalda Reagana. Dziś widać wyraźnie, że pewne krótkoterminowe zyski, które wiązały się ze zwrotem wolnorynkowym (ożywienie gospodarcze lat 80. i 90. XX w.), okazały się zwodnicze, niewrażliwość bowiem na jego fatalne skutki długoterminowe wywołane stopniową rozbiórką państwa socjalnego i zdjęciem nadzoru z rynku kapitalistycznego (przede wszystkim rynku finansowego).

Ograniczanie wydatków budżetowych na cele społeczne, stopniowe osłabianie funkcji państwa (poza funkcjami obronnymi), wypychanie produkcji przemysłowej poza granice kraju, koncentracja na spekulacji finansowej jako głównej gałęzi gospodarki (ok. 11% PKB), kompletny brak troski o zachowanie spójności społecznej (ciągłe obniżanie podatków najbogatszym i firmom prowadzące do niebywałej akumulacji kapitału) oraz faktyczne i długotrwałe rządy plutokracji dały w rezultacie dzisiejszy stan, który nawet wśród dotychczasowych piewców wolnego rynku i amerykańskiego *way of life* wywołuje stan niepokoju. Niepokój ten jest w pełni uzasadniony. Amerykę czekają ciężkie czasy (powolny upadek jak trwający wiele lat upadek Cesarstwa Rzymskiego?), a ostatni kryzys wywołany pandemią ujawnił wszelkie słabe strony jej systemu społecznego.

Zdecydowana większość młodych Amerykanów sądzi, że system ich kraju jest zły i wymaga radykalnych zmian.

Wyjściem byłyby radykalne reformy zaproponowane przez Berniego Sandersa. Boję się jednak, że nie ma na nie żadnych szans. Ameryce zbyt ciężko dziedzictwo libertariańskiej nieufności wobec państwa i faktyczna sympatia do anarchizmu, mitologia indywidualnego sukcesu wedle wzoru „od pacybuta do milionera”, skłonność do bezwzględności wobec tych, którzy są klasyfikowani jako nieudacznicy, choć przegrywają często nie z własnej winy, tradycja klasowej separacji przykrywana ideologią jedności i równości, widoczna np. w fizycznym izolowaniu się bogatych (odrębne dzielnice, grodzone osiedla, prywatne szkoły, specjalna sieć usług zdrowotnych). A także słabość tradycji lewicowej w polityce, pogłębiona dziś jeszcze rozbić amerykańskiego ruchu związkowego, wreszcie zasadnicza nierównowaga środków i sił pomiędzy strażnikami *status quo* a tymi, którzy chcą zmian (na utrzymanie dzisiejszego stanu rzeczy idą setki milionów dolarów z prywatnych funduszy ultrakonserwatywnych miliardów amerykańskich, np. braci Koch). W tej sytuacji wynik jest z góry przesądzony: nic się nie zmieni. Aż do wybuchu rewolucji.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Ostatnie wydanie dziennika „Népszabadság” ukazało się z datą 8-9 października 2016 r.

Kto ma media, ten utrzyma władzę

Systemowy proces przejmowania mediów na Węgrzech przez ludzi bliskich władzy trwa od dekady, ale niewiele osób to obchodzi

Dominik Héjj

Był niesprzyjający władzy portal internetowy Origo. Jest sprzyjający władzy portal Origo. Był dziennik „Népszabadság”. Nie ma dziennika „Népszabadság”. Był wreszcie niezależny portal Index o zasięgu porównywalnym do Onet.pl czy WP.pl, a więc odwiedzany zarówno przez zwolenników, jak i przeciwników rządu. Nie ma niezależnego portalu Index. Odwołanie naczelnego, Szabolcsa Dulla, doprowadziło do złożenia wypowiedzeń przez właściwie cały zespół, choć sekcja polityczna była tylko wycinkiem jego działalności. To jedynie krótka lista tytułów, które w wyniku przekształceń własnościowych na węgierskim rynku medialnym zostały albo „odwrócone”, albo zlikwidowane. Systemowy proces przejmowania mediów na Węgrzech przez ludzi bliskich władzy trwa od dekady, odkąd w 2010 r. koalicja Fidesz-KDNP zwyciężyła w wyborach parlamentarnych, ale niewiele osób to obchodzi.

„Sprawa odwołania redaktora naczelnego Indexu jest wewnętrzną sprawą firmy, wykluczone jest mówienie o jakichkolwiek naciskach politycznych” – te słowa znalazły się w liście wysłanym przez przedstawicieli partii Fidesz do członków Europejskiej Partii Ludowej, frakcji w Parlamencie Europejskim, do której to ugrupowanie przynależy. W opinii węgierskiego rządu pluralizm na rynku mediów nie jest zagrożony. Z kolei np. raport Freedom House informuje o pluralizmie mediów na poziomie państw Wschodu. Instytuty badawcze

Tytuły bez kapitału państwowego są zaliczane do mediów opozycyjnych.

sprzyjające rządowi przyjęły metodologię, według której tytuły niemające kapitału państwowego zaliczane są do mediów opozycyjnych. Zgodnie z nią 60-70% wszystkich tytułów na rynku prasowym reprezentuje punkt widzenia opozycji. Przed rokiem utworzono Środkowoeuropejską Fundację Prasy i Mediów, do której

włączono wszystkie przychylne rządowi podmioty operujące na rynku medialnym – jest ich prawie 500. Premier Viktor Orbán pytany o wpływ na tak gigantyczne konsorcjum mówi, że jest to inicjatywa prywatna, w pełni niezależna od rządu.

Nowe elity, nowe tytuły

To, co dzieje się teraz z mediami na Węgrzech, jest wypadkową procesów zapoczątkowanych przed prawie dwiema dekadami – w roku 2002, kiedy to Fidesz przegrał wybory parlamentarne. Porażka była tym dotkliwsza, że ostateczna różnica pomiędzy Fideszem a koalicją liberałów i socjaldemokratów (MSZP-SzDSz) wyniosła zaledwie 10 mandatów. Kontestowanie tego wyniku wyborczego trwało zresztą aż do marca 2003 r. To wówczas powstała refleksja, że trzeba mieć swoje media, które będą informowały w rzetelny sposób o tym, co robi Fidesz. Z pomocą pośpieszył Lajos Simicska, twórca grupy medialnej, która

(w dużym uproszczeniu) dowiozła Fidesz do zwycięstwa w 2010 r. Kiedy media publiczne starały się przemilczeć kryzys polityczny, który wybuchł w związku z przyznaniem się premiera Ferencza Gyurcsány'a do okłamywania społeczeństwa w czasie kampanii wyborczej w 2006 r., media Simicski transmitowały protesty społeczne.

Media sprzyjające Fideszowi wspierały rząd do 2014 r. To był moment przełomowy, wówczas bowiem Orbán z Simicską się poróżnili. U podłoża sporu leżała rywalizacja o wpływy. Według Orbána Simicska był za silny. Chęć oczyszczenia przedpola z wszelkich konkurentów politycznych doprowadziła do rozpadu nierozzerwalnego dotychczas tandemu. Paradoksalnie sytuacja z 2014 r. przypominała tę z roku 2002, z tą różnicą, że Orbán wybory wygrał drugi raz z rzędu, ale znów nie miał przychylnych sobie w 100% mediów. Wystąpił wówczas z apelem do przedsiębiorców, którzy są patriotami, by pomogli ufundować nowy tytuł, który rzetelnie informowałby o działaniach rządu. W ten sposób powstał dziennik „Magyar Idők” (Węgierski Czas). Na jego czele stanął Gábor Liskay, jeden z nowych oligarchów, który wcześniej wygrał przetarg na prowadzenie Narodowych Sklepów Tytoniowych, bytu posiadającego wyłączne prawo do handlu tytoniem. Dawne elity postkomunistyczne, wywodzące się jeszcze z Węgierskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, miały zostać pozbawione wpływu i zastąpione nowymi.

Państwo największym reklamodawcą

Tak formował się Narodowy System Współdziałania (NER), rodzaj umowy społecznej, zgodnie z którą rząd ma tak silny mandat, że nie musi konsultować swoich działań z obywatelami. Na tej podstawie powstały nowe, uzależnione od rządowych kontraktów grupy, które, czując się w obowiązku spłacania długów wobec władzy, skupowały tytuły będące w tarapatach finansowych. Trzeba pamiętać, że z kryzysu, który rozpoczął się w 2008 r., Węgry dźwignęły się dopiero sześć lat później. Kapitałem potrzebnym do scalania mediów dysponowało wąskie grono inwestorów. Dziś mówi się

o NER-mediach, NER-przedsiębiorcach, NER-oligarchach.

Celem tej operacji było stworzenie systemu, który wykluczyłby możliwość wypowiedzenia posłuszeństwa przez jakiegokolwiek właściciela. Oczywiście proces ten nie trwał rok czy dwa. Największa opozycyjna gazeta „Népszabadság” została przejęta przez Lőrincza Mészáros'a, kolegę Orbána. Tytuł zawieszono, ale od początku nie było wątpliwości, że więcej się nie ukaże. Argumentowano, że to decyzja ekonomiczna, wynikająca ze spadku przychodów. Jednak do dzisiaj pozostaje to nie do

uczestniczy w sporze politycznym, jak ma to miejsce w przypadku polskiego odpowiednika.

888.hu buduje młodego człowieka

Problem wolności mediów dla wielu Węgrów pozostaje w sferze abstrakcji. Nie jest on zmartwieniem wskazywanym najczęściej w badaniach opinii publicznej. Tutaj najważniejsze są stan służby zdrowia i szkolnictwa, korupcja czy imigracja (w domyśle kryzys migracyjny). Jedyne protesty przeciw działaniom wobec

Właściciele słupów ogłoszeniowych nie chcą udostępniać ich opozycji w obawie przed utratą rządowych zamówień.

zweryfikowania, bo prasa sprzyjająca rządowi po prostu nie przekazuje danych dotyczących liczby sprzedanych egzemplarzy i nie ponosi z tego tytułu żadnych konsekwencji.

Do tego państwo jest największym reklamodawcą. Nie ma miesiąca, by w mediach czy na plakatach nie pojawiły się informacje o jakiejś kampanii rządu. To z kolei oddziałuje na pluralizm na rynku reklamowym. Właściciele słupów ogłoszeniowych nie chcą udostępniać ich opozycji w obawie przed utratą rządowych zamówień. W tym wypadku kapitał nie ma narodowości, beneficjentami zamówień są koncerny z różnych krajów. Ten sposób oddziaływania wywołuje także autocenzurę u samych dziennikarzy. Interesującym przykładem jest działalność grupy medialnej Ringier Axel Springer Media Hungary, która w żaden sposób nie

portalu Index odbył się w Budapeszcie, co nie jest przypadkiem. W stolicy mieszka prawie jedna czwarta ludności całego kraju, a budapeszteńczycy za jedną z nadrzędnych wolności uznają pluralizm prasy. Do tego dodać należy postępującą apatię społeczeństwa. Oczywiście nie jest tak, że Węgrzy już mają poczucie, że i tak nic nie poradzą. Rzecz w tym, że są większe zmartwienia. Najwięcej osób zebrało się w proteście przeciwko podatkom internetowemu, który miał dotknąć każdego Węgra. To był impuls do działania, ale nie do odsunięcia Fideszu od władzy. Kolejny raz w wielu miastach na Węgrzech ludzie wyszli protestować przeciwko zmianom w Kodeksie pracy, tzw. ustawie niewolniczej zwiększającej liczbę nadgodzin, które pracownik zobowiązany jest świadczyć na rzecz pracodawcy. Znowu wyszli, bo



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

KIM NAPRAWDĘ JEST VIKTOR ORBÁN?

POPULISTĄ CZY MĘŻEM OPATRZNOŚCIOWYM?

Wpłaty 35 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

► dotyczyło to wszystkich. Ale nie po to, by zmienić rząd.

To zresztą jest bardzo trudne. Głębokie zmiany, jakim poddano ordynację wyborczą, sprawiły, że 93 mandaty w 199-osobowym parlamencie dystrybuowane są w ramach listy krajowej. Opozycja realnie może walczyć o 18 spośród 106 mandatów do zdobycia w jednomandatowych okręgach wyborczych. Uzyskać je można

przeciwko wprowadzeniu podatku internetowego w październiku 2014 r. Wysokość tego podatku uzależniona była od liczby danych pobranych z sieci, bez względu na to, czy dana osoba korzystała ze stałego łącza, czy z internetu w telefonie komórkowym. Ówczesny minister zasobów ludzkich Zoltán Balog powiedział, że potrzebne jest medium, które komunikowałoby politykę rządu młodym

władze zrezygnują ze wskazywania kolejnych tytułów i portali, które należałoby uciszyć. Redaktor naczelny portalu 24.hu mówił w ubiegłym tygodniu, że ma podstawy, by obawiać się przejęcia. Aparat państwa dysponuje całym wachlarzem możliwości wpływania na właścicieli, by ci spieniężyli udziały – np. podatki. W dużym uproszczeniu: jeśli właściciel ma problemy podatkowe, można zaproponować mu sprzedaż udziałów w zamian za nietykalność.

Państwo może także dyktować warunki na rynku radiowym – niepokorni właściciele mediów nie otrzymywali przedłużenia koncesji na częstotliwości radiowe, w ten sposób eliminowano krok po kroku media Simicski w czasie konfliktu z Orbánem. Sytuacja dotyczyła jednak nie stacji radiowych o profilu politycznym, ale czegokolwiek, co pozostawało własnością danego oligarchy. W tym przypadku chodziło o stacje radiowe z muzyką rozrywkową. Zwiększa się znaczenie stacji lokalnych, które rozszerzają zasięg dzięki nadawaniu przez internet. Takim przykładem niezależności jest „zakazane radio”, Tilos Rádió.

Jeśli chodzi o stacje telewizyjne, krytyki rządu już nie ma. Udało się to uzyskać poprzez wyciszenie telewizji RTL. W jaki sposób? Zaproponowano wdrożenie podatku od reklam. Był on progresywny i uzależniony od liczby emitowanych reklam. Największym komercyjnym kanałem, a co za tym idzie – utrzymującym się z reklam, był kanał RTL. Podatek, nazwany zresztą podatkiem RTL, sięgał kilkudziesięciu procent wpływów tej stacji telewizyjnej, w związku z czym uspokoiła ona przekaz, a rząd podatek w tej formie wycofał.

Największy problem stanowi zmniejszająca się liczba tytułów, które rzetelnie informują o sytuacji na Węgrzech. Powoduje to wzrost podatności kraju na infiltrację rosyjską, ale ona węgierskich władz nie martwi. Symboliczne jest także to, że przejęcie portalu Index odbyło się kilkadziesiąt godzin po zakończeniu unijnego szczytu dotyczącego budżetu, który powiązał (przynajmniej deklaracyjnie) środki unijne z kwestią praworządności. W tej kategorii jednak wolność mediów najpewniej się nie mieści.

Dominik Héjji

Jeśli właściciel niepokornego medium ma problemy podatkowe, można mu zaproponować sprzedaż udziałów w zamian za nietykalność.

w Budapeszcie, który jawi się jako wyspa na pomarańczowym (od koloru Fideszu) morzu. Inna sprawa, że opozycji prawie dekadę zajęło zbudowanie konstruktywnego, tzn. niezwalczającego się, sojuszu. Jednakże nie ma on żadnej oferty programowej, a nawet gdyby ją miał, to niespecjalnie jest szansa na jej wdrożenie.

Bardzo istotna rola w tej układance przypada mediom sprzyjającym rządowi, które dbają o odpowiednie komunikowanie polityki władzy. Co ciekawe, ponieważ popularnością wśród młodzieży cieszył się portal 444.hu, utworzono portal 888.hu, który miał docierać do niej z rządowym przekazem. Powstał on w momencie szczególnym, po masowych protestach, także młodzieży,

ludziom, ponieważ są oni manipulowani przez środowiska lewicowo-liberalne. W praktyce portal służy również do szczucia młodych wyborców przeciwko konkretnym osobom bądź organizacjom, nie przebiera przy tym w środkach. Brał np. czynny udział w kampanii przeciwko organizacjom pożytku publicznego, imigrantom czy partiom politycznym. Jego hasło brzmi: „Jesteśmy opozycją Sorosa”.

Podatek RTL

Wolne media na Węgrzech formalnie istnieją, głównie w internecie. I całkowicie nie znikną, stanowiłoby to bowiem koronny dowód na wpływ rządu na wolność mediów. Z drugiej strony trudno zakładać, że



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zycie na obrzeżach świata, na marginesie Europy, na peryferiach energii i wyjątkowości to zajęcie i żmudne, i męczące, i nużące, i pozbawione poczucia sensu. Ale „taką przebudli nas ojczyznę”; wcześniejsze wersy z „Prologu”, wiersza Zbigniewa Herberta, brzmią: „Rów w którym płynie mętna rzeka / nazywam Wisłą. Ciężko wyznać: / na taką miłość nas skazali”. Nie przestanie mnie zdumiewać, że tak łatwo przychodzi tu ta cała filozofia cofki cywilizacyjnej, tego pseudotradycjonalistycznego w tył zwrot w wykonaniu narodowo-prawicowo-katolickich elit i skutecznie zaszantażowanych niemal wszystkich pozostałych, w szczególności liberałów. Teoretycznie

gniewu, radości, zachwyty, rozczarowania, szczęścia, paniki, wściekłości, smutku, poniżenia, ekscytacji. Ale jako jedyne są chronione prawem i karą więzienia. Jest to najczystszy przykład przemocy symbolicznej, w jej skrajnie realistycznej, namacalnej, kajdankowej wersji. Ta dominacja ma źródło w słabości przestania myśli religijnej, mówiąc wprost – nędzy i lichocie polskiego katolicyzmu, lewitującego gdzieś w kosmicznym oddaleniu od rdzenia chrześcijańskiego przestania, bez większych problemów przyswojonego przez miliony chrześcijan na świecie. Ale nie nad rowem z mętną rzeką.

Piszę oczywiście o tym wszystkim w związku z akcją happeningową, podczas

#Sorry... Nikt przecież nie powie, że polska flaga jest niestosowna i że kogoś obraża...

Gdy zabierane są nam kolejne prawa, los wazy się na szalach władzy.

Niepokoje milczenie polityków – przerażają ich słowa.

Nie będziemy prosić o litość, błagać o szacunek i zrozumienie.

Jesteśmy głosem za małych na to, by ich słuchano, za małych, by coś powiedzieć.

Uciszanych przez rodziców. Zmęczonych codzienną batalią ze światem.

Oduczyliśmy się grzeczności i narzuconej gry w normalność.

Gdy system chce, byśmy skakali w ciemność sami, razem wypowiadamy mu walkę.

Syrenka warszawska ma w dłoni miecz i tarczę.

Wieszaj tęcze zawsze i wszędzie

byli w historii tej ziemi i Kopernik, i Maria Skłodowska-Curie, i Róża Luksemburg, ale tak naprawdę to nędza dokonała intelektualnych tej społeczności, dla niepoznaki i zmylenia nazywanej narodem, wybrzmiewa najlepiej we frazie „urazone uczucia religijne”. Ten wynalazek bełkotliwej mątwy o proveniencji ni to teologicznej, ni to psychologicznej, ni to prawnej zakorzenił się skutecznie choćby w polskim prawie. Tak, tak, można pójść za to siedzieć... Tylko jeszcze nie udało mi się spotkać z tekstem ani wyjaśnieniem, co to oznacza.

Uczucia są dość dobrze opisane, zbadane, praca nad nimi pozwala wyjść z wielu poważnych osobistych tarapatów i dramatów. Polska, kraj z kilkoma milionami osób uzależnionych od alkoholu i kolejnymi kilkunastoma dotkniętymi problemami współzależnienia, jest klinicznym przykładem kłopotu z emocjami w skali państwowej. I co? I niewiele. Bo w miejscach realnych emocji, ich przeżywania, uświadamiania sobie, radzenia sobie z nimi albo rozumienia, dlaczego z niektórymi nie możemy sobie dać rady, albo dlaczego nie potrafimy ich okazywać, żyć z nimi, dostajemy kuriozalny humbug paranaukowy – uczucia religijne. Nikt jeszcze nie powiedział, czym są, czym się różnią od

której grupa aktywistów i aktywistek przyoblekła (jakie ładne, niekoniecznie religijne słowo...) rzeźbę Chrystusa sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie w tęczową flagę. Prawica, w tym polski premier, i tzw. hierarchowie (czyli wysocy funkcjonariusze tej opresyjnej instytucji) dostali palpitacji i wzmożenia uczuciowego na tle urażeniowym. Mniejsza z nimi. Prowadzą swoją grę, ja w nią nie gram. Nie stać ich na wysłuchanie tego, co powiedzieli i napisali protestujący. A może jednak warto oddać im głos, bo za nim stoi rzeczywistość, groźna, nienawistna, za którą odpowiadają polskie władze, polski prezydent, wybrany w najmniej uczciwych wyborach od 30 lat. On nie tyle deptał uczucia osób LGBT, ile odmawiał im prawa do istnienia i życia. Ale to w Polsce jest bezkarne.

A to ten tekst:

To jest szturm! To tęcza. To atak!

Postanowiłyśmy działać.

Tak długo, jak będę się bać trzymać Cię za rękę.

Tak długo, aż nie zniknie z naszych ulic ostatnia homofobiczna furgonetka.

To nasza manifestacja odmienności – ta tęcza.

Tak długo, jak flaga będzie kogoś gorszyć i będzie „niestosowna”, tak długo uroczyste przyrzekamy – prowokować.

Ma tęczę i bandanę.

To nasze wezwanie do walki.

Jak długo będziemy zasypiać z myślą, że i tak nic się nie zmieni.

Tak długo będzie trzeba przypominać o tym, że istniejemy.

Że nie jesteście sami i same.

To miasto jest też nasze.

Walczyć.

To #szturm! To #atak! To #tęcza!

Pamięci poległych w walce z codzienną nienawiścią.

Tych, którzy mieli siłę, by skoczyć w ciemność.

Dodająca wiary w lepszą przyszłość osobom, którym państwo zabrało wolność i bezpieczeństwo.

Wzywającą do otwartej wojny przeciw dyskryminacji.

Nakazującą nie prosić.

Nigdy więcej błagać o #szacunek i #litość.

To miasto jest nas wszystkich. J... się ignoranci.

Formę walki wybierają pokrzywdzeni, możemy usłyszeć ich głos. Zrozumieć, wesprzeć, stanąć po ich stronie. Zamilknąć, jeśli do powiedzenia nie mamy nic albo tyle, że forma zła, że nie tak, nie teraz, nie na tym pomniku, nie w tych kolo-rach. To upośledzenie nazywamy Polską właśnie. A nie musimy.



Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Jedno miasto, dwa miesiące, 1130 strzelanin, 212 ofiar śmiertelnych i setki rannych – oto depecha z Chicago z ostatnich dni lipca. Antyrasistowskie protesty, które ogarnęły miasto, podobnie jak resztę Ameryki, po zabójstwie George’a Floyda, ustąpiły miejsca regularnej działalności przestępczej na skalę, jakiej nawet w „kryminalnej stolicy USA” już dawno nie oglądano.

Nie bez przyczyny, niestety. Urzeczywistniły się pesymistyczne scenariusze socjologów i kryminologów, którzy od początku przestrzegali, że manifestacje po śmierci Floyda mogą w obecnych trudnych, bezprecedensowych czasach przerodzić się w coś znacznie większego niż kolejny rozdział w księdze ruchów obywatelskich, po którym najdalej za miesiąc trzeba będzie posprzątać szkło z kilku rozbitych latarni i zmyć nowe graffiti z budynków. W czasach gdy ludzka cierpliwość i odporność na ciosy została już dostatecznie wystawiona na próbę nie tylko przez zapaść ekonomiczną, ale i przez zatrażającą nieadekwatną odpowiedź

Ameryka w ogniu

Obywatelskie protesty przekształciły się w regularne rozruchy wykorzystywane przez przestępców

najwyższych władz na pandemię, wybuch społecznego gniewu z jakiegokolwiek powodu może znaleźć podatny grunt i zamienić się w walkę ze wszystkim, co postrzegane jest jako niesprawiedliwe i opresyjne. Mocny tym ostrzeżom przydawał fakt, że ruch Black Lives Matter, który prowadził protestom po śmierci Floyda, od początku istnienia (pięć lat) chętnie prezentuje się również jako adwokat szeroko pojętej sprawiedliwości społecznej. Przeciwstawia

się nierównościom ekonomicznym, edukacyjnym, dyskryminacji na tle płci i orientacji seksualnej, staje też w obronie praw nielegalnych imigrantów, odkąd Trump zaczął ich przetrzymywać w ośrodkach do złudzenia przypominających więzienie. Dorzućmy do tego fakt, że mamy rok wyborów, o reelekcję zaś ubiega się jeden z najbardziej kontrowersyjnych i polaryzujących prezydentów w historii kraju, a przepis na katastrofę o nazwie wojna domowa będzie właściwie gotowy. Czy do niej dojdzie? I pytanie nie mniej istotne: czy nadal mamy do czynienia z obywatelskimi protestami? A może, jeśli sądzić po tym, co się dzieje na ulicach, już z procesem ich zawłaszczania przez regularnych przestępców? Kryminalny oportunizm często jest przemycany pod płaszczykiem wzniosłych idei ludzi dobrej woli.

Ameryka w strachu

Wojny – chwala Bogu – na razie nie ma. Sytuacja jest jednak dynamiczna. W ostatni weekend lipca już w kilkunastu miastach doszło do zamieszek, które policja oficjalnie zdefiniowała jako rozruchy, a nie manifestacje, i zareagowała użyciem siły. Niemal

W Chicago demonstranci podpalali policyjne radiowozy.

wszędzie schemat był taki sam: pokojowa manifestacja pod sztandarem BLM i walki z brutalnością policji przeradzała się w akty wandalizmu i bójki. W Portland w stanie Oregon zdewastowano kilkanaście sklepów, płonęły samochody, a policja została obrzucona petardami. W Seattle usiłowano wysadzić w powietrze posterunek policji, spalono także baraki na budowie domu poprawczego, a w starciu z tłumem 59 policjantów odniosło rany, kilku na tyle poważne, że wymagało hospitalizacji. Straty po drugiej stronie były porównywalne, kilka osób w szpitalu i kilkadziesiąt w areszcie. W Oakland w Kalifornii też doszło do dewastacji posterunku oraz podłożenia ognia pod kilka innych budynków publicznych. W Richmond w stanie Wirginia powybijano szyby i zniszczono mienie uniwersytetu Virginia Commonwealth. Na ulicy w Aurorze w stanie Kolorado doszło do strzelaniny między protestującymi a kierowcą półciężarówki, który wjechał w marszerujących. W Louisville w Kentucky starli się zaś protestujący z ruchu BLM i biali bojówkarze samozwańczej lokalnej milicji. W Austin w Teksasie w podobnej konfrontacji między uczestnikami manifestacji jedna osoba została zastrzelona. A wszystko i wszędzie, niestety, coraz obficie jest podlewane sosem regularnej działalności przestępczej. – Rosną nam statystyki strzelanin i morderstw niezwiązanych z protestami, widzimy też

Przestępcy myślą, że są bezkarni.

wzmoczoną aktywność gangsterów i przemytników broni – powiedział dziennikarzom w niedzielę 26 lipca burmistrz Kansas City w stanie Missouri. Miasto to było jednym z pierwszych, w których rozpoczęły się protesty po śmierci Floyd.

Co prowadzi nas z powrotem do Chicago. Nikt nie ma wątpliwości, że wzmagająca się tam w ostatnim czasie, i to w zastraszającym tempie, przestępczość już oderwała się od ideologicznego wymiaru BLM i jest ostrzeżeniem dla reszty kraju przed takim samym scenariuszem. Symboliczna stała się śmierć siedmioletniej dziewczynki, która została

zastrzelona 7 lipca przez gangsterów przejeżdżających autem – to tzw. atak *drive-thru* – gdy bawiła się przed domem babci. I przypadek drugi – 21 lipca napastnicy otworzyli ogień do rodziny zebranej na pogrzebie zastrzelonego tydzień wcześniej mężczyzny. 15 osób odniosło rany.

Dlaczego Chicago i dlaczego do tego stopnia? Odpowiedź, jakiej udziela na to pytanie chociażby ks. Michael Pfleger, znany w Chicago aktywista na rzecz zapobiegania

Mieszanka ostatnich nieszczęść zniszczyła kolejną warstwę zaufania społeczeństwa do władz i instytucji.

przemocy z użyciem broni, znów jest zgodna z kasandrycznymi przepowiedniami z pierwszych dni po zabójstwie Floyd. Brzmi ona: bo można. Bo w chwili obecnej przestępcy widzą dla siebie szansę, myślą, że są bezkarni. A ks. Pfleger dodaje do tego jeszcze jeden element: – Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. Błędne koło. Jedni zabijają, a drudzy wyciągają broń, twierdząc, że nie mają wyjścia, muszą, bo policja już ich dzisiaj nie obroni.

Ameryka w biedzie i w rękach gangsterów

Na szczęście – jeśli można o czymś takim mówić – jest i inne wyjaśnienie, dlaczego sytuacja w Chicago do tego stopnia wymknęła się spod kontroli. Chicago to pod wieloma względami mikrokosmos, w którym jak w lustrze odbija się cały kraj ze wszystkimi jego społecznymi bolączkami i problemami. Przemoc i przestępczość w Chicago od dawna ściśle wiążą się z dwoma zjawiskami: biedą gnębiącą szczególnie społeczności kolorowe oraz aktywnością zorganizowanych grup przestępczych, gangów i karteli narkotykowych, którym biedna ulica służy za miejsce rekrutacji nowych członków, a jednocześnie zbytu towaru wśród tych, których nędza i desperacja wpędzają w nałogi.

Bieda w amerykańskich miastach, już nie tylko w Chicago, niemal automatycznie odcina też ludzi od edukacji i lepszych perspektyw życiowych. Schemat jest prosty. Szkoły publiczne są w USA finansowane z lokalnych podatków od nieruchomości.

Im biedniejszy rejon, tym mniej w kasie pieniędzy na edukację.

Jeśli ktoś dostrzega w tym ukryty mechanizm samounicestwienia, ma rację. Od dawna dostrzega go ekonomista Jens Ludwig z Uniwersytetu Chicagowskiego, autor książek i publikacji o związkach biedy z przestępczością w amerykańskich śródmiejściach *inner cities* (miast wewnętrznych – eufemizm określający dzielnice o niższych dochodach, czasami afroamerykańskie, w centrum

miasta – przyp. red.). – Ze społecznego punktu widzenia to jak strzelanie sobie w stopę. Tam, gdzie młodzież potrzebuje najwięcej pomocy, by zdobyć wykształcenie i wydostać się z zakłętą kręgą biedy, gdzie powinno się łożyć najwięcej na to, by trzymać ją z dala od gangów i narkotyków, bo zagrożenie jest najwyższe, akurat łoży się najmniej – wyjaśnia Ludwig. Przypomina też, że przestępczość, zwłaszcza w miastach tak opanowanych przez gangi jak Chicago, wiąże się nie tylko z biedą, ale również ze zbyt łatwym dostępem do broni. W lipcowym komentarzu zatytułowanym „Bezwartościowa walka Trumpa z przestępczością w Chicago” dla portalu CNN Ludwig napisał: „Gdy patrzę na ostatnie wydarzenia w Chicago, chce mi się krzyczeć, dlaczego zamiast po raz kolejny wysłać na ulice służby mundurowe z pałkami i gazem, nie zajmujemy się w końcu likwidacją przyczyn, które wypychają ludzi na ulice, a dzieciom pozwalają ginąć z rąk gangsterów”.

Ameryka przeciw policji i za jej reformą

Ponieważ protesty wymierzone są w chwilę obecnej w policję i szeroko pojęty system, łatwo się domyślić, że sprawowanie pieczy nad porządkiem publicznym i bezpieczeństwem stało się dla lokalnych władz nie lada wyzwaniem. Ponadto nikomu nie pomaga fakt, że Donald Trump jak zwykle usiłuje upolitycznić kryzys i obrócić go na swoją korzyść, twierdząc, że za wszystkim stoi lewica, która – oczywiście! – próbuje w ten sposób zniszczyć jego szanse na reelekcję. ▶

► Zamieszki wywołują jego zdaniem ugrupowania typu Antifa, a do ruchów dochodzi tylko tam, gdzie burmistrzami i gubernatorami są nazbyt łagodni wobec przestępców demokracji. Jediną słuszną odpowiedzią zdaniem Trumpa jest pokaz siły. Choć wspomniani lokalni władarze czują coraz większą desperację, są

chronić protestujących przed „federalistami”. Miejska policja otrzymała od burmistrza zakaz współpracy ze służbami Trumpa.

Czy można ten węzeł jakoś rozsunąć? Można, choć skutków najważniejszych rozwiązań nie odczujemy natychmiast. Eliminacja z przestrzeni publicznej rasizmu, biedy i zorgani-

pochyłej, który przywiódł nas do obecnego kryzysu. Był to krach z 2008 r. i moment historycznych cięć w publicznych budżetach, które złamały kark zwłaszcza departamentom i programom pomocy społecznej. Posterunki policji, mimo że też ucierpiały kadrowo i finansowo, zaczęły w związku z tym przejmować coraz to nowe role, w tym ratowników, mediatorów rodzinnych czy służb ochroniarskich (policjanci patrolujący szkolne korytarze to obrazek doskonale znany każdemu amerykańskiemu uczniowi).

Częścią reformy *Defund the police* ma być także uruchomienie publicznych baz danych, w których każdy będzie mógł sprawdzić, gdzie i dlaczego jego lokalna policja użyła siły. Jason C. Johnson, dyrektor ośrodka prawno-edukacyjnego Fundusz Obrony Służb Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego, uważa, że taka baza danych to podstawa całej reformy: – Brzmi to niewiarygodnie, ale dostęp do tego typu danych do dziś w naszym kraju nie istnieje. Dziennikarze i nawet FBI muszą szukać informacji w tym zakresie w innych, otwartych źródłach. Jak ta sytuacja przekłada się na poziom zaufania publicznego do policji, nie trzeba tłumaczyć. Jest bardzo złe.

Trump usiłuje upolitycznić kryzys i obrócić go na swoją korzyść, twierdząc, że za wszystkim stoi lewica.

rozdarci, czy należy prosić o pomoc Waszyngton. Dobrze ilustruje to sytuacja w Portland. Na początku lipca podczas demonstracji doszło tam do zniszczenia federalnego budynku sądu. Trump, bezzwłocznie i nie bacząc na sprzeciw burmistrza, wysłał do miasta agentów straży granicznej (miał do tego prawo, bo Portland leży w promieniu 100 mil od granicy z Kanadą), którzy w starciu z manifestującymi działali w przebraniu i korzystali z nieoznakowanych pojazdów. Świat obieży nagrania, jak ofiarą ataku gazowego pada sam burmistrz, a wraz z nim zasłużony weteran wojenny. Efekt federalnej interwencji był odwrotny do zamierzonego. Zamieszki w mieście nie ustają, a nawet przybierają na sile, do akcji zaś włączają się coraz to nowe grupy społeczne, w tym tak nieoczekiwane jak Wall of Moms – „mur z mamusiek” co dzień ustawia się, by

zowanych grup przestępczych to zadania na lata, jeśli nie dziesięciolecia. W trybie doraźnym, na dobry początek, można jednak osiągnąć przynajmniej jeden cel – wcielić w życie postulat z uporem pojawiający się na ulicznych transparentach. Brzmi on: *Defund the police*, czyli „Odbierzmy policji pieniądze”.

Z miejsca uspokajam, że nie chodzi o żadne szaleństwo typu likwidujemy policję. Już kilka dni po zabójstwie Floyd’a i pierwszych protestach w Minneapolis i Chicago dziennik „Chicago Tribune” tak wyjaśnił znaczenie nowego hasła: „*Defund the police* to oddelegowanie części pieniędzy z budżetu policji, a wraz z tym części policyjnych obowiązków, do innych departamentów i organizacji, tak by funkcjonariusze noszący na pasku pistolet nie musieli się zajmować sprawami, którymi nie powinni. To zmiana podejścia do kwestii bezpieczeństwa publicznego, które można osiągnąć bez militarnej przemocy, za to dzięki większej odpowiedzialności za podejmowane działania i lepszym szkoleniom. To wreszcie koniec z praktyką krycia przez związki zawodowe przestępstw popełnianych przez złych funkcjonariuszy na mocy stosownych zapisów w ich umowach o pracę”. W skrócie: Amerykanie są przekonani, że policja źle wypełnia swoje obowiązki, bo oprócz tego, że dyskryminuje na tle rasy, jest zbyt „uwojskowiona” (szkolona, by szybko i łatwo sięgać po broń) z jednej strony, a z drugiej obarczana obowiązkami nadzoru nad sferami życia, którymi może i powinien zarządzać ktoś zupełnie inny.

Jest nawet zgoda co do chwili, kiedy zaczął się zjazd po równi

Jediną słuszną odpowiedzią na uliczne niepokoje jest zdaniem Trumpa pokaz siły.

Warto się zastanowić nad tymi słowami. Ameryka stanęła w ogniu ulicznych walk, bo niefortunna mieszanina nieczęść: pandemii, kolejnego niepotrzebnego aktu przemocy wobec osoby, która nie miała możliwości się obronić, tradycji zamykania pod dywanem bólek społecznych, a wreszcie nierozliczonej po dzień dzisiejszy przeszłości, zniszczyła kolejną warstwę zaufania społeczeństwa do władz i instytucji. Korzystają na tym przestępcy, cierpią zwyczajni obywatele. Wielka szkoda, że w tym dramatycznym momencie Ameryce brakuje przywódcy, który potrafiłby dostrzec i zrozumieć złożoną naturę tego problemu i zareagować w sposób, który podziałałby na płomień jak strumień wody, a nie kanister benzyny.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Kontestatorzy konwencji stambulskiej to czempioni mizoginizmu – pisze Agnieszka Wołk-Łaniewska w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Dziejowa misja prezesa

Nie doceniłem Kaczyńskiego, myśląc, że jest przede wszystkim cynikiem – jest wyrafinowaną mieszaną cynizmu i ideologii, a to najgorsze z możliwych połączeń. W prezesie poczęła narastać misja kulturowa i cywilizacyjna. Chce dokonać wielkiego dzieła. To obrońca całej cywilizacji śródziemnomorskiej. Dla dobra tak wielkiej sprawy każda podłość jest usprawiedliwiona, szlachetny cel uświęca środki. Wraca rola Rzeczypospolitej jako przedmurza chrześcijaństwa. Prezes mówił na antenie radiowej Jedynki, że „nowa idea europejska niszczy tradycyjne wartości. To droga do zniszczenia naszej cywilizacji (...). Jeśli pomysł szaleńca zostanie zrealizowany, dojdzie do klęski, a zmanipulowani Polacy zostaną pozabawieni tożsamości. Dzieje się to przez rozbijanie tradycyjnych struktur społeczeństwa. (...) To starcie z bożkiem postępu, oni chcą rozbić pewne tradycyjne struktury z rodziną na czele i tradycyjne wartości. To pomysł szaleńca”, powtarza. Kto jest tym szaleńcem? Chyba duch czasu. Z nim nikt jeszcze

nie wygrał, ale Kaczyński odwrócił bieg dziejów. Polska pod jego przewodem wyprowadzi Europę z czasów mroku. Prezes ostrzega: „Będzie to rodzaj nieuświadomionego niewolnictwa. I to nie zwykłego niewolnictwa, tylko podwójnego. Od oferty składanej przez tych silniejszych i jednocześnie od własnych zmysłów. I to takich najbardziej prymitywnych można powiedzieć, bo tutaj zawsze w centrum tej całej propozycji jest seks”. Kaczyński narzeczcie mówi o seksie, oczywiście kojarzy mu się on tylko z czymś prymitywnym. To, że seks wyszedł z mrocznego zaułka, jest wielką zdobyczą naszych czasów. U niektórych jednak nadal tkwi pod szafą, w strasznym stanie.

Wracam do naszej cywilizacji. Problem w tym, że prezes ma trochę racji. Ona ma też strony mroczne, ale inne, niż chce Kaczyński; zniszczyliśmy niemal naszą planetę, łakomi bez granic, pożarliśmy ją. I trwa ślepa pogoń za szczęściem za wszelką cenę. Tylko co prezes proponuje jako lekarstwo? Powrót do przeszłości? Do jakiej? Do zniewolenia kobiet, bicia dzieci, wsadzania do więzień homoseksualistów, do zakazu rozwodów, wyłącznie naturalnych metod antykoncepcji (by zwiększyć dietność narodu)? Nie da się do tego już wrócić. To byłaby wędrówka do szafy, gdzie butwieją stare ubrania. A seks i prokreacja rozeszły się na zawsze, by tylko czasami do siebie się zbliżać. Wydaje mi się, że jakaś trauma seksu-

alna stanowi o polskiej prawicy. Cnotliwi za dnia, nocą biegają do burdelików z pejczykiem w teczusce. A prezes walczy o to, co nazywa powrotem do tradycji i wartości, za pomocą podłych narzędzi i ludzi bez wartości. Cały ten pisowski sztab jest odrażający. Są tam wierzący, ale też chmara cyników, których przyciąga władza.

PiS jak każda dyktatura ma swoją nowomowę. Sprawa uzależnienia wypłaty funduszy Unii od praworządności jest wciąż otwarta. Morawiecki powrócił do Polski z pieniędzmi i triumfuje, że w Brukseli, jak ktoś trafnie zauważył, pogroźono mu nie pałką, ale palcem. I dali jednak pieniądze. W nowomowie PiS najnowsze pojęcie to „tzw. praworządność”. Pisowska praworządność to praworządność, a ta, o której mówi Unia czy opozycja, to „tzw. praworządność”. Jest też tzw. prawda, tzw. Polacy,

PiS traktuje Unię jak bankomat, który czasami złośliwie się zacina. Dawajcie forszę i łapy precz od Polski, tu prezes rządzi!

a tzw. Polacy chętnie używają tzw. prawdy. PiS traktuje Unię jak bankomat, który czasami złośliwie się zacina. Dawajcie forszę i łapy precz od Polski, tu prezes rządzi!

Zbigniew Ziobro, jak będzie miał okazję, przegryzie prezesowi gardło. Proszę go posłuchać, to już nie delfin, on chce być rekinem. „Stoi przed nami ogromne wyzwanie. Jeśli my tego teraz nie zrobimy, jeśli nie zajmujemy się edukacją, jeśli nie zajmujemy się sferą nauczania na uniwersytetach, jeśli nie zajmujemy się obszarem mediów, to przegramy bitwę o polskie dusze”. Komuniści w czasach stalinowskich też chcieli przerobić polską duszę. W tym celu konieczne było przejęcie uczelni. Nie było to proste, a czas gonił. Gomułka ubolewał z podobną jak Ziobro szczerością: „Musimy pracować przy pomocy tych profesorów, którzy są, bo nauki nie przerwiemy. Istnieją setki i tysiące sposobów, by na nich oddziaływać. (...) My dopiero musimy wychować naszych profesorów”. Ziobro mógłby się nauczyć „metod wychowawczych” od swoich „wielkich poprzedników”, on jakimś cudem wychowany przez nich.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Tu kończy się Europa

Na południu Włoch państwa praktycznie już nie ma – jest za to skrajna bieda, niewolnictwo i mafijna wojna światów

Stając na nabrzeżu portowym Reggio di Calabria, miasta położonego niemal na czubku Półwyspu Apenińskiego, w zasięgu wzroku można mieć aż trzy odmienne rzeczywistości. Patrząc przed siebie, zobaczy się prawie przytuloną do brzegu popularną wśród turystów Sycylię. W najwęższym miejscu wyspę oddziela od reszty kraju zaledwie trzykilometrowa cieśnina. Na prawo rozpościera się widok na północ. Każdy kilometr przebyty w tym kierunku oznacza obszary coraz bogatsze, gęściej zamieszkane, stabilniejsze pod każdym względem. Jeżdżąc na północ można długo, nawet 1670 km, bo tyle w linii prostej dzieli Reggio od Brukseli – stolicy zjednoczonej Europy. Prawie trzy razy bliżej jest jednak do Trypolisu. To libijskie miasto, niegdysiejszy symbol kolonialnych ambicji faszystowskich

i każdy kolejny tysiąc imigrantów przybywających z Afryki czy Bliskiego Wschodu. Punktami odniesienia są natomiast organizacje przestępcze, które decydują o tym, kto tu będzie żyć, a kto życie straci. I coraz częściej nie są to już swojskie mafie włoskie, obecne od pokoleń na tych terenach rodziny napędzające lokalną szarą strefę. One przeniosły się już niemal w całości na północ – do Mediolanu, Turynu i dalej, do Monachium i Hamburga. W Kalabrii i w innych regionach południa Włoch działać już im się nie opłaca.

51,1%. Wreszcie statystyki te wypada uaktualnić o pandemię koronawirusa i jej skutki. Według pierwszych szacunków ISTAT, włoskiego narodowego instytutu statystycznego, liczby te mogą być w tej chwili dużo większe – nawet 40% bezrobocia dla ogółu populacji i aż 70% dla jej najmłodszej warstwy.

Nie oznacza to jednak, że naprawdę co drugi mieszkaniec tej części Włoch nie ma żadnego źródła dochodu. Przez lata Reggio di Calabria znane było na Półwyspie Apenińskim jako miasto z największą liczbą bankomatów na osobę. Tutejsze społeczeństwo utrzymywało się dzięki 'ndranghecie, kalabryjskiej mafii, przez lata monopolizującej przemysł narkotyków z Ameryki Południowej i Afryki Subsaharyjskiej. Płaciła w gotówce, którą potem trzeba było jakoś wyprać, więc mnożyła małe biznesy, inwestowała w nieruchomości już istniejące albo budowała nowe. Z czasem jednak bossowie 'ndranghety zorientowali się, że większe pieniądze można zbić w innych sektorach gospodarki, a przede wszystkim z inną klientelą. Dlatego narkotyki zamienili na śmieci, luksusowe nieruchomości i imigrantów, Kalabrię na Mediolan, Monachium i Nowy Jork, a strzelaniny na ulicach i odcięte świńskie łby – na dyskretne egzekucje zlecane podwykonawcom.

W Kalabrii działa przede wszystkim mafia nigeryjska.

Włoch Mussoliniego, dziś – podobnie jak cały kraj – pogrąża się w chaosie przez odradzający się w Libii Kalifat, pomniejsze partyzantki i cudem jeszcze istniejący rząd, trwający dzięki zachodnim pieniądзом i tureckiemu wsparciu wojskowemu.

W samym Reggio, tak jak i w całym otaczającym miasto regionie Kalabrii, te trzy światy nie współistnieją na równych zasadach. Chociaż faktycznie jest to terytorium Włoch, czwartej największej gospodarki Unii Europejskiej, państwa demokratycznego, definiowanego sterami międzynarodowych traktatów i konwencji, trudno tu się dopatrzeć śladów obecności którejkolwiek z tych instytucji. Poza szerokimi, choć starymi już i miejscami dziurawymi autostradami, pojedynczą oczyszczalnią ścieków czy jakimś innym elementem infrastruktury zbudowanym za unijne pieniądze ani włoskie państwo, ani brukselskie urzędy nie dyktują tu warunków. Ramy życia wyznaczane są przez jeden z najwyższych na Starym Kontynencie odsetków bezrobocia, wyludnianie się miasteczek, istnienie obozów pracy sezonowej niczym nieróżniących się od niewolniczych plantacji

Zwłaszcza że muszą tu rywalizować z przychodzącą w ślad za uchodźcami mafią nigeryjską, coraz szerzej obecną wszędzie tam, gdzie lądują imigranckie łodzie i tratwy.

Formalnie, jak widać w statystykach Komisji Europejskiej, Kalabria pod względem stopy bezrobocia zajmuje dziewiąte miejsce wśród wszystkich regionów Europy. W ubiegłym roku Eurostat wyliczył odsetek populacji bez pracy na poziomie 21%. Choć to i tak katastrofalny wynik, realną sytuację raczej pudruje. Rzeczywista pozycja Kalabrii w tym niestawnym rankingu jest dużo wyższa, bo z przyczyn formalnych

Policja nie interweniuje na terenach kontrolowanych przez gangi.

unijne badania muszą uwzględnić wszystkie terytoria Wspólnoty, w tym ulokowane wyżej zamorskie terytoria Francji i Hiszpanii, takie jak Majotta, Ceuta, Melilla i Réunion. Więcej o życiu codziennym na południu Włoch mówi już stopa bezrobocia wśród najmłodszych uczestników rynku pracy, tych w grupie wiekowej 15-24 lata. Dla Kalabrii wynosi 48,6%, a dla sąsiedniej Sycylii

'Ndranghety w Kalabrii czy camorristy na ulicach Neapolu już prawie nie widać. Raz na jakiś czas zamaniastują swoją obecność pokazową wymianą ognia, najczęściej spowodowaną przez młodszych szeregowców którejs z organizacji. Camorra, znana z reportażu Roberta Saviana i ich licznych filmowo-seryjowych adaptacji, w samym Neapolu ma już tylko jeden strategiczny przyczółek



Zamieszki z udziałem imigrantów w Castel Volturno.

Nigeryjczykom. Między camorą i Black Axe rozejm trwa już 13. rok. Afrykanie oddają procent zysków, włoscy bossowie deponują go na amerykańskich, szwajcarskich i niemieckich kontach. A walące się budynki opustoszałego kurortu stały się doskonałym miejscem dla niemal każdego rodzaju nielegalnej działalności. Królują tu prostytutka i handel ludźmi. Seks z nieletnią dziewczyną z Afryki kosztuje 10 euro, a wykupienie jej na własność naprawdę niewiele więcej.

Wszystko to odbywa się przy pełnej świadomości władz publicznych. Pań-

stwa na południu Włoch już zresztą nie ma. Policja w żadnym, nawet szturmowym wydaniu nie interweniuje na terenach kontrolowanych przez gangi. Nie rozbija ich przyczółków, nie wchodzi na plantacje owoców zamienione w regularne obozy pracy. Oprócz uchodźców pracując na nich Bułgarzy i Rumuni, zwabieni przez agencje pracy tymczasowej w swoich krajach, będące często przykrywkami mafii.

– port. To miejsce ważne, bo pozwalające na kontrolę międzynarodowego ruchu towarowego. Wszystko, co do Kampanii wpływa i z niej wypływa, przechodzi – jeszcze – przez ręce tutejszych gangsterów, podobnie jest z 'ndranghetą i ruchem morskim przez Cieśninę Mesyńską. Prawie całą resztę miejscowi oddali Chińczykom i przede wszystkim mafii nigeryjskiej.

Ta na południu Włoch rządzi już praktycznie niezagrożona. Jej emsariusze przedostali się do kraju ukryci wśród uchodźców. Wbrew obiegowej opinii nie byli to fanatyczni bojownicy Boko Haram czy innej islamskiej milicji religijnej, ale najwykleszy przestępcy. Często wyszkoleni za granicą, znający języki obce i doskonale orientujący się w globalnych mafijnych trendach. Przede wszystkim jednak do Europy nie przyjeżdżali z pustymi rękami. Przez lata takie organizacje jak Black Axe (ang. Czarny Topór) zakumulowały ogromne zasoby finansowe, pośrednicząc w handlu narkotykowym między Ameryką Łacińską a południem Europy. Po okresie oszczędzania przyszedł czas inwestycji, co też Nigeryjczycy robią skutecznie od kilku lat. Już w 2017 r., jak informuje Centrum Badań nad Handlem Ludźmi Uniwersytetu w Cambridge, mieli skontaktować się z przedstawicielami sycylijskiej

cosa nostry i najzwyczajniej w świecie... wykupić za gotówkę prawo do prowadzenia operacji na wyspie.

Od tego czasu podobne umowy zawarli z 'ndranghetą w Kalabrii i camorą w Kampanii. Ich mafijne państwo ma nawet stolicę. Castel Volturno, dawny nadmorski kurort 50 km na północ od Neapolu, to miasto wyjęte z dystopijnych filmów i najczarniejszych koszmarów unijnych biurokratów. Jak zauważa Roberto

Niedofinansowane usługi publiczne, kulejąca edukacja i ogromne bezrobocie zostawiają młodym dwie ścieżki życiowe: mafię albo emigrację.

Saviano, wielu Europejczyków nie byłoby w stanie uwierzyć, że taki kompleks może istnieć na terenie Unii. Na 50 tys. mieszkańców ponad połowa to dziś przybysze z Afryki. Architektonicznie miasto cechuje pełna samowola budowlana, bo mafia postawiła tu w sumie kilka tysięcy nielegalnych budynków, w tym luksusowe osiedla nad samym morzem. Kiedy w 1980 r. wiele z nich ucierpiało w wyniku trzęsienia ziemi, odbudowała je camorra, ale za publiczne pieniądze, wygrywając przetargi remontowe. Jednak równie szybko jak odrestaurowała Castel Volturno, postanowiła je opuścić, zostawiając wszystko w spadku

Niedofinansowane usługi publiczne i kulejąca edukacja potączona z ogromnym bezrobociem zostawiają młodym właściwie tylko dwie ścieżki życiowe: mafię albo emigrację. Unia Europejska jest mirażem i źródłem frustracji, bo mimo lat obietnic nie jest w stanie odciążyć tych regionów w wysiłku przyjmowania uchodźców. Polityczne zaczyna tu dominować skrajna prawica, choć lokalna polityka jest wtórna – samorządowcy i tak muszą tu koegzystować z przestępcami. Południe Włoch to dziś prawdziwy koniec Europy. I być może początek nowego, znacznie bardziej chaotycznego świata. ■

OPZZ na rzecz pracowników migrujących

Godna praca ma być dla wszystkich

Piotr Ostrowski



Polskę przez wiele lat cechowało zjawisko emigracji, zarówno politycznej, jak i ekonomicznej. Przystąpienie naszego kraju do Unii Europejskiej w 2004 r. nadało temu zjawisku zupełnie nową dynamikę. Płytkość rynku pracy, bezrobocie, niskie wynagrodzenia, zła atmosfera w pracy, niewielkie szanse rozwoju wpływały na decyzję o wyjeździe z Polski, czasowym lub na stałe. Magnesem były zdecydowanie wyższy standard życia oraz lepsze warunki pracy i wynagradzania. Dzięki zasadzie swobodnego przepływu osób w ramach jednolitego rynku UE (włączając w to Europejski Obszar Gospodarczy) oraz z uwagi na ogromne różnice w wynagrodzeniu za pracę znacząco nasiliły się migracje zarobkowe Polaków do krajów Europy Zachodniej. Po 1 maja 2004 r. były one masowe, a duży odsetek stanowiły osoby o wysokich kwalifikacjach.

Od kilku jednak lat charakter procesów migracyjnych w Polsce się zmienia. Dostrzegalny jest trwały trend, nieznamy dotychczas, a z pewnością nie w takiej skali, napływu do Polski pracowników spoza UE. Spowodowany został on m.in. wprowadzeniem przepisów uprawniających do podejmowania czasowego zatrudnienia w Polsce bez konieczności uzyskania zezwolenia na pracę. Polski rynek pracy staje się coraz atrakcyjniejszy dla cudzoziemców, a dodatkowo pojawiają się sygnalizowane przez pracodawców niedobory, wywołane m.in. emigracją poakcesyjną. Obok zjawisk pozytywnych dla rynku pracy, takich jak zaspokajanie podaży na pracę w wielu jego segmentach, widać również te negatywne – pracę w szarej strefie, wyzysk, omijanie i łamanie praw pracowniczych, ograniczanie należnego wynagrodzenia, a także pracę przymusową i handel ludźmi. Badania międzynarodowe i doświadczenia organizacji działających na rzecz pracowników migrujących wskazują, że migranci zarobkowi są znacznie częściej ofiarami bezprawnych praktyk ze strony pracodawców niż pracownicy lokalni. Dodatkowo pandemia COVID-19 wyraźnie wpłynęła na kondycję podmiotów działających na rynku pracy. Takie zjawiska jak niepewność, brak środków na utrzymanie czy zagubienie w gąszczu nowych przepisów, powszechnie podnoszone przez lokalnych pracowników, były zwielokrotnione w przypadku pracowników migrujących, których dodatkowo dotknęły problemy związane z ograniczaniem podróżowania i przymusową kwarantanną po przekroczeniu granicy. Aby skutecznie sprostać wyzwaniom i eliminować negatywne zjawiska, również w trudnym okresie wychodzenia z pandemii koronawirusa, potrzebne są strategiczne działania instytucjonalne organów państwa i samorządów lokalnych oraz ich agend, organizacji pozarządowych, a także partnerów społecznych – organizacji pracodawców i związków zawodowych.

Związki zawodowe w Europie Zachodniej w wielu przypadkach skutecznie odpowiadały na wyzwania pojawiające się wraz z masową imigracją polskich pracowników. Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych ma w tym zakresie doświadczenie. Przez wiele lat współpracowaliśmy dość ściśle ze związkami zawodowymi z Wielkiej Brytanii i Szwajcarii. Jednym z lepszych przykładów są inicjatywy norweskich związków zawodowych, starających się działać dla ponad 100 tys. imigrantów z Polski, stanowiących najliczniejszą grupę pracowników migrujących w Norwegii. Wciąż jest jednak wiele do zrobienia. Powinniśmy wymieniać doświadczenia i dobre praktyki w perspektywie międzynarodowej. Nie ulega dla nas wątpliwości, że aby być skutecznym w Polsce, warto się uczyć od najlepszych. Norweskie związki zawodowe z pewnością do takich należą.

Właśnie dlatego OPZZ wraz ze swoimi strategicznymi partnerami:

- Norweską Konfederacją Związków Zawodowych (Landsorganisasjonen i Norge), największą centralą związkową w Norwegii,
 - Stowarzyszeniem Interwencji Prawnej, jedną z największych w Polsce organizacji pozarządowych zorientowanych na pomoc migrantom i uchodźcom,
 - Międzyzakładowym Związkiem Zawodowym Pracowników Ukraińskich w Polsce, jedynym związkiem zawodowym w Polsce działającym na rzecz obrony praw i reprezentowania interesów pracowników cudzoziemskich,
- rozpoczęła realizację – ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca” – projektu Sustainable, Inclusive and Decent Work for All (SIDA, Zrównoważona, inkluzywna i godna praca dla wszystkich). Projekt rozpoczął się w lutym 2020 r. i potrwa 24 miesiące, choć już wiadomo, że koronawirus zmienił harmonogram jego realizacji.

Na podstawie doświadczeń norweskich, w szczególności norweskich związków zawodowych, oraz wykorzystując wiedzę i doświadczenia ekspertów Stowarzyszenia Interwencji Prawnej i Międzyzakładowego Związku Zawodowego Pracowników Ukraińskich w Polsce, chcemy jak najlepiej przygotować związkowców z OPZZ do działania dla pracowników migrujących na polskim rynku pracy i wraz z nimi. Chcemy, aby godna praca była dla wszystkich!

Biorąc także pod uwagę, że w 2016 r. Rada Ministrów unieważniła dokument „Polityka migracyjna Polski – stan obecny i postulowane działania” z 2012 r., określający działania państwa w zakresie polityki migracyjnej, zamierzamy – przy współpracy z partnerami projektu – przygotować założenia nowej, aktualnej i uwzględniającej założenia godnej pracy w rozumieniu MOP polityki migracyjnej Polski, którą będziemy chcieli zaprezentować na forum Rady Dialogu Społecznego.

Piotr Ostrowski jest wiceprzewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Historia bez zapitki

Z właściwą sobie opieszałością – trzy lata po premierze – odkryłem właśnie istnienie programu rozrywkowego „Drunk History”, w polskiej wersji opatrzonego uściśleniem „Pół litra historii”, i znalazłem w nim uciechę. Jako telewizyjny analfabeta żyję na co dzień w błogiej niewiedzy, choć okazuje się, że czasem i wiedza może przysporzyć radości. Tym, którzy jak ja należą do klubu dobrowolnie wykluczonych i telewizora używali ostatnio jeszcze za czasów wypukłych ekranów, wytłumaczę, a tym, którzy są na bieżąco, przypomnę, że chodzi o nadzwyczaj nietypowy program komediowy. Znane postacie show-biznesu streszczają przed kamerą uprzednio wybraną anegdotę historyczną – jednak, uwaga, czynić to mogą wyłącznie na pełnej bani. Nie „pod wpływem” alkoholu, tylko napruci, zalani w pestkę – słowem dobrze zrobieni, tak, żeby język im się plątał z myślami.

Ów język spuszczonego z łańcucha poprawności współ z myślą rozchełstaną dają w efekcie cokolwiek apokryficzne epizody z naszych dziejów. Lekcja historii zmienia się w pijacką nawijkę, tu i ówdzie upraszczającą skomplikowane węzłowiska wątków, a często i swawolnie ubarwiającą fakty. Reżyser pilnuje, żeby bohater odcinka nie symulował, co szczególnie w przypadku zawodowych aktorów byłoby wykrywalne z niejakim trudem, wy-daje mi się zresztą, że właśnie aktorom wyjątkowo hojnie dolewano do kieliszka, żeby mieć pewność – oprócz historii zmagają się więc z dykcją. Te opowiastki sączone z sączących ust są brawurowo ilustrowane, w zdobnych kostiumach z epok, przez komediantów, nierzadko tych samych, którzy w innym odcinku musieli przed kamerą się upić.

To, że „Drunk History” nie wymyślili Polacy, naród pijany historią i pijący od zaranka dziejów, jest dla mnie sprawą tajemniczą, a fakt, że naszą wersję realizowano dopiero pod rządami kaczyistów, z troską doglądających dziewictwa narodowego i edukacji patriotycznej, jest tajemniczy w dwójnasób. Mitotwórstwo narodowe mamy wszak w rozcieńczonym spirytusem krwi, im bardziej powierzchowna jest obywatelska świadomość historii, tym głębsze są knajpiane gawędy o bohaterskich protoplastach. „Z twarzą wtuloną w kotlet schabowy”, jak pisał mistrz Młynarski, od prawieków śnimy pijacką wersję naszych dziejów, nawet rycerze w grocie Giewontu zasnęli na wieki urzęnięci w trupa, polska historia to jest jeden wielki sen wariata, pijanego, ma się rozumieć.

Idę o zakład, że żaden inny naród po pijaku tyle nie nawija o historii, nawet jeśli napruci obcokrajowcy widzą podwójnie, to przecież nie siebie, nie przechodzą na tę narodową liczbę mnogą – a zatem: polska „Drunk History” rozbija bank, nikt inny nie ma takiego połączenia predyspozycji. Inna rzecz, że nasza historyczna teraźniejszość na trzeźwo znieść się nie da; zanim doczekam, aż przejdzie do historii, wątrobą mi się zmarszczy. Kaczyści miewają humory, ale humoru u nich za grosz. Także dystansu do siebie i rodzimych dziejów nie mają na milimetr, jeśli chleją, to cichcem, kompulsywnie i natógowo jak Kamiński, jeśli przeklinają, to w czterech ścianach własnego domostwa, na pohybel konwencji stambulskiej, jeśli opowiadają żarty o Polakach, to szeptem i w takim załęknieniu, że zarzynają je przed końcem.

„Pół litra historii” to prawdziwy koszmar Ziobrow i Macierewiczów: kiedy już ich wszystkich powsadzamy do słowiańskiego Guantanamo, proponuję puszczać „Drunk History” 24 godziny na dobę w każdej celi. Skądinąd, kiedy „dobra zmiana” już wreszcie przeczłapie do historii okryta należną niestawą, trudno mi sobie wyobrazić, jak

Nie ma bardziej ponurego wydarzenia w dziejach narodów niż wojna domowa. Kaczyński doprowadził nas na jej próg.

mogłaby zostać przedstawiona w przyszłych edycjach. Członkowie Zjednoczonej Prawicy współtworzą jeden z najsmutniejszych etapów w dziejach Polski, sami jawią się jako ludzie bez właściwości, drwić z małości ludzi mikrego formatu byłoby całkiem nieśmiesznie. Nie ma bardziej ponurego wydarzenia w dziejach narodów niż wojna domowa. Kaczyński ze swoim stadem doprowadził nas na jej próg.

Żeby nie było, że w czasach zarazy oglądam wyłącznie głupie seriale, zalecam państwu lekturę świeżo wydanego zbioru arcydzielnych, traktujących o ostatniej wojnie domowej na Bałkanach, opowiadań „Sarajewskie Marlboro”. Miljenko Jergović, bośniacko-chorwacki pisarz, ma w Polsce poważanie od lat, ale dopiero teraz dostajemy pełny przekład jego debiutanckich próz, pisanych częściowo w oblężonym Sarajewie. Wszedł tą przejmującą książeczką do literatury europejskiej jako pisarz wybitny, kompletny, rzekłbym gotów na Nobla, co potwierdził później m.in. powieścią „Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki”. Poczytajmy, co się dzieje z narodami, które nie potrafią się śmiać z własnej historii.

Bohdan Piętko

Wybitny historyk Paweł Jasienica napisał, że powstanie warszawskie było „militarnie skierowane przeciw Niemcom, politycznie przeciw ZSRR, faktycznie przeciw Polsce”. Pomyślane przez jego inicjatorów z Komendy Głównej AK jako krótkotrwała demonstracja zbrojna, która miała doprowadzić do uznania przez Stalina władz Polski Podziemnej, stało się największą polską klęską militarną i polityczną podczas II wojny światowej oraz niewyobrażalną katastrofą humanitarną. Szanse na realizację celu politycznego w świetle polityki Wielkiej Trójki wobec Polski w latach 1943-1944 były znikome.

Brytyjskie naciski na porozumienie z Moskwą

Punktem zwrotnym w brytyjsko-amerykańsko-radzieckiej polityce wobec Polski stała się konferencja w Teheranie (28 listopada-1 grudnia 1943 r.). Doszło na niej do tajnego porozumienia przywódców trzech wielkich mocarstw odnośnie do wschodniej granicy Polski. Porozumienie to realizowało postulat Moskwy oparcia tej granicy na kryterium etnicznym i wytyczenia jej na tzw. linii Curzona.

Premier Stanisław Mikołajczyk zdawał sobie sprawę, że bez aprobaty Stalina ani jego rząd, ani podziemie w kraju nie będą mogły funkcjonować na terenach wyzwolonych przez Armię Czerwoną. Wiedział jednak, że jego polityczni oponenci utratę połowy przedwojennego terytorium uznają za kolejny rozbiór Polski. W instrukcji dla podziemia z 27 października 1943 r. premier Mikołajczyk i naczelny wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, zalecali unikanie wszelkich konfliktów ze stroną radziecką i „przystąpienie do współpracy z dowódcami sowieckimi w razie wznowienia stosunków polsko-sowieckich”. Rozpoczęcie przez dowódców Armii Krajowej na początku 1944 r. akcji „Burza”, czyli działań, które miały zmanifestować przed wkraczającą Armią Czerwoną, że Polska ma prawa do Kresów Wschodnich, a władze podziemia podległe rządowi polskiemu w Londynie są legalne, było niezgodne ze

Nie macie poczucia odpowiedzialności

Stalin nie był chętny do pomocy powstaniu, a Wielka Brytania i USA nie zamierzały drażnić swojego najważniejszego sojusznika



Powrót premiera Mikołajczyka z wizyty w Moskwie, 13 sierpnia 1944 r.

wspomnianą instrukcją. Realizacja „Burzy” ujawniła jedynie wrogi stosunek Stalina do AK i zakończyła się politycznym fiaskiem zarówno na Wołyniu, jak i na Wileńszczyźnie (operacja „Ostra Brama”) oraz we Lwowie.

Premier Mikołajczyk jeszcze przed konferencją w Teheranie przedłożył rządowi brytyjskiemu i amerykańskiemu memorandum, w którym stwierdził, że położenie polskiego podziemia niekomunistycznego stało się wręcz beznadziejne na skutek braku polsko-radzieckich stosunków dyplomatycznych (zerwanych przez ZSRR 25 kwietnia 1943 r. w związku z reakcją rządu polskiego na odkrycie przez Niemców zbrodni katyńskiej). Premier Winston Churchill opowiadał

się za wznowieniem stosunków polsko-radzieckich oraz ponownym uznaniem przez Moskwę polskiego rządu na uchodźstwie, jednak ceną za to musiało być uznanie przez ten rząd linii Curzona za wschodnią granicę Polski. Stanowisko brytyjskie zostało zakomunikowane premierowi Mikołajczykowi, ministrowi spraw zagranicznych Tadeuszowi Romerowi i ambasadorowi Edwardowi Raczynskiemu przez szefa brytyjskiej dyplomacji Anthony'ego Edena 20 grudnia 1943 r. i 11 stycznia 1944 r.

W pierwszej rozmowie Eden powiedział polskiemu politykom, że on i Churchill „odnieśli w Teheranie wrażenie, że uda się coś niecoś uzyskać w sprawach polskich od rządu

sowieckiego". Uważali też, że ZSRR będzie obstawał przy linii Curzona, ale z drugiej strony będzie dążył do tego, żeby Polska rozciągała się wzdłuż całej Odry i obejmowała Prusy Wschodnie oraz Gdańsk. W drugiej rozmowie Eden radził jak najszybsze zaakceptowanie żądań radzieckich. W przeciwnym razie, przestrzegał, Moskwa może ustanowić w Polsce konkurencyjny rząd (co stało się w lipcu 1944 r.).

W takiej formie strona brytyjska zakomunikowała rządowi polskiemu w Londynie ustalenia konferencji w Teheranie. Przywódcom polskim nie powiedziano wprost o brytyjskiej zgodzie na linię Curzona, ale mogli się tego domyślić. Zwłaszcza po tym, kiedy o wiele bardziej autorytatywnie niż Eden wypowiedział się Churchill na spotkaniu z Mikołajczykiem, Romerem i Raczynskim, do którego doszło 20 stycznia 1944 r. Brytyjski premier zażądał od polskich polityków wprost, aby natychmiast przystąpili do negocjacji z Moskwą i jeszcze zanim rozpoczną się te negocjacje, zgodzili się na linię Curzona. Jeśli nie – przestrzegał Churchill – „możemy zostać zaskoczeni wydarzeniami, którym trudno będzie zaradzić”.

w stosunkach polsko-radzieckich, o zmieniających się postawach Wielkiej Brytanii i USA czy o własnej bezsilności.

Kosztowne złudzenia Mikołajczyka

Identyczne stanowisko jak władze brytyjskie zajęła administracja USA, o czym premier Mikołajczyk przekonał się podczas wizyty w Waszyngtonie w czerwcu 1944 r. Zarówno podczas spotkania z sekretarzem stanu Edwardem Stettiniusem, jak i w trakcie spotkań z prezydentem Franklinem D. Rooseveltem polski premier był namawiany do uznania linii Curzona i rekonstrukcji rządu zgodnie z sugestiami Stalina. Roosevelt także ostrzegł Mikołajczyka, że w przeciwnym razie mogą nastąpić jednostronne działania Rosjan. By zjednać sobie polskiego premiera, oświadczył, że to nie on, ale premier Wielkiej Brytanii zaakceptował wschodnią granicę Polski opartą na linii Curzona.

Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym najbardziej zależało w tym czasie na rozpoczęciu ofensywy radzieckiej, która

Mikołajczyka Churchill i Roosevelt, stały się faktem.

14 lipca dowódca AK, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, zakomunikował władzom polskim w Londynie, że podziemie nie może pozostać bezczynne „w wypadku cofania się Niemców, a wkraczania Sowietów lub w wypadku rozkładu sił niemieckich i zagrożenia okupacją sowiecką”. 25 lipca informował Londyn, że powstanie w Warszawie może wybuchnąć w każdej chwili. Rząd na uchodźstwie dał wówczas wolną rękę dowództwu AK i władzom Polski Podziemnej w sprawie decyzji o czasie i skali lokalnych działań militarnych skierowanych przeciw cofającym się wojskom niemieckim. Przywódcy podziemia i sam Mikołajczyk ludzili się, że powstanie w stolicy będzie politycznym atutem w jego ręku podczas rozmów w Moskwie (31 lipca-9 sierpnia 1944 r.).

Churchill: Nie myślcie o przyszłości Europy, macie na myśli tylko swój własny, pożalowania godny interes.

Swoją rozmowę z polskimi politykami Churchill opisał w telegramie do Stalina z 28 stycznia 1944 r. Stalin odpowiedział 4 lutego. Domagał się oficjalnej i jednomyślnej deklaracji rządu polskiego w sprawie uznania linii Curzona, postulował przyłączenie do ZSRR także Królewca i zażądał rekonstrukcji polskiego rządu na uchodźstwie. 22 lutego 1944 r. Churchill oświadczył w Izbie Gmin, że rząd brytyjski nigdy nie gwarantował „jakiegś określonej linii granicznej w Polsce”, i stwierdził, że żądania radzieckie „nie wykraczają poza to, co rozsądnie słuszne”. Ponadto dodał, że Wielka Brytania nigdy nie aprobowwała zajęcia przez Polaków Wilna w 1920 r., a w 1919 r. popierała linię Curzona.

Jak wcześniej gen. Władysław Sikorski, tak teraz premier Mikołajczyk nie potrafił poinformować kierownictwa Polski Podziemnej (albo uznał jego szersze informowanie za nierozważne) o dramatycznych konfliktach

miała odciążyć wojska alianckie po ich lądowaniu w Normandii 6 czerwca 1944 r. To zasadniczo wpływało na ich stanowisko wobec Polski. Wielka ofensywa radziecka, która ostatecznie rozstrzygnęła o klęsce Niemiec, rozpoczęła się 22 czerwca 1944 r. Cztery fronty radzieckie liczące 2 mln żołnierzy runęły na niemiecką Grupę Armii „Środek”. Po jej zdruzgotaniu Armia Czerwona przekroczyła 21 lipca przyszłą granicę wschodnią Polski na Bugu. Następnego dnia na antenie Radia Moskwa ogłoszono manifest kontrolowanego przez ZSRR Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Kiedy pod koniec lipca premier Mikołajczyk przybył do Moskwy, Armia Czerwona była na dalekich przedpolach Warszawy. „Jednostronne działania” Rosjan, przed którymi ostrzegali

ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA

Kto doprowadził do śmierci 20 tysięcy cywili? 42 zł

Błędy dowódców. Poczucie rozkazu i dokumenty 41 zł

Obród i głód. Nieznany „Dziennik Powstańczy” 40 zł

Raporty oficerów AK: To się święci kłamstwo 44 zł

Gen. Władysław Anders. Powstanie to zbrodnia 43 zł

W PAKIECIE TANIEJ

~~210 zł~~ 159 zł

► Premier przekonał się, że tak nie będzie, już podczas wstępnego spotkania z Mołotowem 31 lipca, kiedy usłyszał: „Po co pan tu przyjechał? Co pan ma do powiedzenia?”. Zamiast spotkania ze Stalinem Mołotow zaproponował Mikołajczykowi rozmowy z przedstawicielami PKWN. Stalin przyjął Mikołajczyka dopiero 3 sierpnia i oświadczył mu, że rząd radziecki uznaje PKWN, z którym Mikołajczyk powinien dojść do porozumienia. Stwierdził również, że nie ma mowy o kompromisie w sprawie linii Curzona. Tematu pomocy dla powstania Stalin nie podjął, a podczas drugiego spotkania 9 sierpnia oświadczył, że w Warszawie nie ma żadnego powstania.

Rozmowy Mikołajczyka ze Stalinem ujawniły, do jakiego stopnia błędne były wszelkie rachuby związane z powstaniem, które wybuchło 1 sierpnia w Warszawie. Nie tylko nie umocniło ono pozycji polskiego premiera w Moskwie, ale wręcz sprawiło, że stał się pokornym petentem, ubiegającym się o niezbędną pomoc, którą mógł uzyskać lub nie. Z depechy otrzymanej od Stalina 16 sierpnia Mikołajczyk dowiedział się, że powstanie warszawskie jest „nieprzeżywaną awanturą”, a „radzieckie dowództwo wycofuje się z warszawskiej awantury i nie przyjmuje za nią żadnej odpowiedzialności”.

Zrzuty okupione śmiercią 250 lotników

Do rządu brytyjskiego wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie dotarła dopiero 2 sierpnia wieczorem. Tego dnia premier Churchill

wygłosił przemówienie w Izbie Gmin, z którego wynikało, że strona brytyjska nie zdecyduje się na otwarte wsparcie polskiego rządu na uchodźstwie w jego sporze ze Stalinem. Brytyjski premier ponownie zachęcił rząd Mikołajczyka do porozumienia z Moskwą. „[Sowieci] ofiarują Polakom wolność, suwerenność i niepodległość. Domagają się, by Polska w przyszłości była przyjazna wobec Rosji. Wydaje mi się to uzasadnione”, powiedział wtedy Churchill.

Gdy informacje o wybuchu powstania warszawskiego dotarły do władz brytyjskich, wykazały one

sojusznika. Brytyjska opinia publiczna była tego nieświadoma. 4 sierpnia gen. Bór-Komorowski musiał zgłosić dementi wobec audycji BBC, w której podano, że wojska radzieckie współpracują z powstańcami. Mimo to w mediach brytyjskich przez kilka dni pojawiały się informacje, że żołnierze polskiego podziemia „walczą ramię w ramię z Rosjanami”.

8 sierpnia wicepremier Jan Kwapiński i ambasador Raczyński dyskutowali z ministrem Edenem o pomocy dla Warszawy. Szef brytyjskiej dyplomacji odczytał im telegram marsz. Johna Slessora, w którym

Władze brytyjskie i amerykańskie zwlekały z decyzją o uznaniu żołnierzy AK za część Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

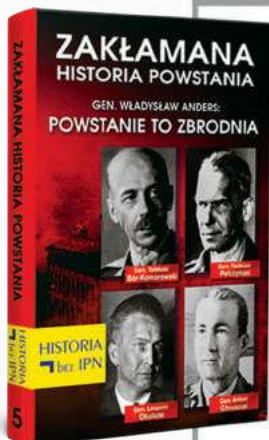
mało zaangażowania. Szef sztabu brytyjskiego Gabinetu Wojennego potrzebował aż pięciu dni, aby niezgodnie z prawdą oświadczyć, że kwestię użycia bombowców RAF w Polsce można rozpatrywać jedynie w połączeniu z oczekiwaniem atakiem Armii Czerwonej. Użycie myśliwców uznał natomiast za nierealne. Z kolei gen. Bór-Komorowski został powiadomiony 2 sierpnia drogą radiową, że strona brytyjska uzależnia pomoc dla powstania w Warszawie od wyników rozmów moskiewskich premiera Mikołajczyka.

Ambasador Raczyński usłyszał od brytyjskiego MSZ, że dyplomaci brytyjscy będą interweniować w Moskwie, aby zapewnić maksimum współpracy. Stalin nie był jednak chętny do pomocy powstaniu, a Wielka Brytania i USA nie zamierzały drażnić swojego najważniejszego

ten napisał: „Operację zrzutów na Warszawę uważam za tak niebezpieczną i nierokującą powodzenia, że odmawiam zgody na podjęcie jej przez podległe mi siły lotnicze. Zdania swego nie zmieniam. Wobec jednak zgłoszonej ze strony dywizjonów polskich woli podjęcia się tej ryzykownej operacji, nie widzę możliwości odmówienia podległemu mi dzielnemu dowódcy polskiemu mego zezwolenia”.

Jednak w wyniku rozkazu premiera Churchilla z 13 sierpnia także brytyjskie samoloty wzięły udział w akcji zrzutów dla Warszawy. Loty przeprowadzano jedynie z baz w południowych Włoszech. Ze względu na dużą odległość i silną niemiecką obronę przeciwlotniczą pociągały one za sobą znaczne straty. Wielu samolotom nie udało się dokonać zrzutów w wyznaczonych miejscach, a inne nie zdołały powrócić do baz. Brytyjskie załogi nie rozumiały też, dlaczego podejmują takie ryzyko. Samoloty alianckie latające z Włoch zrzuciły nad Warszawą ok. 100 ton dostaw, z których tylko część została przejęta przez powstańców. Kosztowało to życie ok. 250 lotników.

Mimo prośb Churchilla i Mikołajczyka Stalin odmówił 16 sierpnia zgody na lądowanie po dokonaniu zrzutów w Warszawie samolotów alianckich na terenach kontrolowanych przez stronę radziecką. Odmowę uzasadnił tym, że „rząd radziecki nie życzy sobie, aby – pośrednio lub bezpośrednio – wiązano go z awanturą w Warszawie”.



NOWOŚĆ TOM 5

Droga do tragedii Nieznane dokumenty Państwa Podziemnego

43 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony
jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje
możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka
w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Pogrzeb ofiar nalotu na gmach Filharmonii (ul. Jasna 5) na placu przed Domem Pod Orłami u zbiegu ul. Jasnej i Zgoda, 28 sierpnia 1944 r.

Na wahadłową operację amerykańską z pomocą dla Warszawy Moskwa wyraziła zgodę dopiero 9 września. Dzięki temu 18 września nad Warszawą pojawiło się 107 amerykańskich boeingów B-117, które zrzucały powstańcom ok. 1,3 tys. zasobników z bronią, amunicją, żywnością i zaopatrzeniem medycznym. Pomoc ta była jednak spóźniona, a powstańcom udało się odebrać tylko 20% tego zrztu. Natomiast lotnictwo radzieckie rozpoczęło zrzuć dla powstańców dopiero 14 września. Dokonywały ich w nocy samoloty Po-2 o małym udźwigu, zrzucając broń i amunicję z małej wysokości, bez spadochronów, co często kończyło się jej zniszczeniem.

Nieuchronne ustępstwa

1 września 1944 r. gen. Kazimierz Sosnkowski w rozkazie nr 19 dla AK napisał: „Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska, wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką (...). Warszawa czeka”. Brytyjczycy poczuli się urażeni tymi słowami. Dlatego 4 września minister Eden przekazał premierowi Mikołajczykowi, że strona brytyjska jest mocno poruszona oskarżeniami Sosnkowskiego. Ostrą kampanię przeciw Sosnkowskiemu

rozpoczęła też prasa brytyjska. W tej sytuacji rząd Mikołajczyka zdecydował się wystosować 22 września do prezydenta Władysława Raczkiewicza żądanie zdymisjonowania gen. Sosnkowskiego ze stanowiska wodza naczelnego, co nastąpiło 30 września.

Dopiero 10 września rząd brytyjski zdecydował się na potępienie zbrodni niemieckich na ludności cywilnej Warszawy.

Władze brytyjskie i amerykańskie zwlekały również z decyzją o uznaniu żołnierzy AK za integralną część Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, co uchroniłoby ich przed śmiercią z rąk niemieckich w wypadku dostania

się do niewoli. Deklarację w tej sprawie oba rządy złożyły dopiero 30 września. Dopiero 10 września rząd brytyjski zdecydował się na potępienie zbrodni niemieckich na ludności cywilnej Warszawy.

Wobec braku wsparcia ze strony zachodnich sojuszników premier Mikołajczyk zaczął ustępować. 30 sierpnia zgodził się na ewentualne poszerzenie swojego rządu o przedstawicieli PPR. Trzy dni po upadku powstania warszawskiego, 5 października, premier Churchill i minister Eden udali się do Moskwy na rozmowy w sprawie granic w powojennej Europie. Powtórzyli tam swoje pozytywne stanowisko wobec linii Curzona. 11 października przybyła do Moskwy delegacja PKWN, a następnego dnia Mikołajczyk, Romer i przewodniczący Rady Narodowej Stanisław Grabski. Dopiero wtedy, podczas spotkania wszystkich stron 13 października, zakomunikowano oficjalnie Mikołajczykowi o ustaleniach konferencji w Teheranie. Wobec protestów polskiego premiera Churchill oświadczył mu: „Nie macie poczucia odpowiedzialności (...). Nie myślicie o przyszłości Europy, macie na myśli tylko swój własny, pożatowania godny interes (...). Nie wiem, czy rząd brytyjski będzie was dalej

uznawał”. W ten sposób premier Wielkiej Brytanii podsumował nie tylko politykę premiera Mikołajczyka, ale także powstanie warszawskie.

Dopiero wtedy polski premier zrozumiał, że ustępstwa są nieuchronne, i wyraził zgodę na uznanie linii Curzona, choć jego decyzja nie miała mocy wiążącej i została odrzucona przez rząd. Ogromna ofiara powstania warszawskiego, która miała takiej decyzji zapobiec, okazała się daremna. Poświęcenie życia 200 tys. mieszkańców Warszawy, w tym kwiatu młodzieży inteligenckiej, oraz dziedzictwa materialnego i kulturalnego stolicy nie mogło zmienić sytuacji politycznej Polski w 1944 r., czego władze polskie w Londynie powinny być świadome jeszcze przed wybuchem powstania.

Bohdan Piętko

JUŻ W SPRZEDAŻY

E-BOOK za 19,90 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Uniwersytet eksmituje naukowców

11 noblistów wstawiło się w liście otwartym za Międzynarodową Agendą Badawczą ReMedy

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Kierowanej przez panią Międzynarodowej Agendzie Badawczej ReMedy, istniejącej na Uniwersytecie Warszawskim, grozi likwidacja. Agenda jest finansowana przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej. Czym się zajmujecie, że w liście otwartym wstawiło się za wami 11 noblistów z fizjologii lub medycyny oraz chemii?

– Pracujemy m.in. nad poznaniem mechanizmów adaptacyjnych reakcji komórek ludzkich na zaburzenia spowodowane czynnikami środowiskowymi lub wynikającymi ze starzenia. Wiedza ta ma pomóc w opracowywaniu nowych terapii i leków. Nasza jednostka badawcza, która dotąd działała w ramach Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego (CeNT), jest ważna nie tylko z uwagi na prowadzone badania, ale także ze względów organizacyjnych i strukturalnych, bo to pionierska formuła tworzenia w Polsce instytucji naukowych skupiających najbardziej uczonych i wykorzystujących partnerstwo zagraniczne. Opieramy się na najlepszych wzorcach światowych. Naszym zagranicznym partnerem jest Uniwersytet Centrum Medyczne w Getyndze.

PROF. AGNIESZKA CHACIŃSKA

– dyrektor Międzynarodowej Agendy Badawczej ReMedy

Jednostka taka jak ReMedy powinna korzystać z pewnej autonomii, co zostało jasno uwzględnione w umowie powierzającej nam fundusze, ma międzynarodową radę naukową, która pełni funkcje doradcze. Rada ta działała praktycznie od początku naszej obecności na UW, m.in. starając się wspomóc nas w poważnych kłopotach na uniwersytecie.

Ale przecież wasza agenda początkowo miała autonomię w ramach Centrum Nowych Technologii, zatrudniała nowych naukowców, zakupiła cenny sprzęt, m.in. spektrometr mas oraz mikroskop elektronowy pracujący w reżimie kriogenicznym. Co się stało, że powstał konflikt?

– Od ponad roku rektor UW prof. Marcin Pałys, a także dyrektor CeNT prof. Ewa Bulska, blokują nasze działania, w tym wydatki z funduszy ReMedy, nie dają zgody na składanie wniosków o granty przez naukowców ReMedy ani zatrudnianie nowych pracowników, w tym

nowo zrekrutowanych kierowników grup. Ostatnio, w środku pandemii, rektor wypowiedział umowy o pracę wielu pracownikom ReMedy, a także umowę o powierzenie grantu pomiędzy UW i ReMedy. Jako strona tej umowy kwestionuję formalnie ważność wypowiedzenia. Jednak do dziś (29 lipca) wypowiedziane lub nieprzedłużone umowy mają prawie wszyscy pracownicy ReMedy. A mamy przecież fundusze.

Wcześniej jednak przeprowadzono audyt, który zasugerował, że inne zespoły działające w CeNT, zajmujące się np. badaniami z dziedziny chemii i fizyki, czują się zagrożone szybkim rozwojem ReMedy. Czyżbyście stworzyli w centrum uprzywilejowaną elitę?

– Rzeczywiście, o ile sobie dobrze przypominam, wewnątrzuniwersytecka komisja audytorska zasugerowała coś takiego, jednak nie pamiętam, by padły tam konkretne zarzuty. Agenda ReMedy istotnie szybko powiększała swój potencjał personalny i badawczy, ale dokładnie taki był cel tego programu, o czym rektor UW wiedział, podpisując umowę



Agnieszka Małgorzata Chacińska jest profesorem nauk biologicznych. Specjalizuje się w zagadnieniach z zakresu cytologii, biologii molekularnej, biochemii. Jest członkiem korespondentem PAN, pracownikiem naukowym Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN oraz Uniwersytetu Albrechta i Ludwika we Fryburgu. Została laureatką szóstej edycji Polsko-Niemieckiej Nagrody Naukowej COPERNICUS przyznawanej wspólnie przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej i Deutsche Forschungsgemeinschaft (DFG). W latach 2017-2019 była dyrektorem Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego (CeNT).

o fundusze ReMedy. Zmiany, które następowały, nie musiały wszystkim się podobać, to dosyć naturalna postawa wielu osób, które przywykły do pewnej rutyny. Wydawało się jednak, że rektor podejmuje świadomą decyzję, dotyczącą zarówno zrekrutowania mnie do CeNT, jak również podpisywania umów dotyczących finansowania projektów, w tym ReMedy.

Każdy uniwersytet potrzebuje ciągłego napływu nowych naukowców – to w zasadzie determinuje pozycję naukową uniwersytetów na świecie. W Polsce jesteśmy pod tym

Nobla, dowiedziała się o kłopotach agendy badawczej działającej w strukturach Uniwersytetu Warszawskiego?

– Próbowaliśmy przekonać władze UW już ponad rok temu, że do rozwinięcia pełnego potencjału ReMedy potrzebny jest pewien zakres autonomii. Także międzynarodowa rada naukowa, zwana Międzynarodowym Komitetem Naukowym ReMedy, zwracała się do rektora uczelni z prośbą o uwzględnienie naszych potrzeb i nieblokowanie działań. Sprawa stała się więc głośna w międzynarodowym środowisku

działania na UW. Z tym dniem kończy się też kadencja prof. Marcina Pałysa. Do tego dnia jednostka ma czas, by znaleźć sobie nową formułę prawną już poza uniwersytetem. Co dalej?

– Nigdy nie zaakceptowaliśmy terminu narzuconego jednostronnie przez rektora UW. Na szczęście dzięki aktywnym działaniom prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. Jerzego Duszyńskiego oraz wsparciu prezesa Fundacji na rzecz Nauki Polskiej prof. Macieja Żylicza zapewne powstanie nowy instytut PAN, który będzie kontynuował prace ReMedy; dokonana zostanie również cesja środków z przyznanego nam grantu ReMedy. Sprawy sprzętu ureguje umowa. Na szczęście znaleźliśmy sprzymierzeńca w osobie rektora elekta UW prof. Alojzego Nowaka. Poparcie dla naszych starań wyczuwamy od dawna w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

W nowym instytucie będzie można tworzyć zespoły badawcze, wyłaniać kierowników naukowych, podpisywać nowe umowy. Może uda się wprowadzić agendę na właściwe tory, bo od roku nie mogliśmy pracować normalnie, mając zakazy dotyczące każdego aspektu działań naukowych. W nowym instytucie

Działanie jednostki mającej międzynarodową radę doradczą wciąż jest w Polsce mało rozpowszechnione.

względem dosyć zapóźnieni. Słabo też wygląda kwestia tworzenia nowych instytucji naukowych, a bez wypracowania takiego mechanizmu trudno będzie o prawdziwy postęp i np. o zwiększenie naszej konkurencyjności w staraniach o fundusze unijne. Chodzi tutaj także o standardy wyłaniania liderów zespołów badawczych i rzetelną procedurę konkursową, która pozwala powierzać ambitne zadania najlepszym liderom. Ja w 2017 r. zostałam szefem Centrum Nowych Technologii UW w wyniku konkursu i przedstawiłam wtedy program działania, w tym starania się o ReMedy. Program ten został przez władze uniwersytetu oraz powołanych niezależnych ekspertów zaakceptowany. Inna sprawa, że działanie takiej jednostki, mającej międzynarodową radę doradczą, wciąż jest mało rozpowszechnione w Polsce. Standardy przeprowadzania konkursów i ewaluacja osiągnięć naukowych także nie należą u nas do najlepszych. A przecież od poziomu kierownika grupy badawczej zależą zarówno pieniądze z grantów, jak i poziom prac naukowych.

W jaki sposób tak liczna grupa wybitnych naukowców, laureatów

ludzi nauki, tym bardziej że pokaźne środki finansowe, ok. 40 mln zł, które przyznała nam Fundacja na rzecz Nauki Polskiej, pochodzą z europejskich funduszy na rozwój nauki. Niebawem prof. Phillip A. Sharp, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny z roku 1993, obejmie przewodnictwo Międzynarodowego Komitetu Naukowego ReMedy. Współkierująca ze mną agendą ReMedy prof. Magdalena Konarska,

Od poziomu kierownika grupy badawczej zależą zarówno pieniądze z grantów, jak i poziom prac naukowych.

która od 1989 do 2015 r. była profesorem i kierownikiem laboratorium na Uniwersytecie Rockefellera w USA, poznała osobiście większość sygnatariuszy listu noblistów. Lokalny z pozoru konflikt z rektorem UW wyszedł daleko poza granice Polski, ponieważ nasza rada poważnie podchodzi do swoich zadań i los naszej nauki, a także nas, naukowców, po prostu ją obchodzi.

Agenda ReMedy otrzymała od rektora UW ultimatum – do końca sierpnia musi wygasić wszystkie

PAN będziemy wdrażać międzynarodowe wzorce organizacji, typowe dla instytucji naukowych w krajach o wysokim stopniu postępu naukowego, a co za tym idzie, technologicznego. A co do technologii, chcieliśmy zgłaszać nowe patenty, ale na razie nie otrzymaliśmy zgody na opłacenie procedury patentowej, choć mamy na to środki. Można zatem mieć nadzieję, że działając na rzecz nowego instytutu, dołożymy cegiełkę do tego, aby nauka polska zaczęła bardziej się liczyć w świecie. Reakcja społeczności międzynarodowej, w tym 11 laureatów Nagrody Nobla, zdaje się o tym świadczyć, choć na razie kontekst jest przykry. Głęboko jednak wierzę, że wsparcie i działanie wielu ludzi dla naszego dobra nie może iść na marne.

List podpisali laureaci Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny: Phillip A. Sharp (1993), David Baltimore (1975), Andrew Fire (2006), Richard J. Roberts (1993), Michael Rosbash (2017), Randy Schekman (2013), Jack Szostak (2009), Torsten Wiesel (1981) i Michael Young (2017), a także laureaci Nobla w dziedzinie chemii Thomas Cech (1989) i Venkatraman Ramakrishnan (2009).

Jan Szmyd

Dobroduszenie i ujmąco wyglądający starszy już pan, długoletni, wybitny profesor renomowanego Massachusetts Institute of Technology, autor głośniejszych prac naukowych i publicystycznych, wzbudza irytację i zaniepokojenie możnych i wpływowych tego świata, a zwłaszcza elity społeczeństwa amerykańskiego, establishmentu Stanów Zjednoczonych i innych państw zachodnich. W szczególności zaś sieje niepokój wśród tych sił i ugrupowań, przeciwnym którym zwrócił się bezpośrednio z ostrą krytyką i twardym oskarżeniem, tzn. globalnych korporacji finansowych i gospodarczych oraz orędowników neoliberalnego systemu społeczno-ekonomicznego. Ten niebezzasadnie wywołany stan napięcia i niekomfortowego poruszenia oraz nieskrywanego zaniepokojenia i zniecierpliwienia, ujawniającego się m.in. w ostrej krytyce jego diagnoz i poglądów społecznych, trwa nieprzerwanie i nie słabnie. Nie słabnie, bo diagnoza „głównych grzechów” i zapętleń, nieprawidłowości i krótkowzroczności, a nawet jawnej bezrozumności współczesnego świata

Chomsky oskarża globalne korporacje finansowe i gospodarcze oraz orędowników neoliberalnego systemu społeczno-ekonomicznego.

jest tu dogłębna. Główne uwarunkowania i stymulatory oraz czołowi sprawcy tego niefortunnego stanu rzeczy zostali trafnie zidentyfikowani, a związane z nim zagrożenia przedstawione realistycznie i beziluzyjnie, ale nie katastroficznie, i wyjaśnione w przekonujący sposób.

Amerykański dysydent nr 1

Chomsky jest filozoficzną i ideologiczną ikoną awangardowych i radykalnie lewicowych ugrupowań społecznych i politycznych (ekologicznych, alterglobalistycznych, socjalistycznych, anarchosyndykalistycznych itp.), wielkim autorytetem naukowym i moralnym, ideowym i politycznym. Cieszy się sławą zarówno znakomitego uczonego i wybitnego myśliciela społecznego, jak i bezkompromisowego publicysty społecznego i politycznego.

To pierwsze zawdzięcza wielkim, przełomowym, wręcz rewolucyjnym dokonaniom w dziedzinie lingwistyki, informatyki i medioznawstwa, drugie zaś – niezwykle przenikliwej, odważnej i bezkompromisowej myśli społeczno-politycznej oraz dogłębnej krytyce neoliberalnego systemu społeczno-ekonomicznego (współczesnego kapitalizmu) i procesów globalizacyjnych. Określany jest jako ojciec współczesnej lingwistyki, inicjator prawdziwej rewolucji w dziedzinie językoznawstwa, najważniejszy ze współczesnych myślicieli („New York Times”), wolnościowy

socjalista, radykalny pacyfista, rzecznik alterglobalistów, sympatyk anarchosyndykalizmu, bohater Nowej Lewicy, jeden z największych krytyków amerykańskiego rządu i polityków, amerykański dysydent nr 1. Mówi się, że poznanie Noama Chomsky’ego i jego twórczości jest niezbędne do zrozumienia świata, w którym dzisiaj żyjemy.

Wiele książek Chomsky’ego było – i jest nadal – bestsellerami. Jeśli chodzi o przekłady na język polski, są to m.in.: „Lingwistyka a filozofia. Współczesny spór o filozoficzne założenia teorii języka”, „Językoznawstwo i polityka”, „Zysk ponad ludzi. Neoliberalizm a ład globalny”, „Hegemonia albo przetrwanie. Amerykańskie dążenie do globalnej dominacji”, „Polityka, anarchizm, lingwistyka”, „Interwencje”, „Requiem dla amerykańskiego snu.

10 zasad koncentracji bogactw i władzy”.

Od 1961 r. Noam Chomsky był profesorem na Wydziale Języków Współczesnych i Lingwistyki (obecnie Wydział Lingwistyki i Filozofii) MIT, kierując Katedrą Języków Nowożytnych i Lingwistyki. Był także profesorem wizytującym i wykładowcą na innych amerykańskich uniwersytetach. Otrzymał wiele prestiżowych nagród i wyróżnień naukowych i humanitarnych, w tym cieszącą się dużym uznaniem w świecie nauki Nagrodę Kioto w dziedzinie nauk podstawowych (1988), Award for Distinguished Scientific Contribution czy Sydney Peace Prize.

W 2002 r. Noam Chomsky przeszedł na emeryturę. W 2007 r. zatrudniony został na Uniwersytecie Arizony w Tucson, gdzie kontynuował pracę naukową i publicystyczną, prowadził wykłady i seminaria, udzielał licznych wywiadów prasie amerykańskiej i światowej, także polskiej. Cieszy się dużym zainteresowaniem oraz wysokim, choć nie zawsze życzliwym, uznaniem w środowiskach naukowych, medialnych, politycznych i społecznych.

Niepokojący obraz i realistyczna przestroga

- Naczelnym problemem życia społecznego zawsze jest zagadnienie władzy politycznej, własności, zarządzania, hierarchii, dominacji, przymusu i kontroli; przy założeniu, że władza w istocie rzeczy zawsze należy do rządzących, a nie do zarządzanych, że powierzana jest

ona rządzącym przez rządzonych (większość ludności, „lud”), by sprawowali ją w ich interesie i przed nimi ją usprawiedliwiali; że rządzący mają jedyne wsparcie w opinii publicznej, którą w interesie własnym najczęściej kształtują; że ciężar dowodu prawomocności władzy bezspornie spoczywa na rządzących, a w przypadku gdy rządzący nie są w stanie dostarczyć tego dowodu, czyli należyce sprostować służbie większości („ludowi”), należy ich od władzy odsunąć, by zachować niezbędny zakres wolności i suwerenności. Wszelkie instytucje przymusu, opresji czy samowolnej kontroli i manipulacji, obojętne, czy chodzi o władzę państwową, czy o różne udzielne „prywatne tyranie”, np. wielkie korporacje finansowe i gospodarcze, należy konsekwentnie kwestionować, a w razie potrzeby eliminować dostępnymi (raczej legalnymi) środkami i sposobami. „Czasem – stwierdza Chomsky – można temu podołać”.

- Dzieje ludzkich społeczeństw to historia konfrontacji władzy z „ludem”; historia panowania mniejszości nad większością, kontroli elit nad masami ludzkimi, często represji, przemocy, wyzysku i manipulacji grup sprawujących władzę nad podległymi władzy rzeszami ludzkimi (despocje, tyranie, dyktatury, pseudodemokracje), ale także historia wielkiego, udanego lub nieudanego, zmagania się rządzących z rządzonymi (buntury społeczne, rewolucje, działania reformatorskie, tworzenie systemów demokratycznych itp.).

- Udany w znacznej mierze osiągnięciem woli i dążeń, walki i zmagania rządzących z rządzonymi okazało się powołanie do życia w wielu krajach ustroju społeczno-prawnego pod nazwą demokracja parlamentarna. Ale ten wykazujący wiele zalet ustrój obarczony jest swoistym grzechem pierworodnym. Jest nim – Chomsky powołuje się tu głównie na demokrację amerykańską – przyjęte założenie, że główną funkcją rządu jest chronić zamożną mniejszość przed większością, a w szczególności ochronić prawa własności, co realnie



stwarza uprzywilejowane miejsce dla ludzi bogatych i wpływowych, a nie zabezpiecza w dostatecznej mierze interesów ludzi niemających i ekonomicznie zależnych, pracobiorców i najemców; nie zawiera dostatecznie silnych barier dla niesprawiedliwości społecznej, wyzysku i różnego zniewolenia, przede wszystkim zaś sprzyja stale rosnącemu wpływowi sfery bogactwa i pieniądza

Bezprecedensowa, zachłanna i egoistyczna koncentracja bogactwa i władzy psuje nie tylko demokrację, ale też całe społeczeństwo.

na sposób sprawowania władzy i tworzenie prawa. „Demokracja parlamentarna w takim kontekście – stwierdza Chomsky – zasługuje na ostrą krytykę ze strony prawdziwych »wolnościowców«. Począwszy od lat 70. XX w., tzn. od czasu opanowania polityki gospodarczej i społecznej w przodujących krajach Zachodu (USA, Wielkiej Brytanii i innych) przez neoliberalizm, zaczęła się

historycznie bezprecedensowa koncentracja bogactw i władzy w rękach mniejszości, popadająca w »błędne koło«: w przyspieszeniu rosnące bogactwo nieprzerwanie akumuluje dla siebie coraz większą władzę, a wzmacniająca się władza generuje w przyspieszeniu bogatych i coraz wyższe ich bogactwo. To wzajemne napędzanie się bogactwa i władzy trwa, powodując coraz większe rozwarstwienie społeczne, wzrost nierówności, zmniejszanie się udziału sfer pracowniczych w zyskach, ograniczanie dostępu do edukacji, rozmiękanie się polityków z interesem publicznym, podkopywanie i psucie demokracji, zwiększanie prawnych, finansowych i politycznych przywilejów »władców społeczeństwa« (banków, korporacji, partii politycznych itp.), wzrost niechęci, a nawet wrogości mas pracowniczych (większości społeczeństwa) do instytucji państwowych, rządu, polityków, elit władzy i kapitału, prowadzi nawet do »nieukierunkowanego gniewu na wszystko« albo – przeciwnie – do zojetyczenia i przyzwyczajania się do »paskudnej rzeczywistości«, do tego, że »bogactwo zawsze ma nadmierną kontrolę nad polityką«, że w jego sferze dominują takie zasady jak: »zysk ponad ludzi«, »zysk jest ważniejszy niż ludzie«¹.

- Inspirowana neoliberalizmem paskudna – moralnie i społecznie – praktyka społeczno-polityczna, tzn. bezprecedensowa i skrajnie

elitarystyczna, zachłanna i egoistyczna koncentracja bogactwa i władzy, nie tylko bezmyślnie i nieodpowiedzialnie psuje i podkopuje demokrację, ale – co ważniejsze – psuje i deformuje całe społeczeństwo, czyni go także paskudnym. Kreuje w nim i wzmacnia takie szpetne i chorobliwe zjawiska jak coraz większa polaryzacja pod względem dochodów, udziału w zyskach, dostępu do

► edukacji, opieki zdrowotnej, opieki socjalnej, zwiększa marginalizację społeczną znacznej części ludności, poszerza podział na plutonię (tych, którzy posiadają najwięcej) i prekariat (tych, którzy mają niepewne zatrudnienie albo są go pozbawieni); powoduje stagnację poziomu i standardu życia większości

i propagandy, centra wiodących mediów i przemysłu show-biznesu urabiają człowieka na pożądaną przez nie modłę, ograniczając jego autonomię, tożsamość i wolność jednostkową. Czynią go irracjonalnym konsumentem i zbieraczem dóbr przedmiotowych, niewybrednym hedonistą i użytkownikiem

O nas

Na pytanie, co mogą zrobić ludzie w kraju takim jak Polska, Noam Chomsky odpowiada: „Staby kraj ma małe możliwości. Największa odpowiedzialność spoczywa na Amerykanach. Ale coś możecie zrobić. A od kiedy weszliście do Unii Europejskiej, możecie dużo więcej, bo Europa to jest już poważna siła. Nie chcę radzić Polakom, jakich wyborów mają dokonywać. Ale macie wybór i coś od was zależy”⁴.

Jan Szmyd jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

Dominują takie zasady jak „zysk ponad ludzi”, „zysk jest ważniejszy niż ludzie”.

społeczeństwa, poszerzanie się sfery ubóstwa i patologii społecznej, wzrost pasywności obywatelskiej i zubożenia na sprawy ogółu².

• Współczesne procesy ekonomiczno-społeczne mają równieży wpływ na podmiotowość poszczególnych jednostek ludzkich, wywołując w nich niekorzystne zmiany osobowościowe i mentalne, a także zmianę zachowań. Podporządkowane tym procesom instytucje *public relations*, ośrodki reklamy

były jakiej kultury masowej. Zawężają jego zainteresowania i potrzeby, tłumią samodzielne i krytyczne myślenie, aspiracje i dążności życiowe, sprowadzając go do roli widza, a nie uczestnika życia społecznego, kulturalnego i politycznego. Przybliżają go do roli robota i istoty coraz wyraźniej uprzedmiotowionej, intelektualnie i osobowościowo zubożonej, cywilizacyjnie sfabrykowanej, wprowadzając go na niebezpieczną drogę gatunkowego bytowania³.

¹ O anarchizmie, marksizmie i nadziei na przyszłość, wywiad Kevina Doyle'a z Noamem Chomskim, „Red and Black Revolution”, maj 1995, s. 87.

² Por. Noam Chomsky, *Requiem dla amerykańskiego snu. 10 zasad koncentracji bogactw i władzy*, Vis-à-Vis Etiuda, Kraków 2018, s. 114.

³ Por. Noam Chomsky, *Zysk ponad ludzi. Neoliberalizm a ład globalny*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000, s. 114.

⁴ Jacek Żakowski, *Na lewo od ściany*, „Niezbędnik Inteligenta”, dodatek do „Polityki”, lipiec 2004.



W bieżącym numerze także:

- **Komunikat artystyczno-pedagogiczny Roku Antyfaszystowskiego:** Marzenie i pysk albo rozpoznanie Boyem
- **Józef Domagalski:** Tolerancja miękką formą dyskryminacji?
- **Andrzej Ulmer:** Generał Cień
- **Sebastian Słowiński:** Postkapitalizm? Od aktywizmu do polityki
- **Michał Kozłowski:** Ostrożnie z generałami
- **Karolina Zychowicz:** Nasz drug Nadia Leże
- **Joanna Bakoń:** Twarze i maski rewolucji. O oprawcy próbującym odegrać rolę ofiary
- **Dariusz Łukasiewicz:** Epidemie jako jeden z ważnych regulatorów rozwoju cywilizacyjnego
- **Łukasz Kępiński:** Jak zabijać (i nie dać się zabić) w Warszawie
- **Józef Domagalski:** Jakiej polityki historycznej potrzebują Polacy?
- **Tadeusz Klementewicz:** Kwarantanna dla fundamentalistów rynkowych
- **Artur Troost:** Nacjonalizacja – (nie) tylko na kryzys

Do nabycia w salonach prasowych empiak oraz zamawiając przez Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27 redakcja@iwwkip.org

Ponowny odwrót od Europy

Problemem jest nie „ludofobia”, tylko „elitofobia”, pogarda dla wykształcenia, kultury i zawodowych osiągnięć

Bohdan Jałowiecki

Prof. Jarosław Flis udzielił PRZEGŁOWI obszernego wywiadu, w którym analizuje przyczyny porażki Rafała Trzaskowskiego. Krakowski socjolog mówi: „Problemem okazało się podejście patrycjuszy do ludu. Czyli bardzo widoczna »ludofobia« (...). Sączy się ona do uszu ludu od dekad. Te oskarżenia o wieśniactwo, że »Janusze«, »stoiki« itd. Tylko że patrycjatu jest mało, a ludu jest większość. Trudno z poczuciem wyższości walczyć o poparcie większości. Jak bowiem media liberalne przedstawiały wybory? Opisywały je przez pryzmat walki młodych wykształconych z wielkich miast z wiejskimi ciemniakami. Dlatego to, że Trzaskowski ma 30% na wsi, i tak zakrawa na cud”. Takie wyjaśnienie mogłoby być trafne w odniesieniu do starożytnego Rzymu, gdyby istniał tam ustrój demokratyczny. Współczesne społeczeństwa cechują się z jednej strony masowością, a z drugiej licznymi różnicowaniami na biednych i bogatych, wykształconych bardziej i mniej, mieszkających w dużych miastach, na tzw. prowincji i na wsi. Nie istnieje dychotomiczny podział na patrycjusz i plebejusz. Ludzie inaczej niż w Rzymie są równi według prawa i mają równe prawo głosu, niezależnie od dochodu czy poziomu wykształcenia. Tak samo liczy się głos „mędrca” i „głupka”, różnice w zasobach wiedzy są nieprzewycięzalną wadą demokracji.

W nie tak długiej historii demokracji zdarzają się, niestety, dość często sytuacje kryzysów ekonomicznych, powojennych traum, zmęczenia zastojem i wtedy dochodzi do głosu „zbójce” ugrupowania dążące do władzy absolutnej. Umożliwiają im to zdezorientowani, podatni na demagogię, bezkrytyczni wyborcy, którzy wierzą charzmatycznym przywódcom oraz



tradycyjnym instytucjom i „wartościom”. „Dla chwili obecnej charakterystyczne jest to – pisze Ortega y Gasset – że umysły przeciętne i banalne, wiedząc o swojej przeciętności i banalności, mają chęć domagać się prawa do bycia przeciętnymi, banalnymi i do narzucania tych cech wszystkim innym. (...) Masa miazdzy na swojej drodze wszystko to, co jest inne, indywidualne, szczególne i wybrane”.

Problemem jest nie „ludofobia”, tylko – przeciwnie – „elitofobia”, pogarda dla wykształcenia, kultury i zawodowych osiągnięć. Tę pogardę

przynależność i lojalność grupowa. Tego rodzaju awanse są charakterystyczne dla porewolucyjnej sytuacji braku lojalnych kadr, można to było obserwować m.in. w latach 50. W Polsce toczy się walkę z elitami, aby je zastąpić porewolucyjnymi fte-elitami. Przykładów nie brakuje: wójt zostaje szefem wielkiej korporacji, a premierem burmistrzini małej miejscowości. Premiuje się własnych artystów (Zenek), dziennikarzy, a niedługo pojawią się „profesorowie” z awansu. Następuje paretowska wymiana elit.

Przyczyną porażki Rafała Trzaskowskiego i wygranej Andrzeja Dudy była swoista apoteoza „przeciętności” i „banalności”, o których pisał hiszpański filozof. Rację ma Paweł Gieorgica, który, polemizując z Jarosławem Flisem, pisze: „Konflikt w Polsce ma charakter cywilizacyjny i fundamentalny (...). Nie ma, bo nie może być żadnego konsensusu wartości nie tylko z ideologią kaczynizmu, ale także z symetrykami, bo dotyczy on wartości podstawowych, fundamentów, na jakich opierać się będzie dalszy rozwój Polski. Mój

Tak samo liczy się głos „mędrca” i „głupka”, różnice w zasobach wiedzy są nieprzewycięzalną wadą demokracji.

upowszechnia i legitymizuje władza oraz część mediów. Ironiczne i pełne wzgardy uwagi o pochodzeniu Rafała Trzaskowskiego z artystycznej rodziny, znajomości kilku języków i międzynarodowej karierze świadczą o „wartościach” wyznawanych przez sporą część polskich obywateli, ugruntowanych w ostatnich 30 latach przez szkołę i Kościół. Przeciętny Polak nie ceni wykształcenia, które niestety za sprawą prywatnych szkół wyższych okazało się marne i słabo przydatne we współczesnym świecie. Obserwuje, że merytokratyczne zasługi są bez znaczenia, a liczą się znajomości,

wybór jest taki, że ma to być Polska świadomie obywatelska, oparta na wartościach wspólnoty europejskiej, otwarta na wiedzę, świat i ludzi. Ani nie jestem »ludofobem«, ani nie widzę potrzeby zmiany tego stanowiska i konieczności przymilania się populistycznemu motłochowi. Ja mam czas i poczekam”. Ja już czasu nie mam i nie doczekam Polski europejskiej. Niestety, kolejny „powrót” do Europy, o którym pisał Jerzy Jedlicki, znowu się nie udał, a już mieliśmy na to nadzieję.

Bohdan Jałowiecki jest socjologiem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Niedawno ukazał się „Osobisty przewodnik po Pradze” Mariusza Szczygła. Pan do tej książki zrobił zdjęcia, a dzięki temu jako pierwszy przemierzył miasto zgodnie ze wskazówkami autora. Czy to doświadczenie pozwoliło panu poznać Pragę na nowo?

– W Pradze wcześniej byłem dwukrotnie, wędrując ścieżkami turystycznymi. Książka zaś od takich typowych miejsc stroni. Wykonując swoją pracę, pokonywałem pieszo ponad 20 km dziennie, co pozwoliło mi w tym mieście pobyc. A jednak moje wyjazdy nie były zwiedzaniem czy próbą poznania miasta za pomocą zrobionych fotografii. Dostałem od Szczygła listę, a raczej cztery kolejne, bo ciągle wymyślał nowe miejsca, które w książce muszą się znaleźć. To ustawiało moją obecność w Pradze, wiedziałem, gdzie muszę dojść, więc nie miałem czasu na robienie przypadkowych zdjęć i dowiadywanie się z nich „swoich” rzeczy o mieście.

Miasto było wykadrowane przez Szczygła dla pana?

– Nie do końca. Dostałem listę i starałem się nie wchodzić w perspektywę pisarską Mariusza. Nie czytałem wcześniej większości jego tekstów do książki, bo nie chciałem popaść w ilustracyjność. Zakładałem, że ma to być twórcze zadanie i że jadę jako fotograf, który ma coś powiedzieć. Czasem prosiłem Szczygła, żeby mi wytłumaczył, dlaczego w dane miejsce idę, a czasem zupełnie tego nie chciałem, bo to tylko by mi zaburzyło widok, który sam chciałem zobaczyć.

A gdzie umiejscowiłby pan swój osobisty przewodnik?

– Zawsze uważałem, że najciekawszym regionem w Polsce jest Dolny Śląsk, a zwłaszcza Kotlina Jeleniogórska, ale teraz nie chciałbym tego przewodnika pisać. „Księga zachwyków” jest również rodzajem przewodnika, więc powiedzmy, że tę formę pisaną już zaliczyłem.

Jak planuje pan swoje wyjazdy i podróże?

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zwiedzałem coś jako turysta, zazwyczaj moje wyjazdy są związane z pracą, a wtedy podstawowym narzędziem jest dla mnie mapa Google’a.

Wszyscy siedzimy w architekturze

Cierpię w takich miejscach jak Zakopane, Szklarska Poręba czy Karpacz. Ale taki jest ten kraj. Jestem z tym pogodzony

W zakładce „moje mapy” mam ich kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt, i nanoszę na nie każdą inspirującą mnie informację zdobytą w czasie długiego researchu, tworząc kolejne warstwy, które później odhaczam. Mam do tego własny system. Jestem z Poznania, więc wszystko muszę mieć uporządkowane. Mapa pozwala mi odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd chcę pojechać – widzę, które istotne punkty leżą koło siebie, i nagle, patrząc na nie, uznaję, że dany region, miasto, dzielnica stają się dla mnie ważne, ciekawe. Mapa jest fundamentalnie ważna. Poza tym, zwłaszcza we wczesnej młodości, namiętnie korzystałem z takich

Piszę książki, żeby rozwiązywać sobie pewne problemy z przestrzenią.

starych, październowych przewodników wydawanych przez PTTK. Teraz robię to rzadziej, ale z nich nie zrezygnowałem, szczególnie że na Allegro można kupować tę serię po 30 gr za sztukę. Nawet teraz koło mnie leży przewodnik po szlaku im. Orłowicza.

Co daje spojrzenie na przestrzeń z perspektywy mapy?

– Porządkuje wiedzę. Jestem wzrokowcem i muszę mieć wszystko na obrazku. Kiedy piszę, też robię diagramy tekstów, mapy myśli i dopiero dzięki temu mogę okiełznać materiał. Mapa ma również taką cechę, że porządkuje przestrzeń samą w sobie i sprawia, że staje się idealna. Pozwala się skupić na tym, co istotne. Michał Książek mówi, że kartografia jest kolejną wielką dziedziną literatury, tak jak poezja, proza i dramat. Zgadza się z tym. Bywa i tak, że jak napatrzę się na mapę, a potem jadę w teren, to jestem rozczarowany, ponieważ wcześniej

wszystko wyglądało tak wspaniale. Punkty na mapie sprawiały, że tyle rzeczy można było sobie wyobrazić. A potem nic nie wygląda tak samo. W rzeczywistości pojawia się też dużo rozpraszaczy, np. ludzie, którzy bardzo utrudniają odczytywanie przestrzeni.

Na portalu Culture.pl jest taki pana opis: „Filip Springer, tłumacz architektury i kolekcjoner wizualnych absurdów”. Poczują się pan?

– Do pierwszego członu się poczuwam, do drugiego nie do końca. Chociaż od czasu do czasu dostaję od czytelników mejle albo wiadomości na Facebooku ze zdjęciem jakiegoś wyjątkowo brzydkiego miejsca, budynku, jakieś obranej budy na obrzeżu targowiska, z komentarzem: „Jak to zobaczyłem, to pomyślałem o panu”. I żałuję wtedy, że nie pisałem książek

o czymś przyjemnym, tylko o tym, że w Polsce nie jest najładniej. Nie powiedziałbym jednak, że takie widoki kolekcjonuję. Przestało mnie już nawet cieszyć fotografowanie tego i wrzucanie na Instagram.

Dlaczego?

– Piszę książki po to, żeby rozwiązywać sobie pewne problemy z przestrzenią. „Wanna z kolumnadą” była efektem mojego pogodzenia się z tym, jak Polska wygląda. Zresztą ta książka za chwilę zostanie wznowiona, a do wznowienia dopisałem prawie drugie tyle tekstu. Zrobiłem to, żeby uporządkować sobie temat i pójść dalej. Wiem oczywiście, że w Polsce bywa różnie z harmonią w przestrzeni, czasem jest trochę lepiej, czasem mocno gorzej. Cierpię w takich miejscach jak Zakopane, Szklarska Poręba czy Karpacz. Zwłaszcza latem – jak je widzę, to mam ochotę wydlubać sobie oczy. Ale taki jest ten kraj. Jestem z tym pogodzony.



FILIP SPRINGER

– pisarz, autor książek reporterskich, takich jak „Miedzianka. Historia znikania”, „Wanna z kolumnadą”, „13 pięter”, „Miasto Archipelag”, „Źle urodzone”.

W książkach opisuje pan często obiekty, które nie są standardowo ładne, ale dzięki idei, która za nimi stoi, oraz historii stają się interesujące.

– Szczerze mówiąc, bardzo nie lubię w architekturze tych kategorii: ładne i brzydkie, ponieważ ich stosowanie wyklucza szansę merytorycznej rozmowy. Jeśli pani powie, że jakiś budynek jest brzydki, a ja, że ładny, to każde z nas poczuje się dotknięte i nikt nikogo do swojej oceny nie przekona. Możemy zakończyć rozmowę i iść do domu. Ja natomiast staram się traktować architekturę i układy urbanistyczne, takie jak Przyczółek Grochowski w Warszawie czy Osiedle Słowackiego w Lublinie, jako coś, co może być pouczające. Modernizm, o którym dużo pisałem, jest ciekawy, dowiadujemy się z niego, jak architekci w określonych czasach próbowali zaspokoić trzy podstawowe potrzeby człowieka: słońca, zieleni i powietrza. Pouczające jest patrzeć na to, jaki wymyślili w tym celu zupełnie nowy sposób tworzenia architektury. I pouczająca jest nasza wiedza o tym, dlaczego to nie wyszło, czemu ta wielka idea sprowadzona do poziomu Corbusierowskiej maszyny do mieszkania nie jest tym, czego chcemy w miastach. Debatowanie o tym prowadzi mnie do refleksji na temat człowieka w przestrzeni i mieście oraz pozwala mi opisać swoje oczekiwania wobec władzy. Kiedy pisałem „Księżę

zachwyty”, również nie chodziło mi o to, że coś jest ładne, a coś brzydkie. Budynki, które opisywałem, miały ciekawą historię, z której płynęła nauka, pomagająca nam osadzić się głębiej w rzeczywistości i w przestrzeni, w której żyjemy.

W książce opisuje pan zarówno nagradzany budynek Filharmonii Szczecińskiej, jak i kontrowersyjny Falowiec. Oba robią wrażenie, ale zupełnie innego rodzaju.

– Bo zachwyty mogą być różne. Zdefiniowałbym je jako mocne

Architekturę należy poznawać czynnie. Tym, co decyduje o jakości budynku, jest doświadczenie użytkowe.

uczucia względem przestrzeni. W tym sensie można się zachwycać takimi obiektami jak Pałac Kultury, który ma totalitarną siłę oddziaływania. Trudno znaleźć w Polsce inny przykład tak silnego i despotycznego budynku. Budzi on zachwyt i podziw, tak jak widok budynku elektrociepłowni o zmroku, który jest bardzo spektakularny, chociaż ponury.

Co sprawia, że coś budzi pana zachwyt?

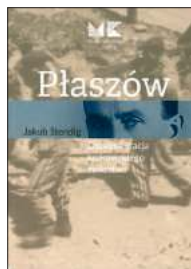
– Siła oddziaływania tego obiektu. To, jak względem niego się czuje – a potem swoje uczucia staram się rozbić na czynniki pierwsze i zobaczyć, jakimi środkami w tym budynku zostały osiągnięte. Dlaczego np. coś, co wygląda ciężko, nie sprawia,

że ciężko się przy tym czuje. Jest taki budynek z lat 60. Fundacji Galerii Foksal przy ulicy Górskiego w Warszawie, który w czasie modernizacji został obłożony przez szwajcarskich architektów bardzo ciężkimi w wyrazie betonowymi płytami. Mimo to ten budynek sprawia wrażenie niezwykle finezyjnego i wysmakowanego. Dzieje się tak dzięki drobnym detalom. Zauważenie tego sprawia, że czuje się poruszony przez architekturę. A czasem dzieje się tak przez rzeczy kompletnie niezwiązane z wizualnością. Przywykliśmy do architektury jako obrazu. A zdjęcia to nie wszystko. Jest taka biblioteka w Chinach, która bardzo często pojawia się w memach, na stronach poświęconych architekturze. Wizualnie jest spektakularna, ale nie ma tam książek. Regały tak cudownie rozkładające się po bryle to tylko fototapeta, sam budynek służy zaś głównie robieniu zdjęć na Instagram. Tymczasem architektura działa na nas nie tylko przez swój wygląd, ale i przez to, jak w niej pachnie, czy jest w niej zimno, czy ciepło, jak roznosi dźwięk. Juhani Pallasmaa w książce „Oczy skóry” pisze o tym w znakomity sposób. Opowiada o sytuacji, w której, będąc w jakimś domu, miał straszną ochotę polizać próg, bo tak pięknie wyglądał. A Peter Zumthor, laureat Nagrody Pritzкера, swoim pierwszym silnym przeżyciem architektonicznym nazywa polizanie kłamki w domu swojej ciotki, kiedy miał cztery lata.

Czyli, żeby poznać jakiś budynek, trzeba do niego wejść?

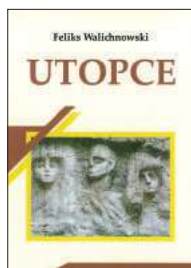
– Steen Eiler Rasmussen, autor książki „Odczuwanie architektury”, mówi, że architekturę należy poznawać czynnie, to znaczy, że stojąc obok budynku, nie można go w pełni ocenić. Tym, co decyduje o jego jakości, jest doświadczenie użytkowe. Architektura jest nie po to, żeby na nią patrzeć, ale żeby z niej korzystać. Ja siedzę w architekturze i pani siedzi w architekturze i niezależnie od tego, w co została opakowana na zewnątrz, o jej jakości świadczy to, jak nam się w niej siedzi.

Jest pan reporterem silnie kojarzonym z architekturą, tematami miejskimi. Mam jednak wrażenie, że obecnie



Jakub Stendig
Płaszów
Muzeum Krakowa,
Kraków 2020

Na spolszczoną wersję publikacji, która ukazała się w 1970 r. w Izraelu, składają się wspomnienia Jakuba Stendiga (1891-1952), w 1943 r. z żoną i córką osadzonego w KL Płaszów, a także wybrane przez niego relacje więźniów obozu. Wspomnienia, których lektura jest wyzwaniem nie tylko dla wrażliwego czytelnika, stanowią jedną z odsłon historii obozu, ale i opowieść o przedwojennym Krakowie oraz tworzących go ludziach.



Feliks Walichnowski
Utopce
Wydawnictwo Darczyńcy
Olsztyn 2020

Tytuł książki nawiązuje do wierszy słowiańskich, a zdaniem autora utopce to symbole wydarzeń w Okręgu Mazurskim, związanych z wojną i osadnictwem niemieckim. I jak zwykle tymi bliskimi swojemu sercu tematami zajmuje się Feliks Walichnowski.



Zbigniew Chojnowski
Aktorstwo
Z dziennika Wiktora Sulkowskiego
Olsztyn 2019

Wiktor Sulkowski to *alter ego* autora, profesora literaturoznawstwa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Potwierdzają to fakty biograficzne, w tym data urodzin czy udział w serialu „W słońcu i w deszczu”, w którym zagrał pochodzący ze wsi Chojnowski. W książce autor odkrywa wielkie marzenie – zostać aktorem! Sprawdza swój talent, recytując wiersze na szkolnych akademiach i grając w studium aktorskim, ale także chodząc do teatru i oglądając spektakle Teatru Telewizji. Dużo nad sobą pracuje, a po maturze próbuje się dostać do krakowskiej szkoły teatralnej. W rezerwie ma egzamin na filologię polską. Wiemy, w jakiej dziedzinie osiągnął sukces. Dziennik licealisty z epoki gierkowskiej to urocza lektura na czasy wojny polsko-polskiej.

(MK)

► interesuje pana przede wszystkim przyroda i klimat. Czy światy natury i kultury dla pana się wiążą?

– Zawsze traktowałem moją pracę pisarską jako formę reagowania na świat. Książka jest dla mnie efektem procesu poznawczego, a nawet jego skutkiem ubocznym. Pracując nad nią, chcę poznać odpowiedzi na pytania, które mnie nurtują. Przez wiele lat interesowało mnie, w jaki sposób oddziałuje na mnie przestrzeń. I czuję, że najważniejsze dla mnie odpowiedzi już poznałem, mogę sobie odpuścić. A od ogłoszenia raportu IPCC w 2018 r. sprawą, przez którą nie mogę spać w nocy, jest katastrofa klimatyczna. Próbowałem dowiedzieć się za pomocą pisania, co się dzieje, jak się dzieje i co będzie w przyszłości. Zrozumiałem wtedy, że są pewne granice, do których dotąd docierała literatura, a które teraz będzie musiała przekroczyć, żeby sobie poradzić z doświadczeniem katastrofy ekologicznej. Innymi słowy, literatura musi wymyślić się na nowo, o czym

na nią z perspektywy feministycznej, zauważając, w jaki sposób kwestia płci decyduje o tekście. A po drugie, idziemy za tym, co napisał Timothy Morton, że katastrofa ekologiczna to hiperobiekt, tak rozwinięty w czasie, przestrzeni i złożoności, że brakuje nam narzędzi do jego opisanie. Ekopoetyka jest więc szukaniem sposobów na prowadzenie opowieści, która m.in. nie będzie na pierwszym miejscu stawiała człowieka, ale uwzględni równość między wszystkimi mieszkańcami planety.

Czy zmienić się musi także reportaż?

– Jestem pewien, że reportażem nie da się opowiedzieć katastrofy ekologicznej. To niewykonalne. Zwłaszcza reportażem polskim, który od lat 90., kiedy to był w świetnej kondycji, postanowił się nie zmieniać. Dalej stosuje struktury narracyjne i formy opowiadania używane wtedy, czyli na początku transformacji. A w międzyczasie pojawiło się wszystko: internet, globalizacja, których reportaż zdaje się nie zauważać.

Medialna opowieść o ekologii jest tak płytka i naskórkowa, że równie dobrze mogłoby jej nie być.

mówiła w mowie noblowskiej Olga Tokarczuk. Po czasie doszedłem do wniosku, że właśnie w tej dziedzinie mam największą sprawczość – mogę mieć wpływ na to, jak tę katastrofę ekologiczną zacznie się opowiadać. Dlatego założyliśmy z Julią Fiedorczuk Szkołę Ekopoetyki przy Instytucie Reportażu. Moim zdaniem literatura jest na pierwszym froncie walki, ponieważ musimy wymarzyć sobie świat na nowo. Świat, w którym produkt krajowy brutto i ciągły wzrost nie są dogmatami. Slavoj Žižek mówi, że łatwiej wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu, więc żeby to wypowiedzieć, potrzebujemy literatury. Bo to, co zostaje dzięki niej nazwane, zaczyna funkcjonować w języku i może być powtórzone.

Zmiany w literaturze, o których pan mówi, są tematyczne czy formalne?

– Mówię o dwóch kwestiach. Po pierwsze, o wprowadzeniu perspektywy ekokrytycznej, czyli takiej, która stawia jako punkt odniesienia w refleksji nad literaturą relację człowieka ze środowiskiem naturalnym, przy wszystkich zastrzeżeniach, co ta relacja oznacza. Tak jak np. patrzy się

A co panu daje Szkoła Ekopoetyki? Jak wpływa na pana pisarstwo?

– Za wcześniej, żeby o tym mówić. Jesteśmy po dwóch zjazdach, czeka nas jeszcze siedem. Na razie doszedłem do przekonania, że trzymanie się jednego gatunku literackiego jest absolutnie bezcelowe. Formy raczej trzeba ze sobą mieszać i łączyć. Drugi zjazd zakończyliśmy także bardzo smutną refleksją o tym, że medialna opowieść o ekologii jest tak płytka i naskórkowa, że równie dobrze mogłoby jej nie być. W tym kontekście większego znaczenia nabiera literatura, którą sobie opowiadamy, a nie ta, którą czytamy, to znaczy bezpośrednie spotkanie z drugim człowiekiem. To jednak trudne rozpoznanie, bo jeśli piśnię książkę i sprzeda się ona w iluś tysiącach egzemplarzy, to pytanie brzmi: ile rozmów musiałbym odbyć, żeby mieć podobne przeżenie? Chociaż być może ich siła oddziaływania byłaby znacznie większa. Takie mam teraz wątpliwości, a w Szkole Ekopoetyki będziemy je tylko pomnażać. Nigdy jednak nie zakładałem, że wyjdę z niej z jakąkolwiek pewnością.

Katarzyna Niedurny

Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkała

Zła passa zaczęła się w klubokawiarni Mleczarnia. Jeszcze w południe dzień z wdziękiem usypiał naszą czujność. Śródziemnomorskie lato w Europie Środkowej, w dolnośląskim mieście, było co najmniej do zniesienia, kiedy siedzieliśmy w podwórku przy synagodze obstawieni kawami i innymi piciami, petami i smartfonami. Ze smartfonów odzywała się praca. Była jak dżin w butelce. Zamknięta i bezradna, ale wściekła, gotowa wykorzystać każdą sekundę naszej słabości. Za szybko smartfona ktoś stuknął palcem w blat, ktoś groził zerwaniem stosunków, inny obcinał pensję lub próbował szantażu. A my mieliśmy to w ciulu. Siedzieliśmy – i ciul. Wiedzieliśmy: czasem trzeba wyrwać kilka godzin światu, pójść w kawiarniany eskapizm. Zgubić kluczyki do aut. Miękkie kompetencje przekierować tu. Przy stoliku siedziało kilka osób: ruda z radia, warszawsko-wrocławski pisarz, który kiedyś kandydował na prezydenta, łysa śpiewaczka, fotograf kaplic i ja.

Czasy, kiedy byliśmy genialni, minęły wraz z latami 90. Ale raz na kilka miesięcy zdarzał się taki dzień jak ten: rzucaliśmy palindromami, łacińskimi powiedzonkami, kłóciliśmy się o przekłady i mieliśmy nadzieję, że słyszą

płowozłota broda, ogromne zielone jak morze oczy pod czarnymi brwiami, tubalny głos, przesadna gestykulacja i donośny śmiech sprawiały, że zdawał się młodym wozem Galów stającym do walki z Rzymianami”.

Przepraszam, że tak wymieniam, ale muszę rzecz uplastyczyć. Widzą Państwo tego półboga? Nie dość, że obdarzonego nieludzkim talentem, to jeszcze barczystego jak Platon? Ona zatem piękna i sławna, on zdolny i równie piękny – w tóżku „raczyli się rozkoszą”. Opowiadałam to niby przy stoliku, ale wiem: połowa Mleczarni nadstawia ucha. Jest naprawdę cicho i przez chwilę czuję się jak Krystian Lupa na próbie Krystiana Lupy. Świat wokół uległ hipnozie, wszyscy próbują ośwoić się jakoś z obrazem kopulującego Adonisa – pisarza, który jednym spojrzeniem każdą z nas mógłby zmienić w drzewko mirtowe. I wtedy siedzący obok kolega, fotograf kaplic, nieśmiało wtrącił coś, zerkając spod złotych okularów. „Flaubert piękny? Agnieszko...”. Przez chwilę trwałam w swojej czytelniczej pewności, ale on miał pewność fotografa i wpisał w Google Francuza – bardziej ufał zdjęciom. Pokazał nam dagerotyp, a na nim mistrz: z podwójnym podbródkiem, żałośnie wciśnięty

Fuckup, czyli co mi zrobił Flaubert

nas obie połowy kawiarnianego ogródka Mleczarni. Na wszelki wypadek raz na jakiś czas ktoś z nas wstawał i odgrywał scenkę, machał rękami, żeby udowodnić rację jakiegoś filozofa z XVI w. lub scenicznym szeptem zdradzał środowiskowe plotki.

Jakiś czas temu byłam u rudej w radiu. Polecałam książki na lato i – rzecz jasna – na czas pandemii. Zaplątała się tam jedna czy druga genialna książka, bez której świat, ma się rozumieć, rozpadłby się. A ta jedna, naprawdę szczególnie książka, to „Listy do Luizy” Gustave’a Flauberta w wyborze i przekładzie Ryszarda Engelkinga. Rzecz ta nie tylko jest wybitną literacką wyżerą, ale pozwala np. podglądać mistrza podczas pisania „Pani Bovary”. Kim była tytułowa Luiza, wyjaśnia tłumacz w przedmowie do wydania. Wiadomo o niej dość dużo, bo była muzą swojej epoki, pozowała rzeźbiarzom, była utrzymanką ambasadorów i miała wśród francuskich elit wielu popleczników i wielbicieli, którzy pomagali jej w życiu i literackiej karierze. Jedno jest pewne: była niewyobrażalnie piękna, a jej romans z Flaubertem miał nie tylko podłoże intelektualne (pisarz na bieżąco czytał krytycznie jej teksty), ale przede wszystkim cielesne. Poznali się w pracowni rzeźbiarza Pradiera i już nazajutrz zostali kochankami. Bardzo namiętnymi i witalnymi. „Odpowiadali sobie fizycznie i raczyli się rozkoszą”, napisał Engelking. Przytoczył zresztą młodzieńczy portret Flauberta napisany przez jednego z jego przyjaciół: „Jasna cera, lekko zaróżowione policzki, długie jedwabiste, puszczone luźno włosy, wysoka barczysta postać, bujna

we własny kołnierzyk, z kinolem czerwonym, z bojowo odstającymi włosami po obu stronach swojej cennej głowy. Z oczami wybałuszonymi tak bardzo, jakby mu ktoś... zresztą, co będę Państwu opowiadać, proszę sprawdzić.

Zamrugłam oczami, wyrwałam fotografowi kaplic telefon i zaczęłam pośpiesznie skrolować. Może złośliwie wybrał jakieś stare zdjęcie, może to był jakiś pijacki okres, jakiś zły moment – wszyscy takie mamy! Ale nie! Wszędzie podobne wersje mało szlachetnej podobizny. „Musiał być już stary!”, zamiast zmienić temat, brnęłam w nieznane. Ale on umarł, no cóż, umarł dość młodo.

Literacki romans, tak pieczołowicie przeze mnie zaprojektowany, zaczął się rozpadać na naszych oczach. Publiczność czekała w napięciu, kręciła młynki palcami. Och, ile bym dała, żeby być teraz tamtą dziewczyną przy wejściu, skromnie szepczącą nad zieloną herbatą, zostawiającą własne porażki dla siebie i przyjaciółki. Podczas gdy ja będę musiała się wyprowadzić. Moja wiarygodność spadła do zera i poczułam się jak kiedyś latem w Berlinie, kiedy głód wygonił mnie na ulicę. Znalazłam jedynie zapuszczzonego McDonalda – zamówiłam wrapa, dostałam coś zimnego, zalanego czosnkowym sosem. Zjadłam to na ławce, patrząc na kości, które ktoś (fan konkurencyjnego KFC?) rozrzucił wokół ławki. I podeszli do mnie polscy żule, którzy postanowili zrobić sobie wigilię. To jest właśnie *fuckup*, czyli – jak podaje bezlitosny słownik – „burdel, siara, prostactwo, rozpierdol”. Tak mi za uczucia odpłacił Flaubert.

FABUŁA

NA POWAŻNIE



7500

reż. Patrick Vollrath, prod. USA, Niemcy, Austria, Amazon Prime

Akcja „7500” rozgrywa się w przestworzach, ale film trzyma się blisko ziemi. Ograniczenie przestrzeni do kokpitu samolotu każe przypuszczać, że Amazon poskąpił kasy na produkcję. Mały budżet nie przełożył się jednak na niską jakość, bo reżysera Patricka Vollratha interesuje nie spektakularność ekstremalnej sytuacji, tylko psychologia doświadczających jej postaci. Lot na trasie Berlin-Paryż zamienia się w walkę o przetrwanie, gdy swoją tożsamość ujawniają trzej terroryści. Grożą, że jeśli kapitan Michael Lutzmann (Carlo Kitzlinger) i pierwszy oficer Tobias Ellis (powracający po przerwie do grania Joseph Gordon-Levitt) nie oddadzą im sterów, będą zabijać kolejnych pasażerów, wśród których – a jakże – jest partnerka Ellisa. Kontrolerzy lotów chcieliby widzieć w pilotach bohaterów wiernych protokołowi, w przeciwieństwie do zakładników, liczących, że obudzą się w nich ludzkie odruchy i zrobią wszystko, by ich ocalić. Oni sami chcieliby zaś po prostu móc spojrzeć sobie potem w oczy. Wrażenie, że kolejne decyzje podejmuje się w czasie rzeczywistym, daje nam (bolesną!) okazję doświadczenia ogromu odpowiedzialności pilota.

Artur Zaborski

SŁUŻĄCA CHCE BYĆ PANIĄ

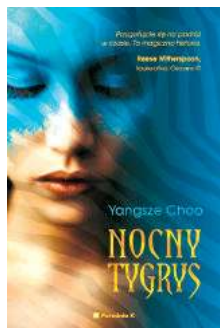
Walka płci, kuszenie ciałem, podstęp, wreszcie wymuszona zgoda na małżeństwo. Z perełki włoskiego baroku zapamiętamy najdłużej finał, gdy kochankowie słuchają bicia swoich serc. W „Weselu” Wyspiańskiego towarzyszą temu słowa „A to Polska właśnie”. W operze „Służąca panią” Pergolesiego para wyśpiewuje rytm „Tik-tak”, a skrzypce powtarzają stukanie delikatnymi uderzeniami w struny. Tej krótkiej, niespełna godzinnej opery słucha się z przyjemnością, a wzrok osób mniej wrażliwych na śpiew i granie zatrzymują akrobatyczne ewolucje trójki pomocników. To doskonała propozycja na wakacje, bo w zabytkowym Teatrze Stanisławowskim w Łazienkach komedia o przełamaniu barier społecznych jest całkiem na miejscu.

Bronisław Tumilowicz



Giovanni Battista Pergolesi, „La serva padrona”, kierownictwo muzyczne Krzysztof Garstka, reżyseria Jitka Stokalska, Polska Opera Królewska, premiera 4 lipca 2020

MIĘDZY OKŁADKAMI



Yangsze Choo
NOCNY TYGRYS

tłum. Agnieszka Walulik
Poradnia K, Warszawa 2020

Po czym poznać tygrołaka? Oczywiście natychmiast przejrzałam się w lustrze – przemiana mi raczej nie grozi. Wprowadzie wedle notki o azjatyckich wierzeniach i tradycjach zamieszczonej na końcu książki w południowych Chinach popularne są opowieści o kobietach, które ku przerażeniu mężów okazywały się tygrysami, ale wygląda to na męską przypadłość. I w tle tej historii mamy mężczyznę. Być może to tylko śmiertelnie chory człowiek, dręczony omamami, dla których pożywką stała się lokalna kultura, jednak autorka umiejętnie zasiewa wątpliwości. Przyprawia tajemniczością i mistycyzmem barwny opis kolonialnej przeszłości Azji Południowo-Wschodniej. Lata 30. XX w., Malaje, młodziutki służący angielskiego lekarza zostaje obarczony misją zadbania o spokój duszy swojego pana. Sojusznikzkę niespodziewanie znajdzie w marzącej o kształceniu się i usamodzielnieniu dziewczynie, a zadanie okaże się bardzo niebezpieczne. Za to z łatwością ta dwójka podbije serce czytelnika.

Aleksandra Pańko

Krzysztof Domaradzki
SPRZEDAWCA

Czarna Owca, Warszawa 2020

Świat warszawskich elit finansowych, wielkiego biznesu i chorych ambicji to tło najnowszego kryminału Krzysztofa Domaradzkiego. Po dobrze przyjętej trylogii łódzkiej („Detoks”, „Trans” i „Reset”) autor wziął się do opisywania rzeczywistości, którą zna bardzo dobrze – w końcu jest dziennikarzem biznesowym. Widać, że to doświadczenie mu służy.

„Sprzedawcy” nie można nazwać typowym kryminałem. Nie wątki kryminalne ani fabularne zagadki są tutaj najważniejsze. Szata gatunkowa stanowi tylko pretekst do opowieści o wynaturzonej stronie dużego polskiego biznesu. Pokazuje przykre konsekwencje przerośniętego *ego* oraz braku etyki w biznesie i życiu. To zaskakująca i niezwykle świeża pozycja na rynku wydawniczym i dowód, że Domaradzki to autor, który może zaskakiwać.

Rafał Piłkuła



ZAJRZYJ TU

Urszula Broll ATMAN ZNACZY ODDECH

Retrospektywa malarstwa Urszuli Broll (1930-2020) w warszawskiej Królikarni to opowieść o życiu i twórczości niezwyklej, niesłusznie zapomnianej artystki, która miała bezpośredni



udział w kształtowaniu powojennej awangardy na Górnym Śląsku. Kontemplacyjna twórczość Broll zmierzała przez dekady w kierunku, który artystka nazwała „sztuka jako joga”. W latach 80. malarka zamieszkała w Karkonoszach. Swoje pejzaże gór nazywała stanami emocjonalnymi. W spokoju i ciszy oddawała się medytacjom i tam odnalazła równowagę duchową. Wystawa wzbudza tęsknotę za naturą i metafizyką. Jej

inicjatorem i partnerem jest Fundacja Katarzyny Kozyry, która wspiera aktywność kobiet w kulturze, koordynatorką zaś jest Janina Hobbarska, a kuratorką Katarzyna Kucharska. Urszula Broll odkrywała mistykę Indii, taoizm, filozofię zen i tantrę.

WARSZAWA, MUZEUM RZEŻBY IM. XAWEREGO DUNIKOWSKIEGO W KRÓLIKARNI, DO 27 WRZEŚNIA

(bdo)

SERIAL



TAK CZY OWAK

Hache i Belén po latach spotykają się w Madrycie i postanawiają zamieszkać w hipsterskiej dzielnicy Malasaña. Dziewczyny pochodzą z miasteczka Parla. To obrzeża stolicy, a jednak prowincja, więc te dwa światy dzieli przepaść, a życie w Madrycie okaże się prawdziwą szkołą przetrwania. „Ten szok kulturowy staje się kluczem do nakreślenia szerokiego portretu naszej rzeczywistości i jednocześnie absurdu towarzyszącego nowej erze, w której żyjemy”, mówi Manuela Burló Moreno, autorka scenariusza i reżyserka dziesięciocinkowego serialu.

HBO GO, OD 8 SIERPNI, HBO OD 10 SIERPNI, GODZ. 21.40

(ag)

FESTIWAL



26. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE EABS – Slavic Spirits

Wrocławska supergrupa EABS (Electro-Acoustic Beat Sessions) to najlepszy zespół elektryczny w Polsce w ankiecie Jazz Top 2019. Jej album „Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)” okazał się sensacją polskiej sceny jazzowej. W najnowszym projekcie, „Slavic Spirits”, muzycy odwołali się natomiast do mitologii słowiańskiej i polskiej demonologii, jednocześnie zastanawiając się nad kondycją duchową Polaków. Główną inspiracją dla tej płyty jest zaś „słowiańska melancholia”. To próba kontaktu ze światem brutalnie i bezpowrotnie utraconej kultury, która z powodu niedostatku źródeł nie zostanie nigdy dokładnie zbadana.

**WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA,
8 SIERPNI, GODZ. 19**

(ap)

3. OCTOPUS FILM FESTIVAL

Na sześć dni Stocznia Gdańska i tereny AmberExpo zamieniają się w wielkie kino, w którym nie zobaczymy jednak hitów Cannes, Wenecji czy Sundance. Przeciwnie – na Pomorze trafią te dokonania, dla których na prestiżowych imprezach kina artystycznego nie ma miejsca. Ośmiornica swoimi mackami wyłapuje kino gatunkowe w najróżniejszych odstonach. Na otwarcie „Niedosyt”, debiut Carla Mirabelli-Davisa, czyli niezwykle połączenie dramatu społecznego i body horroru, w którym nawiązania do „Dziecka Rosemary” są paliwem dla historii emancypacyjnej. Co poza tym? „Kolor z przestworzy” z Nicholasem Cage’em o tajemniczej substancji, która zamienia życie rodziny z klasy średniej w koszmar, czy kultowy horror „Blair Witch Project”, który przypomni nam, dlaczego strach ma wielkie oczy. Pozycja obowiązkowa to „Komando” z Arnoldem Schwarzeneggerem, którego dialogi na żywo przeczyta Piotr Cyruś, posiadacz jednego z najbardziej rozpoznawanych głosów w nadwiślańskiej telewizji.

GDAŃSK, 4-9 SIERPNI

(az)





Papuga już nie egzotyczna

Tych kolorowych ptaków jest wokół nas coraz więcej, a to niekoniecznie dla nich dobre

Mateusz Mazzini

W kulturze popularnej ich wizerunek sprowadza się do kolorowego ptaka o zakrzywionym dziobie i zdolności powtarzania po ludziach krótkich fraz. Do tego nieco rozmierzwię na czubku głowy pióra oraz trochę nerwowe i nadpobudliwe usposobienie. Stereotypowo papugi są przywiązane do właścicieli, często dość ekscentrycznych – ze szczególnym uwzględnieniem piratów.

Przez dekady papuga była więc synonimem egzotyki, tropikalnych klimatów i bujności fauny Karaibów, Ameryki Południowej, Afryki czy Australii. Dziś, za sprawą globalizacji, ale też niestety coraz powszechniejszego przemytu zwierząt z krajów dawnego Trzeciego Świata, ptaki te stały się praktycznie ogólnosiwiatowymi zwierzętami domowymi. Pod względem dostępności, kultury stworzonej przez ich

posiadaczy i całej komercyjnej infrastruktury – klinik weterynaryjnych, sklepów czy produktów do pielęgnacji – niewiele się różnią od psów, kotów czy chomików. Niestety, nie zawsze idzie to w parze z dobrem zwierzęcia. Zwłaszcza że papugi to niezwykle różnorodność gatunków, odmiennych nie tylko pod względem upierzenia, ale również zachowania i potrzeb. Nie każda w takim

zakrzywiony dziób i nogi o czterech palcach – dwóch skierowanych do przodu, dwóch do tyłu. Poszczególne gatunki papug więcej jednak dzieli, niż łączy, przynajmniej dla laika. Różni się prawie wszystkim, od rozmiaru po wygląd, kształt i kolor piór. Najmniejsze niemal mieszczą się w dłoni, bo nie przekraczają 7-8 cm wysokości. Największe osobniki osiągają nawet 100 cm i ważą 2-3 kg.

W Wielkiej Brytanii na wolności żyje nawet 20 tys. papug.

samym stopniu nadaje się do trzymania w domu, nie każda tak samo dobrze znosi zamknięcie. I, co chyba najważniejsze, nie każdą w ogóle wolno trzymać w domu.

Oficjalnie udokumentowano istnienie już ponad 350 gatunków papug. Aby ptak wszedł do tego grona, musi mieć kilka ważnych, aczkolwiek dość luźno zdefiniowanych cech. Należą do nich wspomniane

Światowym rekordzistą jest pod tym względem kakapo – endemiczny gatunek papugi z Nowej Zelandii, o zielonym upierzeniu i bardzo dużej jak na tego ptaka głowie. Waga dorosłych samców dochodzi do 4 kg.

Papugi kojarzone są głównie z ciepłymi klimatami i niskimi szerokościami geograficznymi. Jednak, jak się okazuje, i to jest sporym uproszczeniem. Istnieją papugi, jak

wspomniane kakapo, ale też meksykańska kasztanowoczelna, które bardzo dobrze czują się w znacznie niższych temperaturach. Ta pierwsza bez większego problemu funkcjonuje, gdy na dworze jest tylko 5-6 st. C, druga zaś potrafi migrować wysoko w góry i żyć nawet na terenach pokrytych śniegiem.

Żeby jednak zobaczyć papugi na wolności, nie trzeba jechać do Ameryki Południowej, Afryki Subsaharyjskiej czy Nowej Zelandii. Wystarczy wycieczka do Berlina, Brukseli, Londynu, a coraz częściej do Warszawy, Poznania czy Krakowa. Wszystko za sprawą aleksandretty obrożnej, papugi, która żyje i doskonale sobie

do warunków, w których przyszło im funkcjonować. Krótko mówiąc, jedyny klimat, który ma dla papugi jakiegokolwiek znaczenie, to ten, w którym aktualnie musi żyć, a nie ten, z którego się wywodzi. Uciekające od właścicieli lub celowo przez nich uwalniane, zgubione w transporcie czy wypuszczone w ramach eksperymentów, tworzą więc coraz liczniejsze kolonie w miastach, ucząc się – i ucząc ludzi – współistnienia na ich obszarach.

Nie wszystkie papugi przechodzą jednak tak gładko przez proces oderwania od ich pierwotnego środowiska. Gatunki rzadsze, mniej udomowione od aleksandretty,

gabarytach czy szczególnym przeznaczeniu: sprzęt muzyczny i sportowy, małe meble, a nawet trumny. Tego typu bagaże nieraz przechodzą mniej rygorystyczne kontrole, również z braku odpowiedniego sprzętu, zwłaszcza na prowincjonalnych lotniskach w mniej zamożnych krajach, takich jak Indie, Pakistan czy Kolumbia. Dzięki temu stanowią doskonały sposób transportu egzotycznych zwierząt. Ogłuszone, nafaszerowane lekami uspokajającymi, nieprzytomne, pokonują w lukach bagażowych dziesiątki tysięcy kilometrów, żeby zaspokoić ambicje prywatnych kolekcjonerów. Jak pokazują dane USAID, amerykańskiej federalnej agencji ds. rozwoju, aż 43% wszystkich nielegalnie przemycających zwierząt na świecie, w tym zdecydowana większość szmuglowanych egzotycznych papug, odbywa podróż właśnie w luku bagażowym samolotu.

Jeśli ptaki mają więcej szczęścia, przetrzucane są do innych krajów w klatkach na łodziach czy kutrach rybackich. W takich przypadkach często jednak dochodzi do tragedii, jeśli przemytnicy trafią na patrol straży przybrzeżnej. Jak donosi portal InSight Crime, szczególnie często zdarza się to na Karaibach. Wtedy szmuglerzy najzwyczajniej w świecie pozbywają się ptaków, wyrzucając je za burtę i skazując na śmierć. Tak się stało na początku lipca tego roku, kiedy utonęło 47 ptaków – w tym amazonki modrobrewa – nielegalnie przetrzucanych z Wenezueli na Trynidad i Tobago.

Jedyny klimat, który ma dla papugi znaczenie, to ten, w którym aktualnie musi żyć.

radzi w dużych europejskich miastach. Jak informowała trzy lata temu „Polityka”, w Polsce już wtedy odnotowano ok. 70 ptaków żyjących na wolności. To i tak nikła liczba w porównaniu z Niemcami czy Holandią, gdzie żyje ich ok. 6 tys., Belgią z 10 tys. sztuk czy Wielką Brytanią, gdzie ich liczebność szacuje się nawet na 20 tys. osobników. Ta ostatnia liczba nie powinna zresztą szokować nikogo, kto chociaż raz przechadzał się po którymkolwiek z londyńskich parków. Aleksandrett jest tam tyle, że stały się elementem krajobrazu co bardziej zielonych osiedli i dzielnic stolicy Wielkiej Brytanii, z Chelsea, Hampstead czy South Kensington na czele.

Stary Kontynent nie jest oczywiście ich naturalnym siedliskiem. Pochodzą z subkontynentu indyjskiego, występują też w niektórych krajach Afryki Subsaharyjskiej. Do Europy trafiały najpierw jako podarunki dla władz kolonialnych imperiów, potem jako pamiątki z zagranicznych wojaży turystycznych. Bardzo długo bowiem, w wielu miejscach nawet do lat 90., nie istniały żadne regulacje prawne dotyczące pozwoleń na ich zakup w krajach pochodzenia i przewożenia za granicę. Z czasem aleksandretty zaczęły żyć w nowych krajach własnym życiem, zwłaszcza kolejne pokolenia, urodzone już poza tropikami. A to dlatego, że jak wiele innych gatunków papug mają one dużą zdolność przystosowywania się

choćby bardzo do nich podobne amazonki modrobrewa, niewolę i przede wszystkim inny klimat znoszą znacznie gorzej. Niestety, są też częstym łupem przemytników. Przyczynia się do tego ich popularność na całym świecie, zwłaszcza w południowych stanach USA i w krajach Europy Zachodniej, ale także coraz gorsza sytuacja ekonomiczna w krajach, w których występują naturalnie. Sporo egzotycznych, rzadszych gatunków papug żyje w Wenezueli, Kolumbii, Gujanie i na archipelagach karaibskich. Państwa te nie mają odpowiednich zasobów ludzkich ani finansowych, by skutecznie walczyć z przemytem zwierząt tropikalnych. Poza tym ich służby celne

Najmniejsze papugi nie przekraczają 7-8 cm wysokości. Największe osobniki osiągają nawet 100 cm i ważą 2-3 kg.

nastawione są w dużo większym stopniu na wykrywanie narkotyków, w ten obszar inwestuje się najwięcej i wykorzystuje najbardziej zaawansowane technologie. Reszta – egzotyczne zwierzęta, rośliny, dobra luksusowe – bardzo często zwyczajnie przecieka celnikom przez palce.

W Ameryce Południowej czy Indiach szczególnie popularny jest zwłaszcza jeden sposób przemytu zwierząt – przy użyciu niestandardowego bagażu. Prawie na każdym lotnisku znajduje się punkt, w którym podróżni nadają walizki o dziwnych

Do coraz powszechniejszej obecności papug wokół nas musimy się przyzwyczajać, nie tylko z powodu przemytników i globalizacji. Wpływ na to ma również ocieplenie klimatu, pozwalające im osiedlać się w miejscach dawniej niedostępnych z powodu złych warunków. Może w takim razie dobrze, że – przynajmniej do pewnego stopnia – nauczyliśmy papugi mówić ludzkim głosem. Nie pozostaje nam bowiem nic innego, niż zacząć się z nimi dogadywać, jak przystało na dobrych sąsiadów.

Świat bez zapachów

To zaburzenie, upośledzenie, którego nikt nie traktuje poważnie. Co to znaczy, że nie masz węchu? Grupy inwalidzkiej na to nie dostaniesz



Anna Książek

Bartek (Toruń, 25 lat, podcaster) nigdy nie czuł zapachów.

Ola (Warszawa, 40 lat, dziennikarka) straciła węch trzy lata temu po przewlekłym zapaleniu zatok.

Karolina (Łódź, 37 lat, właścicielka firmy) nigdy nie czuła zapachów.

Agnieszka (Kraków, 31 lat, praca w korporacji,) straciła węch pięć lat temu.

Czarek (Częstochowa, 29 lat, inżynier) nigdy nie czuł zapachów.

Piotr (Kraków, 57 lat, nauczyciel) stracił węch między 20. a 30. rokiem życia, sam nie jest pewien dlaczego.

Magdalena (Poznań, 30 lat, psycholożka) nie ma pamięci zapachów. Może nie czuje od urodzenia, może to skutek niewielkiego wypadku samochodowego, gdy miała trzy lata.

Sławek (Tarnów, 36 lat, informatyk) pamięta zapach rogalików i koszonej trawy, choć nie jest pewien, czy to nie wytwór jego wyobraźni.

Wikipedia: Ludzie, u których anosmia pojawiła się nagle, mogą uważać jedzenie za mniej apetyczne, chociaż osoby, które nie czują zapachów od urodzenia, rzadko na to narzekają i nie stwierdzają utraty wagi*.

Magdalena: Jem tylko wtedy, kiedy jestem głodna. Ludzie, którzy czują zapachy, mówią: zjadłbym to. Nie mam czegoś takiego. Choć dbam o to, by jedzenie było estetyczne. Jem bardziej wzrokiem, więc musi

mi się podobać. Przez chwilę pracowałam nawet w restauracji, robiłam sałatki, bardzo to lubię i nie przeszkadza mi, że nie czuję.

Czarek: Dla mnie gotowanie to czarna magia, ale jakoś sobie radzę. Wrzucam przyprawy, jak leci, żonie na ogół smakuje. Czuję smak, choć często odróżniam rzeczy raczej po strukturze, np. bierziesz owoc i czujesz, że jest twardy lub miękki, rozpytywa się w ustach lub jest gąbczasty. Mogę nie odróżnić dwóch owoców o podobnej strukturze, ale banana od arbuza owszem.

Piotr: Smak potrawy składa się z trzech rzeczy: konsystencja, smak, czyli gorzki, kwaśny, słodki, słony, i aromaty. Aromaty są związane z nosem. Jestem więc w stanie odróżnić słodki od gorzkiego, ale kawę od herbaty już niespecjalnie.

Sławek: Cała ta akcja z herbatami, że zamiast minutki ludzie kupują wyszukane, eukaliptusy, zielone z kawałkami dzikich owoców, to dla mnie przerost formy nad treścią. Dla mnie herbata to jest coś, co ma brązowy kolor, gorzkawy smak – i nie ma nad czym się zastanawiać.

Piotr: Za to moim motorem do walki o węch stała się whisky. Dwa lata temu przyjaciel miał okrągłą rocznicę urodzin, w dodatku spodził potomka, więc pojechałem do niego, żeby mu pogratulować, i kupiłem dobrą whisky, a wraz z nią, jako element dodatkowy, kawałek ziemi w Szkocji. Miałem wtedy chwilowy powrót węchu i absolutnie zakochałem się

w mocnej, dymnej whisky. W tej chwili nadal ją kupuję i piję, choć nie jestem w stanie poczuć jej smaku, ale pamięć w pewien sposób go odtwarza. Na 60. urodziny zażyczyłem sobie wyjazd do Szkocji, do destylarni tej mojej whisky. Jako właściciele kawałka ziemi mamy prawo do dywidendy w postaci szklaneczki napoju. Byłoby bardzo niedobrze, gdybym nie był w stanie poczuć smaku. To taka rzecz, która mnie zmusza, żeby spróbować, chociaż polska służba zdrowia robi wszystko, żeby się nie udało.

Wikipedia: Powszechne postrzeganie anosmii jako trywialnego zaburzenia może utrudnić pacjentowi uzyskanie odpowiedniej pomocy medycznej, analogicznej do pomocy, jaką otrzyma osoba, która straciła inny zmysł, np. słuch czy wzrok.

Magdalena: Kiedyś w ośrodku medycznym w Poznaniu chciałam dokładnie się przebadać, żeby dowiedzieć się, skąd u mnie brak węchu. Ale w szpitalu powiedzieli: nie czuje pani, aha. I żadnego sensownego badania nie zrobili. Strasznie się zniechęciłam. Jedyne, co sugerowali, to operacja mózgu, która sama w sobie jest niebezpieczna i nie wiadomo nawet, czy pomoże. Lekarze mają słabą wiedzę na ten temat.

Agnieszka: Byłam u jakichś dziecięcych laryngologów, dostawałam tysiąc różnych środków przeciwalergicznych, ale do tej pory węchu nie odzyskałam. W międzyczasie miałam robioną tomografię zatok, rezonans

głowy, niczego nie wykryto, więc czuję pewną bezsilność, nie wiem, czy coś z tego będzie. Ostatni laryngolog powiedział, że coraz więcej osób zgłasza się z takim problemem i on nie wie, o co chodzi. Ale jeśli węch nie powrócił w ciągu pierwszego pół roku, to małe są szanse na jego odzyskanie.

Piotr: Pamiętam moje pierwsze podejścia do laryngologów i wieloletnie kolejki. Skierowanie na tomografię zatok mam od bardzo dawna i nie udaje mi się tego zrobić, bo jak mam stanąć w tej kolejce i się umówić... koszmar. To jest takie zaburzenie, upośledzenie, którego nikt nie traktuje poważnie. Co to znaczy, że nie masz węchu? Grupy inwalidzkiej na to nie dostaniesz.

Karolina: Nigdy nie czułam się niepełnosprawna, choć mój partner w pewien sposób tak mnie postrzega. To prawda, brakuje mi jednego ze zmysłów, ale ponieważ nigdy go nie miałam, nie odczuwam tego jako straty.

Agnieszka: Nie nazwałabym tego niepełnosprawnością, raczej pewną dysfunkcją. To jakby powiedzieć osobie nieempatycznej, że jest niepełnosprawna. Mnie niepełnosprawność kojarzy się z niesamodzielnością albo

dwie godziny, żeby to znaleźć, i okazało się, że ziemniaki się zepsuły, już w tej siatce pływały. Jak poruszył siatką, zadziało na jego zmysły tak, że musiał skoczyć do łazienki. Ja wciągnąłem głęboko powietrze nosem, poczułem lekki dyskomfort.

Bartek: Mam taki żart wśród znajomych, że najpewniej zginę zaczadzony. Kilkakrotnie zdarzyło mi się zapomnieć, że coś piekę. Orientuję się, dopiero gdy zaczynam widzieć dym, bo go nie wyczuję. To

Jem tylko wtedy, kiedy jestem głodna. Ludzie, którzy czują zapachy, mówią: zjadłbym to. Nie mam czegoś takiego.

przerazające momenty. Zastanawiam się nad kupieniem kilku czujników, nie tylko dymu, ale też gazu.

Magdalena: Kiedyś pracowałam w firmie, gdzie był kominek. Coś z niego wypadło i zaczęło się strasznie dymić, ja siedziałam przy komputerze i niczego nie zauważyłam.

Sławek: Raz, gdy miałem 12 lat, rodzice wyszli z domu, zostawiając na ogniu w garnku płatki róży na powidła. Albo zapomnieli mi powiedzieć, albo powiedzieli, ale nie zadowoląłem. Niedzielne popołudnie,

W pewnym momencie zapytałam, skąd to wie. – A ty nie czujesz? – odpowiedziała. – Nie czujesz, jak pachną pączki? Wtedy zorientowałam się, że istnieje coś takiego jak zapach.

Bartek: Zorientowałem się, jak miałem 12-13 lat. Zdarzało się, że mój pies zostawił niespodziankę w domu i wszyscy reagowali na to z obrzydzeniem. A ja tego nie czułem, ale stwierdzałem, że może zapach nie jest dla mnie wystarczająco silny – albo wszyscy przesadzają.

Czarek: Zacząłem się zajmować tematem dopiero na studiach, próbowałem różnych badań. Moim rodzicom nigdy to nie przyszło do głowy. Cały czas myśleli, że ściemniam. Dopiero gdy trzy albo cztery lata temu zrobiłem im awanturę, żeby już nie dawali mi rzeczy do wąchania, zrozumieli.

Karolina: Odkryłam brak węchu bardzo późno, miałam ze 20 lat. Zrobiło się głośno o książce „Pachnidło”. Po przeczytaniu zaczęło mi świtać, że chyba coś jest nie tak. Kiedy powiedziałam mamie, że nie czuję zapachów, nie chciała mi wierzyć. A potem zaczęła szukać informacji w internecie i pewnego dnia przyszła, by powiedzieć, że wśród osób, które tracą zmysły, najwięcej samobójstw jest wśród tych, którzy stracili węch.

Wikipedia: Strata pamięci zapachów (np. zapachu trawy, strychu dziadków, konkretnej książki, bliskich lub samego siebie) może powodować depresję.

Ola: Strata węchu jest dla mnie traumatyczna. Miałam bardzo dobrą pamięć zapachową, wszystkie wspomnienia kojarzyłam z zapachami. Tracąc węch, straciłam część kontaktu z rzeczywistością. Jestem oddalona od tego, co na zewnątrz, od tego, co wewnątrz. Jakbym doświadczała świata zza brudnej szyby.

Bartek: Myślę, że coś z tymi wspomnieniami jest na rzeczy. Pamięć osoby, która nie ma węchu, może być ograniczona. Mam kilka wspomnień z dzieciństwa związanych z zapachem, ale od kiedy zapach zniknął, dużo mniej mam wspomnień znaczących.

Laryngolog powiedział, że coraz więcej osób zgłasza się z takim problemem i on nie wie, o co chodzi.

ze sporym ograniczeniem. A ja nie mam poczucia, że brak węchu mocno mnie w coś ogranicza.

Wikipedia: Utrata węchu może być niebezpieczna, ponieważ utrudnia wykrywanie wycieków gazu, ognia i zepsutego jedzenia.

Agnieszka: Zepsute jedzenie to rzeczywiście kłopot. Jeżeli mam jakiegokolwiek wątpliwości, nie ryzykuję. Nie sprawdzam smakiem, bo nie chcę się zatruć czy poczuć czegoś nieprzyjemnego w ustach.

Sławek: Nie ogarnę, że coś jest przykiszzone po niuchnięciu, muszę wziąć gryza, choć niestety zdarza się, że biorę jakieś zgnilki do ust, a potem je wypływam.

Czarek: Mieszkałem kiedyś w akademiku z kumplem, który czuje zapachy. Przez dwa-trzy tygodnie chodził i mówił: Czarek, coś tu śmierdzi. Ale nie mógł znaleźć co i tak minął miesiąc, może dwa. W końcu poświęcił

zacząłem oglądać filmy, siedziałem tak od godz. 16 do 21. Nie zaglądałem do kuchni, więc możesz sobie wyobrazić, co zastałem, kiedy poszedłem przygotować kolację. Cała kuchnia była w dymie. Jak matka wróciła, zaczęły się rozmowy, czy tego nie czułem. Mówię, że nie, niczego nie czułem.

Wikipedia: Często ludzie, którzy mają wrodzoną anosmię, twierdzą, że udawali jako dzieci, że czują zapachy, ponieważ myśleli, że węch to coś, co zyskuje się z wiekiem, albo nie rozumieli pojęcia węchu, ale nie chcieli się wyróżniać. Kiedy dzieci dorastają, zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że nie czują zapachu, i mówią o tym rodzicom. Ci są często zaskoczeni.

Magdalena: Miałam osiem lat, kiedy odkryłam, że nie czuję zapachów. Moja siostra wracała ze szkoły i mówiła: o, dzisiaj mama zrobiła naleśniki. Albo: o, mama zrobiła pączki.

► **Karolina:** Pamięć mam akurat świetną, ale faktycznie, nie jestem nostalgiczną osobą. Nie żyję wspomnieniami, przeszłość nie ma dla mnie większego znaczenia. Ale nie powiedziałabym, że brak węchu wpływa na moje samopoczucie. Niektóre rzeczy są trudniejsze, ale nie odczuwam straty, choć wydaje mi się, że to głównie dlatego, że nigdy nie czułam zapachów. Kiedy rozmawiam z ludźmi,

Bartek: Jest jeszcze kwestia feromonów. Ale te generalnie wyczuwamy nieświadomie. Kto wie, może mają na mnie wpływ i sam o tym nie wiem?

Sławek: Są też dobre strony. Jak komuś bardzo dzwoni spod skrzydła, to tego nie ogarnę, dlatego jestem świetnym partnerem na wyjazdy, na których z higieną może być ciężko. Jedziemy w góry, siedzimy przez

w pewien sposób lepiej zrozumieć trudności pacjentów, szczególnie niepełnosprawnych.

Czarek: Klasyczny przykład – łatwiej mi jeździć tramwajami, autobusami. Ale nie przeceńałbym tego. To tak jakby woleć być osobą niewidomą, bo czasami widzisz brud lub miejsce wypadku, gdzie leży rozrzucony człowiek. To nie jest powód, by pozbyć się wzroku.

Karolina: Gdybym mogła odzyskać węch? Chyba chciałabym spróbować. Choć trudno mi wyobrazić sobie świat zapachów. Na razie wystarczyłoby mi, gdyby anosmia była lepiej rozpoznawalna, poważniej traktowana, zarówno w środowisku medycznym, jak i po prostu w społeczeństwie.

Anna Książek

Zepsute jedzenie to rzeczywiście kłopot. Jeżeli mam wątpliwości, nie ryzykuję. Nie sprawdzam smakiem.

często rozczulają się nade mną, mówiąc: och, więc nie czujesz tego, nie doświadczasz tamtego. A ja zwyczajnie nie wiem, co tracę, więc nie powoduje to żadnej depresji. Czasem tylko zatrzymują mnie komentarze typu: nie czujesz zapachu bliskiej ci osoby.

Piotr: Brak czucia zapachu wpływa na życie osobiste, intymne. Zapach partnera w seksie to fajna rzecz, a tego nie mam. Bliskość jest bardzo mocno związana z zapachem.

dwa-trzy dni, człowiek się wspina i trochę zmęczy, mnie to nie przeszkadza, nic nie czuję. Dalej, tzw. brudna robota. Pomagałem kiedyś w schronisku dla zwierząt i bez problemu mogłem sprzątać boksy, moi koledzy szybko robili się zieloni i mówili, że więcej nie wytrzymają.

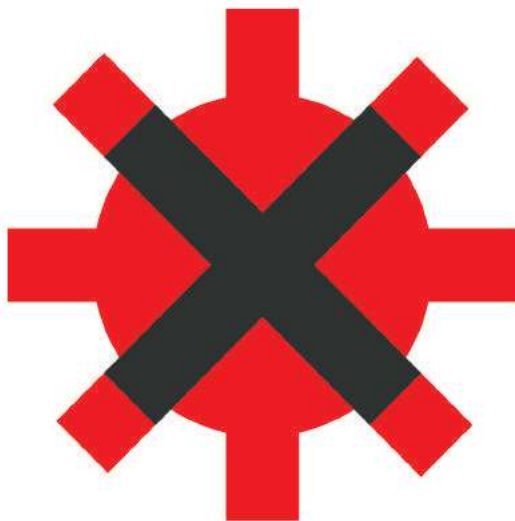
Piotr: Nie mam problemu z przewijaniem niemowląt.

Magdalena: Pracuję jako psychoterapeutka. Brak węchu pozwala mi

* Wszystkie cytaty pochodzą z angielskiej wersji Wikipedii (en.wikipedia.org/wiki/Anosmia) i przetłumaczone zostały przez autorkę tekstu. Polska wersja Wikipedii takich informacji nie podaje.



WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL



RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK 16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

MSZ i jego sukcesy

Zeby nie było, że nie widzimy sukcesów MSZ. Widzimy, widzimy! I to nawet takie, których samo MSZ (to oficjalne) nie chce dostrzec.

Otóż w ostatnich tygodniach nasza dyplomacja mogła się pochwalić dwoma osiągnięciami – udało nam się przeforsować polskich kandydatów na dość ważne stanowiska w organizacjach międzynarodowych. Ale, co ciekawe, jeden z tych sukcesów jest mniejszej wagi, drugi bez porównania większej, lecz nasze MSZ chwali się sukcesem pierwszym, a drugiego jakby nie widziało.

Zacznijmy więc od pierwszego – Grzegorz Poznański został wybrany na nową kadencję na stanowisko dyrektora generalnego Rady Państw Morza Bałtyckiego. O! MSZ wydało w tej sprawie specjalny komunikat: „Objęcie przez Polaka funkcji Dyrektora Stałego Sekretariatu RPMB jest wynikiem wielomiesięcznych działań resortu spraw zagranicznych, który przeprowadził szeroką i intensywną akcję promocji polskiej kandydatury. W wysiłki te osobiście zaangażowany był minister Jacek Czaputowicz”. Takie rzeczy w nim czytamy!

Dalej MSZ tłumaczy, że Rada Państw Morza Bałtyckiego „to najważniejsza bałtycka organizacja międzyrządowa, regionalne forum refleksji politycznej i współpracy projektowej skupiające Polskę, państwa bałtyckie, nordyckie, Rosję i Niemcy oraz przedstawiciela UE” i że wybór reprezentanta Polski na szefa sekretariatu jest ważnym osiągnięciem i „zdecydowanie umacnia naszą rolę w regionalnej współpracy w regionie Morza Bałtyckiego”.

MSZ świętuje więc nominację Poznańskiego, chyba bardziej dla niego samego, niż realnie oceniając jego wybór. Poznański pracuje w resorcie od ponad 20 lat, był m.in. w Departamencie Polityki Europejskiej i Depar-

tamencie Polityki Bezpieczeństwa oraz na placówkach w Genewie, Tallinie i Wilnie. Co jednak ważniejsze, „dobrą zmianę” powitał dobrze i w MSZ mu to pamiętają. Zresztą jest mu wypominane, że próbował zająć miejsce Adama Kobierackiego, gdy minister Waszczykowski wyrzucił go ze stanowiska dyrektora Departamentu Polityki Bezpieczeństwa. Ale jakoś wtedy mu się nie udało. I tak stracił cnotę, a rubelka nie zarobił.

A teraz spójrzmy na inną karierę. Otóż dyrektorem Sekretariatu Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej został Jacek Bylica. Chyba nie ma co porównywać rangi MAEA z rangą RPMB. Dodajmy, że w strukturze MAEA Sekretariat jest tą częścią, która pracuje na co dzień, jedną z trzech głównych – pozostałe to Rada Naczelna oraz Konferencja Generalna.

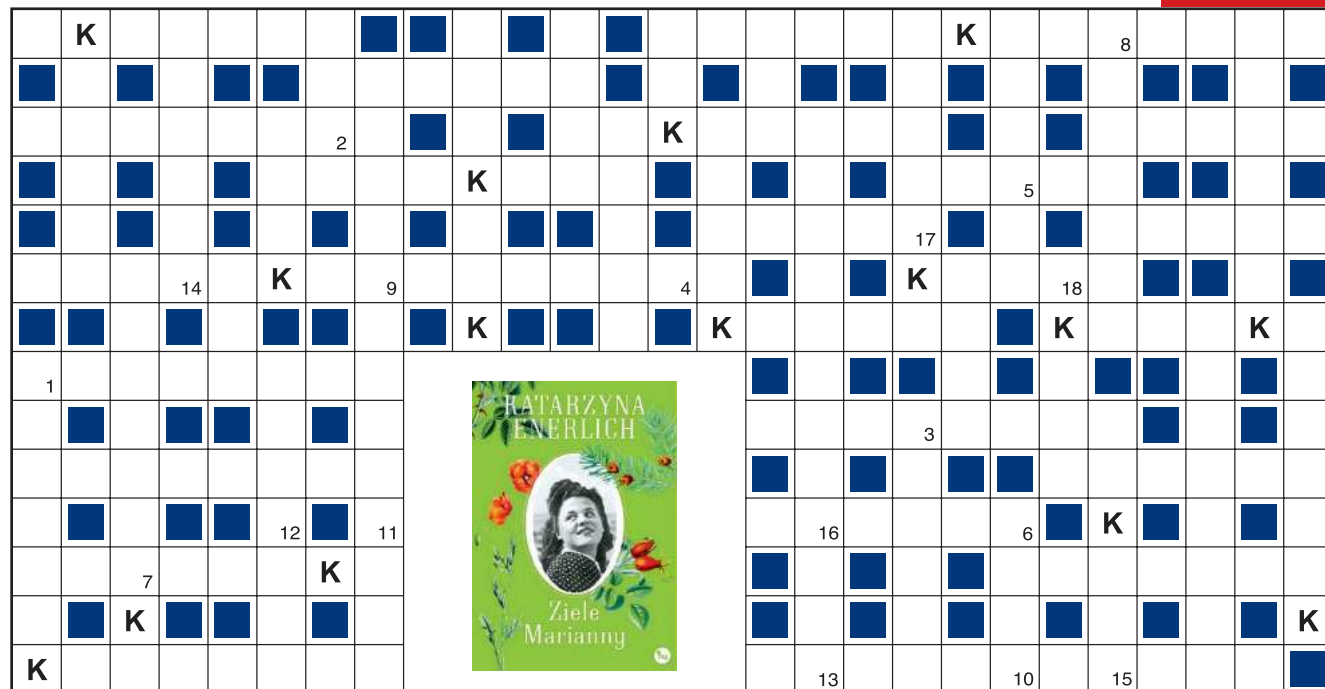
Na dobrą sprawę MSZ powinno więc trąbić z radości, tymczasem milczy. Dlaczego? Ano dlatego, że Jacek Bylica nie jest pisowskim dyplomatą. Ma złe wykształcenie – bo studiował w MGIMO, zna wśród wielu języków także chiński, no i ogólnie jest dla PiS za dobry. Naraził się zresztą „dobrej zmianie” swoim stanowiskiem w sprawie misji obserwatorów z ramienia OBWE na wybory w Polsce. To był czas, kiedy był ambasadorem Polski przy Biurze Narodów Zjednoczonych i organizacjach międzynarodowych w Wiedniu, m.in. OBWE. I wtedy, w 2007 r., z hukiem odwołał go Jarosław Kaczyński.

Na przykładzie Jacka Bylicy widzimy, jak PiS traktuje MSZ i dyplomatów – jak partyjne biuro podróży i różnych karier, a nie jak ministerstwo Rzeczypospolitej. Że są tu pieszczochy i dyplomaci, z którymi się walczy. Jednym słowem, wstyd i brak rozumu.

Attaché

Szczyty edukacji.
Ze względu
na zasięg internetu
tylko wspinanie się
na andyjskie wzgórza
pozwala uczestniczyć
w lekcji.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- elementarne wiadomości z jakiejś dziedziny
- do niej przesyłka
- został posłany po magiczną lampę
- i piwo, i zastrzeżenie
- nieorganiczny związek azotu i wodoru
- dawny łobuziak
- przerwa dla widzów

- opera na podstawie noweli Merimée
- zabiegi zmieniające wygląd aktora
- zwana też georginią
- drugie... to podtekst
- w planach ambitnego magistra
- wąż lub morderca
- osłania szyjki zębów

- malec lub Górkiewicz z „Eroiki”
- „...Wieczorny” z felietonami Wiecha
- do piwa, pierników, herbaty
- sąsiad Kirgiza i Uzbeka
- robotnicza, szkolna, w pociągu
- przejście dla pieszych nad jezdnią
- pryszcz
- roztworu lub cytryny
- Godiva, Makbet lub Gaga
- i mnich buddyjski, i zwierzę, i tkanina
- Chopina, Orly albo JFK

- bozia na łańcuszku
- hiszpańskie imię, niemiecki samochód
- gryzoń hodowany jako zwierzę futerkowe
- zmiennoogniskowy lub szerokokątny
- miasto w pobliżu Pustyni Błędowskiej
- jeśli kandyzowane, to nie morza
- Młynarska, Holtz lub Przybysz
- drobna moneta w Syrii, Egipcie
- przeciwieństwo teoretyka
- płaci za odbiornik
- 7 zł miesięcznie
- promieniotwórczość
- Ayers... czyli Uluru w Australii
- cztery kwartały

- „...listopadowa” Ernesta Brylla
- można wpaść we własne
- olbrzymi głaz lub płonna nieużyteczna
- pozuje na znawcę i hołduje trendom
- miejsce połączenia metali
- zdecydowanie, nieugiętość
- pododdział pułku kawalerii
- pies z „Rodziny zastępczej”
- narzędzie kuchenne w kształcie siekierki
- Lipowska, Rosati lub Drozda
- wszechstronność zastosowania
- niejeden na uczelni, w urzędzie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-972”. Do rozlosowania książki „Ziele Marianny” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 sierpnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-969” z 19 lipca: Bez uczuć nie ma szczęścia. Nagrody otrzymują: Eugenia Domin z Harty, Andrzej Grochowski z Warszawy, Piotr Tymofiejski z Rynu.

PENETRACJE

Press

**LENE WOLD, NORWESKA
DZIENNIKARKA ŚLEDCA**

Relacjonowałam proces sądowy Breivika. Jako dziennikarze musimy mówić o tym, że takie rzeczy się dzieją. Według mnie najważniejsze jest jednak, by nie pokazywać światu występów zbrodniarzy, nie publikować ich przemówień ani manifestów, nie pokazywać ich w telewizji czy na YouTube, bo to pozwala im czuć się jak na scenie. Breivik nie jest w standardowym norweskim więzieniu. Jest odseparowany. Dla systemu sądownictwa to duży test, kiedy ma do osądzenia potwora, mordercę tak wielu osób. To weryfikuje siłę demokracji, czy potrafi go potraktować tak jak innych kryminalistów i zapewnić mu uczciwy proces. Jestem naprawdę dumna z tego, jak Norwegia poradziła sobie z tą sytuacją. Daliśmy mu prawo do uczciwego procesu, obrony, dostępu do prawnika. Poradziliśmy sobie z odpowiednim potraktowaniem tego człowieka, zabierając mu możliwość rozpowszechniania swoich idei.



**PROF. KRZYSZTOF SIMON,
ORDYNATOR ODDZIAŁU
ZAKAŹNEGO W SZPITALU
WE WROCŁAWIU**

Minęło pięć lat i nic się nie zmieniło, a właściwie brakuje się pogłębiły. Teraz jest epidemia koronawirusa, za pięć-dziesięć lat będziemy mieć inne wirusy i z tym musimy się liczyć, i być tego świadomi. Trzeba myśleć o przyszłości, przygotować się, inwestować w nowoczesne obiekty, w których mogą być izolowane przypadki wysoce

zakaźne, a nie skupiać się na okrągło na pomnikach, rocznicach, marszach, permanentnej martyrologii. Trzeba dbać o zdrowie i życie, o czym się zupełnie zapomina.



**MAŁGORZATA TRZASKOWSKA,
ŻONA RAFAŁA**

My pochodzimy z bardzo różnych rodzin. W rodzinie męża dominujący był ojciec, w mojej mama. Ale małżeństwo to kompromisy i zachowanie równowagi. Stasia urodziłam w wieczór wyborczy, gdy Rafał dostał się do europarlamentu. Powiedziałam tego dnia: „Najpierw zagłosuję, a potem pójde na herbatę do teściowej, bo jeśli najpierw wejdę do niej na III piętro, to różnie może być”. Wszyscy się śmiali, że wymyślałam, a ja zagłosowałam, weszłam do mamy Rafała na to III piętro, no i za moment musieliśmy jechać do szpitala. Rafałowi telefon się urywał w sprawie jego wyniku, bo nikt nie wiedział, co się u nas dzieje, a myśmy byli na porodówce.



**PIOTR BECZAŁA,
TENOR LIRYCZNY**

Mam w telefonie ściągnięte wszystkie dzwonki z „Bondów”! Każdy przypisany do innego kontaktu. Ania Netrebko to „From Russia with love”. A SMS to głos Sena Connery’ego mówiący: „My name is Bond”. Marzyłem, by go poznać, i spełniło się dzięki wspólnym znajomym, zjedliśmy lunch podczas naszego pobytu na Bahamach. Pan pod dziewięćdziesiątkę, jako Szkot trochę psioczył na rodzinę królewską. Ale z wdziękiem!

Aby język giętki...

JERZY OWSIAK O ŻAŁOWANIU

Jedno, czego żałuję, to, że skończyłem naukę na maturze, bo wiedza rozkręca umysł.

JERZY URBAN O IPN

Mamy nie jeden, ale dwa IPN-y. Instytut Pamięci Narodowej i Instytut Psychiatrii i Neurologii. W drugim IPN pracują lekarze, a w pierwszym pacjenci.

ALEKSANDER SMOLAR O ANDRZEJU DUDZIE

Jakie są powody popularności polityka tak skompromitowanego, niepoważnego, pozbawionego ciężaru gatunkowego?

KRYSTYNA JANDA O WIERZE W CZŁOWIEKA

Niestety, nie wierzę w człowieka jak dawniej. Często go nie rozumiem. Przeraża mnie.

MIKOŁAJ GRABOWSKI O DOBRYM GUŚCIE

Smak, dobry gust to tarcza. Pozwala nam bronić się przed zalewem propagandy.

MAREK KONDRAT O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Lękam się ludzi, którzy kochają tylko i wyłącznie ojczyznę. Chociaż podobno ma poczucie humoru. Musi być osobliwe.

KAZIK STASZEWSKI O ŁATWOWIERNOŚCI

Co do relacji z ludźmi, to jestem łatwowierny. I sparzyłem się na tym wielokrotnie.

JERZY IWASZKIEWICZ O ARTURZE SOBONIU

Ma taki ciąg na mikrofon, że jak się dorwie, to nie można oderwać. Gorsze mogą być tylko flaki wołowe w zalewie pomidorowej.

AGNIESZKA RADWAŃSKA O SWOJEJ PRACY MAGISTERSKIEJ

Tytuł „AGA Tennis Apartments jako atrakcja turystyczna Krakowa”. Skromnie, bo kudy Wawelowi do niej.

MARTA KULIGOWSKA O PORANNYCH DYŻURACH

Budzik dzwoni o godz. 3.30. Dla pewności nastawiam trzy dzwonki. Wczesne wstawanie boli za każdym razem.



Z podwyższenia lepiej widać. Psie zwiedzanie Tokio.

FOT. CHARLY TRIBALLEAU/AFP/EAST NEWS

Pogoda dla tłumaczy

Przy skrzyżowaniu w Gładyszowie w Beskidzie Niskim stanęła interaktywna tablica, która miała wyświetlać kierowcom informacje o temperaturze czy przewidywanych opadach. Sprzęt zadziałał nie do końca zgodnie z oczekiwaniami, gdyż – prawdopodobnie przez awarię – komunikaty zaczęły się wyświetlać w języku chińskim. Pewnym pocieszeniem może być to, że choć urządzenie przekazuje informacje w języku nieznanym większości Polaków, przynajmniej – jak stwierdził były dyplomata w Chinach Marcin Przychodniak – robi to poprawnie. No i mamy kawałek jedwabnego szlaku.

Dzwonią dzwonki dań

W USA popularna sieć barów szybkiej obsługi rozpoczęła już świętowanie Bożego Narodzenia. Profile Burger Kinga w mediach społecznościowych zyskały świąteczny wygląd, do oferty trafiła świąteczna promocja, jeden z lokali na Florydzie został zaś przystrojony płatkami śniegu i choinkami, a jego pracownicy założyli mikołajowe czapki. Sieć, podobnie jak jej klienci, ma bowiem dość



Niezwykle oryginalna moda kobieca tybetańska i ludu Mursi z Etiopii.

obecnego roku, w którym ludzkość doświadczyła liczne plagi, i chciałyby przyspieszyć jego koniec. Wiosną włoski oddział firmy wprowadził do oferty burgera z potrójną ilością cebuli, co miało ułatwić utrzymywanie zalecanego dystansu społecznego.

Łapaj złodzieja (za ogon)!

Pracownikom baru o nazwie ZSRR w Anapie w Kraju Krasnodarskim już dwukrotnie udało się zapobiec zachwałym kradzieżom, których próbowała dokonać mała ruda kotka. Kamery monitoringu zarejestrowały, jak usiłuje wynieść w pyszczku plik gotówki, co umożliwiło przyłapanie jej na gorącym uczynku. Sprawa jest tym bardziej bulwersująca, że zwierzę próbowało okraść swoich właścicieli, którzy wiosną przegarnęli je z ulicy. Co te pieniądze robią z ssakami...

Transgraniczne „tak”

Norweżka i Szwed wzięli ślub przez granicę między swoimi ojczyznami. Uroczystość miała się odbyć w Norwegii, jednak w związku z sytuacją epidemiczną kraj nie wpuszcza obecnie mieszkańców Szwecji. Aby nie odkładać wejścia na nową drogę życia, para zdecydowała się na ceremonię na styku obu państw. Odbyła się ona w lesie, a państwo młodzi oraz ich goście stali po przeciwnych stronach białej wstęgi, pod czujnym okiem policjantów. Nowożeńcom życzymy bezgranicznej miłości!

Którędy do normalności?

Aby zbadać, w jaki sposób ludzie zarażają się koronawirusem, niemieccy naukowcy postanowili zorganizować specjalny koncert. 22 sierpnia na stadionie w Lipsku popularny piosenkarz Tim Bendzko zagra dla 4,2 tys.

MEMY BEZ ŚCIEMY





zdrowych ochotników. W ramach eksperymentu o nazwie RESTART-19 uczeni przyjrzą się m.in. temu, które powierzchnie są najczęściej dotykane – w tym celu każdy uczestnik imprezy będzie musiał skorzystać z fluorescencyjnego środka dezynfekującego. „Chcemy sprawdzić, czy może istnieć pośrednia droga między starą a nową normalnością, która pozwoliłaby organizatorom pomieścić na koncertach większą liczbę osób”, komentuje koordynator badań Stefan Moritz z Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle.

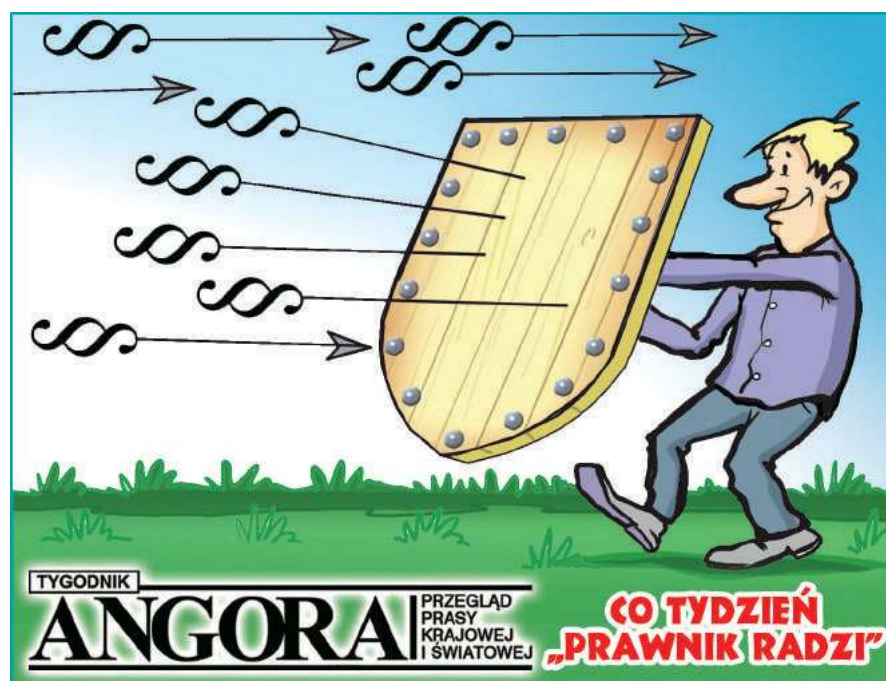
Zaimponowałeś nam, grzybie

Grzyby, które chętnie rosną w okolicach Czarnobyla, mogą pomóc w podboju Marsa – twierdzą amerykańscy naukowcy. Ich zdaniem do

budowy skafandrów, osłon i schronień dla kolonizatorów idealnie nadaje się melanina, którą można by pozyskiwać z gatunku *Cryptococcus neoformans*. Nils Aversch z Uniwersytetu Stanforda podkreśla, że „grzybowe” osłony byłyby nie tylko odporne na promieniowanie jonizujące, ale także miałyby zdolność do odrastania po uszkodzeniu, np. w efekcie rozbłysku słonecznego.

Drzyj się i odżyj

Islandia wabi potencjalnych turystów perspektywą... wyzwalających wrzasków. „Dużo ostatnio przeszłście. Szukacie miejsca, w którym będziecie mogli wyrzucić z siebie te emocje? Przydałoby się Wam wycieczka na Islandię”, przekonuje spot promocyjny. Pokazuje on ogromne przestrzenie wyspy i zachęca, by swobodnie wykrzyczeć tam pandemiczną frustrację. Jest też coś dla osób, które na podróż nie mają czasu lub pieniędzy – na stronie LooksLikeYouNeedIceland.com mogą one nagrać swój krzyk, który zostanie później odtworzony z głośnika ustawionego w jednym z wyludnionych punktów kraju.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz
e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igelska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, [Ludwik Stomma], Jan Widadki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredytorzy: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Miłość jak śmierć naga

patronat PRZEGŁADU



Fanny Mendelssohn



Clara Schumann

Projekty **Katarzyny Swinarskiej** wnikliwie badają temat miłości. Tytuł jej najnowszej wystawy, „Miłość jak śmierć naga”, odwołuje się do koncepcji miłości ubogiej Emmanuela Levinasa oraz do tekstu „Szczeliny istnienia” Jolanty Brach-Czajny, w którym autorka opisuje doświadczenie miłości jako jedyne obok śmierci, które pozwala sięgnąć do „głębszych warstw bytu”. Zgodnie z tą teorią, a zarazem wbrew współczesnym trendom kulturowym, miłość erotyczna urasta do rangi najważniejszego filozoficznego eksperymentu umożliwiającego człowiekowi poznanie istoty egzystencji. Światopogląd wynoszący na piedestał przyrodę, miłość i śmierć bliski był romantikom. Obrazy ukazujące zmysłowe roślinno-zwierzęce kształty

przenoszą widza w rzeczywistość romantyczną, w której kochankowie nie cofną się przed miłością, nawet jeśli towarzyszy jej siostra śmierć.

Zapraszamy na wernisaż i performance artystki z muzykiem Michałem Wojtyłą aka Micky Free 7 sierpnia, o godz. 19.00 do warszawskiej Galerii Nizio na ul. Inżynierskiej 3/4. Wystawa trwa od 11 sierpnia do 30 września.



Mak #2



Miłość jak złota róża

XL
TEATR

MŁODZIEŻY!

**TRWA NABÓR
NA WAKACJE
W TEATRZE!**

**EKSCYTUJĄCA
PRZYGODA, A MOŻE
POCZĄTEK KARIERY?**

**WAKACJE
W TEATRZE**

**TU MI WOLNO
PLAC HALLERA 5 LOK.10A
WARSZAWA**

**ZGŁOSZENIA:
REZERWACJE@TEATRXL.PL
WIĘCEJ: WAKACJEWTEATRZE.PL**

XS
OGNIŚKO
TEATRALNE





DEAUVILLE
44^e FESTIVAL DU CINÉMA AMÉRICAIN
KONKURS GŁÓWNY



Telluride
Film Festival



BIOGRAFIA KOBIETY, KTÓRA ZMIENIŁA HISTORIĘ X MUZY



NARRACJA JODIE FOSTER

BĄDŹ SOBĄ,

CZYLI NIEPOWIEDZIANA HISTORIA ALICE GUY - BLACHÉ

W KINACH OD 14 SIERPNIA

DYSTRYBUCJA



FUNDACJA
NICHROME
OBRAZ